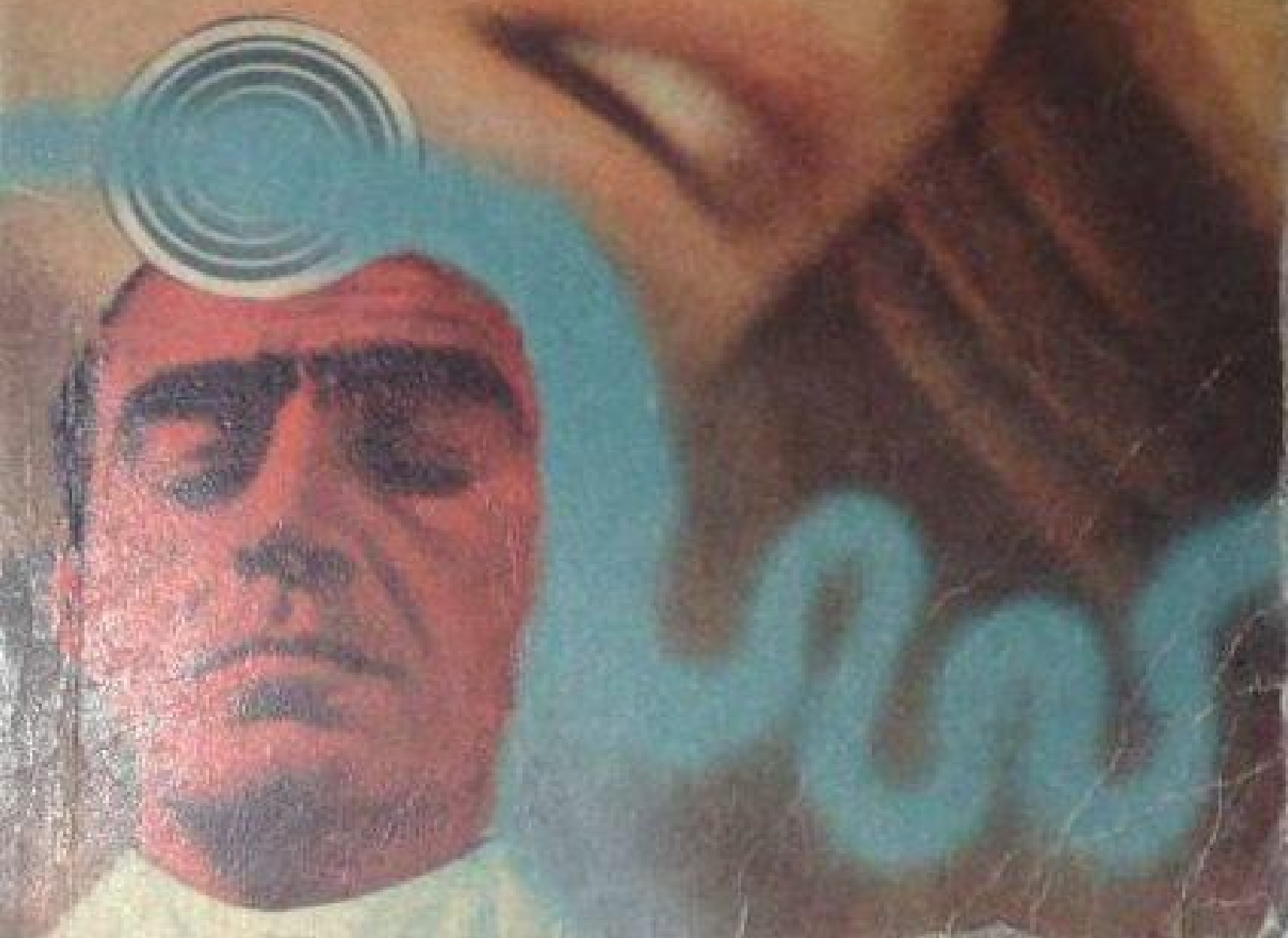


FANTASTYKA · PRZYGODA

# WŁOKNO CLAPERIUSA

KONRAD FIAŁKOWSKI



**KONRAD FIAŁKOWSKI**

# **WŁÓKNO CLAPERIUSA**



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY” WARSZAWA 1969

# Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA](#)

[KOSMODROM](#)

[STRAŻNIK](#)

[SZANSA ŚMIERCI](#)

[NIEŚMIERTELNY Z WEGI](#)

[ZANIM POLECĄ DO GWIAZD](#)

[ADAM I EWA](#)

[BIOHAZARD](#)

[WŁÓKNO CLAPERIUSA](#)

[JEGO PIERWSZA TWARZ](#)

[PORANEK AUTORSKI](#)

# KOSMODROM

Budowali dwa pasy betonu, dwa pasy, które miały się zbiec tam, gdzie w przyszłości bieleć będą kopuły portu kosmicznego. Na razie jednak był tam tylko piarg i lej wryty przed wiekami przez jakiś meteor.

Budowali te pasy i klęli marsjański pustynię, autobuldożery wrywające skały, czerwony piach i liczyli dni do końca.

— Wiesz, Jess, jak wrócę na Ziemię, to wsadzę kombinezon w najciemniejszy kąt strychu, a hełm zatknę na patyku w ogrodzie, żeby straszyl ptaki przylatujące na grządki mojej matki. Potem wsiądziemy z May w helikopter i polecimy do dużego prawdziwego lasu, takie-go z grzybami i poziomkami. I musi tam być rzeka... albo lepiej jezioro, tak, jezioro, z gorącymi od Słońca głazami piaskowca nad brzegiem, na których nie można ustać, tak są gorące...

— I tak się spieczecie na Słońcu oboje, że siódma skóra z was zejdzie... — Jess uśmiechnął się całą twarzą, a wokół jego oczu ułożyły się drobne zmarszczki śmiechu, widoczne nawet teraz w ekranie.

— No, najwyżej ze mnie. May o tej porze roku jest już czarna jak Murzyniátko z buszu. Wiesz, to te żagle. May zawsze mówi, że człowiek nigdzie się tak nie opala jak na żaglówce.

— I pod emiterem ultrafioletowym...

— Jak to emiterem? — Don nie zrozumiał i patrzył teraz na Jessa swymi wielkimi, brązowymi, dziecięcymi oczyma.

— No, emiter ultrafioletowy opala równie dobrze...

— Ale ja mówię o prawdziwym opalaniu... wiesz, takim na Słońcu.

— Z tym musisz jeszcze trochę poczekać.

— Tylko cztery dni. Widzę już tę wydnię, do której dociągnę mój pas, to będzie w sobotę. Potem wyciągnę się w hamaku przy wideotronie i będę patrzył na mecz Australii z Madagaskarem transmitowany z Ziemi. Mecz skończy się przed naszym świtem, a gdy wzejdzie Słońce, przylecą po nas.

— Żeby się tylko nie spóźnili. Ci z bazy centralnej stale się spóźniają...

— Chyba nie zrobią nam tego. Wiedzą przecież, co znaczy wreszcie stąd odlecieć.

— Tak, chyba nie zrobią... — powtórzył Jess, ale sam nie był wcale tego taki pewny. Bo przecież Ar. Ar nie odleciał z Marsa wtedy, kiedy się spodziewał. Chciał zapytać Dona, czy znał Ara, ale właśnie wtedy automat zasygnalizował jakieś swoje kłopoty w kopaniu podłoża i Jess wysiadł z kabiny, żeby zobaczyć, co się stało. Zszedł drabinką obok potężnej gąsienicy, nad którą wisiała kabina, i zaraz zapadł się po kolana w piasek. Ten piasek był czerwony jak wszystko na Marsie i tylko gdzieniegdzie błyszczwały drobnutkie kryształki kwarcu. — Jak w zwykłym piasku — pomyślał Jess. Potem zaczął brnąć ku przodowi maszyny, wzdłuż gąsienicy, a gdy ją minął, poczuł uderzenie wiatru w pierś i hełm i zobaczył, jak tuż nad piaskiem kręcą się małe szybkie wiry. Zapewne nadchodzi burza. — To tak zawsze z początku wygląda — pomyślał i spojrzał w niebo. Ale ono było czarne i gwiazdy ze Słońcem świeciły na nim jak zwykle.

W dole, przed buldożerem, leżał głaz zbyt potężny, by wielka metalowa łapa mogła go poruszyć. Jess wezwał automat, a gdy ten borował dziury pod dynamit, spojrzał daleko w pustynię, gdzie tuż przy horyzoncie pracował autobuldożer Dona. Te dwa pasy zejdą się ze sobą w ogromną literę „V”, znak zwycięstwa i panowania człowieka w tym zapadłym kącie. Jeszcze cztery dni. Odwrócił się, zaklął pod nosem i zaczął się wdrapywać do kabiny, by cofnąć maszynę na czas wybuchu.

Spotkali się wieczorem w bazie. Baza była prowizoryczna i nie miała klimatyzacji. Nocą, gdy temperatura na zewnątrz spadała do minus sześćdziesięciu stopni, mimo centralnego grzania kopuły stawało się zimno i oddech zamieniał się w szron. Leżeli wtedy w wielkich śpiworach grzanych elektrycznie. Jednak z samego wieczora było cieplej i chodzili po bazie w skafandrach.

— Odwaliłem dzisiaj kawał roboty — powiedział Don, gdy tylko wyszedł ze śluzy. — Moja wydma jest coraz bliżej.

— Ja miałem jakąś cholerną skałę, którą dwa razy wysadzałem — Jess mówił bez złości, obojętnie.

— Jutro chyba niewiele zrobimy, bo będzie burza piaskowa.

— Tak, widziałem dzisiaj wiry na pustyni...

— Chciałbym jednak dociągnąć robotę do tej wydmy.

— Dociągniesz, jak ta przeklęta pustynia nie pokaże pazurów i nie będzie pluć piaskiem przez te wszystkie dni.

Jess skończył przygotowywać kolację i rozparł się w krzesło wyciągając swoje długie chude nogi na środek kabiny.

— Tak czy inaczej, za trzy dni wracamy.

— Wracamy — powtórzył Jess i przypatrywał się Donowi, jak dużymi kawałami wybierał z puszek świńskie mięso. — To chyba jedyna forma astronautyki dla świń — pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

Po kolacji Don włączył wideotron i oglądali jakiś chiński teatr ze smokami i parasolami. Kolory były trochę zniekształcone i Jess zastanawiał się, co by było, gdyby ludzie rzeczywiście mieli takie jasnozielone twarze jak na ekranie. Powiedział to Donowi.

— Nic by nie było, bo ludzie by się przyzwyczaili — odpowiedział Don i dalej patrzył w ekran.

— Myślisz, że można by się było przyzwyczaić do zielonych twarzy i mówić: „Och, jak pięknie się zazieleniłaś” albo: „tak się niewinnie zielenisz”.

— Na pewno.

— Hm... ja bym się chyba nie przyzwyczaił...

— A do pustyni się przyzwyczaiłeś?

Jess spojrzał na Dona. Był zły na niego, że to powiedział, bo o pustyni nie mówili nigdy. Ona była i tak wokół nich zawsze. Czasem nawet myślał, że nie zostawia ich samych tu, w bazie, lecz przechodzi przez śluzy wejściowe, by towarzyszyć im w nocy. Nie lubił pustyni i Don o tym wiedział.

— Może byś tak zamknął wideotron i przeszedł na nasłuch centrali — powiedział do Dona i nie patrzył więcej w ekran.

— Zamknę, ale najpierw chcę usłyszeć prognozę pogody dla Europy. Nie chciałbym, żeby padał deszcz, jak wysiądę z rakiety...

— Matka przyniesie ci wtedy pelerynę na Kosmodrom.

— Przyjdą z May i przyniosą pelerynę — zgodził się Don.

— A ja przemoknę... — mruknął Jess.

— Nie lubisz deszczu?

— Lubię, ale jak jestem w domu i patrzę przez okno.

— Powinieneś zostać na Marsie. Tu nigdy nie ma deszczu.

Czego on się, cholera, dzisiaj mnie czepia — pomyślał Jess. — Przecież to ja miałem tę skałę, nie on, i w ogóle jest dalej w robocie.

— Tak, ale tu jest piasek, czerwony piasek, i to jest jeszcze gorsze — powiedział i wierzył w

to. — Widzisz, piasek włazi wszędzie, za kołnierzy i w nogawki skafandra. Poza tym zgrzyta pod zębami i to jest najgorsze. Deszcz zawsze w końcu wysycha.

— Ale w Europie nie będzie w najbliższych dniach deszczu — powiedział Don i zamknął wideotron.

Potem stroili się na centralę. Miała dziwny, urywany sygnał, tak jakby ktoś rzucał kamyki na napiętą powierzchnię bębna. Jej automaty nadawcze były trochę zdezelowane i sygnał błędził po kilku podziałkach skali, co dzień gdzie indziej. Dziś był na samej kresce. Jess powiedział do mikrofonu, że są na odbiorze, i teraz czekali obaj, aż tamci zdecydują się odezwać.

— Co oni właściwie robią w tej bazie? Nigdy nie są gotowi na czas — denerwował się Don.

Jess patrzył na fosforyzujący w ciemności wskaźnik dostrojenia i zastanawiał się, czy ojciec dostał już wiadomość o jego powrocie. W południe woźny puka do jego gabinetu: „Depesza z Marsa, panie profesorze”. Ojciec na pewno siedzi za biurkiem, w swojej szarej, trochę za ciasnej marynarce, masywny, kwadratowy, za wielki na ten gabinet. „Powinieneś być zostać drwalem, nie fizykiem” — śmiała się zawsze matka. Jess próbował sobie przez chwilę wyobrazić ojca jako drwała, ale jakoś mu się to nie udawało. Zresztą jako fizyk ojciec był na dobrym miejscu. Jess też miał zostać fizykiem, ale nie został... szkoda.

— Szkoda, że nie zostałem fizykiem — powiedział Jess.

— Chciałeś?

— Nie ja, ojciec.

— A ty...

— Ja chciałem zostać astronautą.

— Gratuluję — powiedział Don. — Ja chciałem być pilotem. Ale nie udało mi się. Gdy miałem tyle lat, ile potrzeba, samolotami kierowały już tylko automaty, i to lepsze niż te nadawcze z naszej cholernej bazy...

— Nie mają pewnie dobrego konserwatora...

— Nie mają. Ten, co był przedtem, uciekł na Ziemię.

— Puścili go? — zdziwił się Jess.

— Niezupełnie dobrowolnie. Zabrała go rakietą pogotowia z psychiatrą. A teraz jest młody chłopak, tuż po ziemskiej politechnice.

— I nie daje sobie rady — powiedział Jess. — Krzywdzę tego chłopaka — pomyślał równocześnie. — Czy ktokolwiek po ziemskiej politechnice umiałby obsługiwać takie automaty?

— Zaczynają mówić — Don starannie dostrajał odbiornik. — Załóż słuchawki — powiedział do Jessa.

— Nie chce mi się — powiedział Jess i rzeczywiście mu się nie chciało. — Niech tylko Don skończy z bazą wyciągnę się z książką w hamaku — pomyślał.

Spojrzał na Dona i wydało mu się, że Don słucha tego, co mówili, zbyt uważnie jak na komunikat z bazy. — Co mu tam za kazanie prawią? — pomyślał — bo kawałów mu chyba nie opowiadają.

— Don, co oni tam...

Don machnął ręką.

— Wyłącz się — powiedział krótko. To dopiero zaciekawilo Jessa. Założył słuchawki i przez serie trzasków z atmosfery usłyszał tamtego z bazy.

— Nie, nic z tego nie będzie. Nie próbuj mi nawet tłumaczyć. Mówię ci, że nikogo innego na to miejsce nie ma. Jest tylko Rot, a i on niewiele w porównaniu do was umie. Tego Rota wam przyślę

za trzy dni. Ale jeden z was i tak musi zostać...

Cholerny świat — pomyślał Jess — znowu jakaś cholerna świnia tam, w bazie, wszystko zawaliła — i czuł się tak, jak kiedyś, gdy jako mały chłopiec nie dostał obiecanego roweru.

Don poczerwieniał.

— Róbcie, co chcecie... My się stąd zwijamy za trzy dni. I nic mnie nie obchodzi, że jakiś idiota tam, na górze, nie załatwi na czas zmiany z Ziemi...

Zaraz im powie, co sądzi o takiej organizacji — pomyślał Jess, ale Don nie powiedział.

— To nie nasza wina — tłumaczył tamten z bazy. — Tobie się wydaje, że ochotnicy na tę budowę walą do nas drzwiami i oknami.

— Niech cię głowa nie boli o to, co mi się wydaje. Ale musi ktoś być na zmianę. Przecież budowa nie stanie.

— Właśnie, nie stanie i dlatego jeden musi zostać. Musi, rozumiesz? I pierwsze rakiety wystartują z tego kosmodromu jeszcze przed marsjańską zimą. Zobaczysz.

Ten z bazy jest strasznie pewny swego — pomyślał Jess i poprawił słuchawki na uszach.

— Może i wystartują, jeżeli autobuldożery będą same ryc tę przeklętą pustynię. Ale nas to nie obchodzi, rozumiesz!

— Ale centrala...

— Wiesz, gdzie mam centralę... Jess pokiwał głową.

— Jasne, Don — powiedział i pomyślał, że teraz tamtego bierze cholera, i zrobiło mu się weselej, choć wiedział, że to wszystko nie jest winą tamtego, że tamten to może nawet swój chłop, który ma tylko parszywą robotę.

— Jak chcesz — powiedział tamten. — W każdym razie Rot przyleci jednoosobową raketką, wiesz, taką do której tylko jeden facet włazi z trudem. I tu uważamy, że prawo ma wrócić ten, który dalej podciągnął swój pas. Jasne?

— No, ale...

— Nie ma żadnego ale. Podyskutujesz sobie ze swoją ciocią na Ziemi. Teraz uważaj, jak mówię... Powtórz to temu drugiemu albo daj go lepiej do mikrofonu.

O, cholerna świnia — pomyślał Jess. — Ja jestem ten drugi i chcę wam powiedzieć, że jesteście cholerne świnie — powiedział wprost do mikrofonu.

— W porządku — ucieszył się tamten. — No, to na razie. Trzymajcie się, wy... pustynni kosmonauci.

Znowu zabębniło sygnałami bazy i Don zerwał słuchawki.

— Zrobili nas, zrobili nas jak... jak, no, nie wiem jak... ale zrobili. — Don powiedział to zupełnie spokojnie, a Jess pomyślał, że ma rację.

— No i co dalej? — zapytał.

Don wzruszył ramionami.

— W każdym razie nie mogą nas zmusić do rycia tej pustyni.

— Nie mogą — Jess skinął głową — ale mogą nas zmusić, żebyśmy siedzieli w tej bazie tak długo, jak będą chcieli.

— No i co z tego?

— To z tego, że jak będziesz już tu siedział, to będziesz pracował.

— Nie będę.

— Będziesz, bo inaczej zdechniesz z nudów. A zresztą nie jesteś z tych facetów, co siedzą z założonymi rękami, gdy robota nie jest jeszcze gotowa, i oni o tym wiedzą.

— Co, u licha, mówisz ciągle o mnie? A ty?...

— Ja też.

— Co też?

— Ja też będę kończył swoją robotę.

— Skończysz i chcesz stąd wiać. Nie, bracie. Nie tak prędko... mój pas jest dalej podciągnięty od twego.

— Jesteś cholerny głupiec — powiedział Jess i poszedł do swego hamaka. „Myśli, że chcę mu zabrać miejsce w rakiecie, tak jakby już mu się należało”. — Jeszcze ci się to miejsce nie należy — powiedział głośno. — Za trzy dni można położyć ze dwa kilometry pasa albo i więcej, jak komuś zależy...

— Można i cztery — powiedział Don i wpatrywał się w koniec swego buta, umazanego smarem.

— Zgoda, ale ty nie położysz... — Jess uśmiechnął się. — Musiałby pracować dzień i noc, a i to nie wiem, czy dałby radę — pomyślał.

Don wstał i kopnął krzesło, aż się przewróciło.

— Położę — powiedział — ale potem wracam na Ziemię i nic mnie nie obchodzi cała ta... budowa.

Zdjął z haka na ścianie hełm i wsadził go na głowę.

Ciekawe, czy na Ziemi przed tą... May też jest taki twardy — pomyślał Jess.

— Uważaj, żebyś całego pasa dzisiaj nie skończył — powiedział. Patrzył, jak Don przypina zapas tlenu i sprawdza działanie zaworów. — Ma ogromne, wspaniałe plecy — pomyślał. — Trzy butle mieszczą się na nich bez trudu. Matka rodziła go na kosmonautę, dając mu takie plecy i krótkie nogi, które nie zawadzają w rakietce. A może został kosmonautą właśnie dlatego, że ma takie plecy i nogi... — Powodzenia, kosmonauto — powiedział, gdy Don wyszedł do słuz. Chciał się obrócić na drugi bok, ale wtedy zawołał go Don.

— Pomóż mi przy słuzach, bo zdaje się trochę je zasypało.

— Co, burza?

— Może i burza... — mruknął Don.

— Włączę oczyszczacz wyjścia — powiedział Jess i włączył automat. Oczyszczacz buczał jak bąk, a gdy wyjście było czyste, zmienił się w komara i grał cienko na wysokich obrotach. Jess włożył hełm i wyszedł przed bazę. Gwiazd nie było, słyszał tylko szum piasku uderzającego z wiatrem o skafander.

— Cholera, ale sypie...

— Zamknij dobrze słuzy — powiedział Don — bo znowu jutro wszędzie będzie piasek. — Zachwiał się pod uderzeniem wiatru.

— Chcesz iść w taką burzę? — zapytał Jess.

— Pójdę. Wyślę sygnał do buldożera, żeby mi przez radio dawał namiary...

— Będziesz miał zakłócenia. To duża burza...

— Dam sobie radę.

Wiatr uderzył go znowu tak, że się zatoczył.

— Może lepiej zostać. To nie jest burza do spacerów.

— Chodziłem w gorsze, w takie, które nawet z Ziemi było widać.

To cholernie uparty facet i chyba pójdzie — pomyślał Jess. — Bohaterów też zasypuje — powiedział.

— Ciebie w bazie nie zasypie — odpowiedział Don. Odszedł parę kroków i nie było go już widać, pomimo że latarka Jessa miała nowe baterie.



— Zamknij dobrze śluzę — powiedział jeszcze Don — bo jutro w supie będzie piasek.

Jess słyszał go na razie tak, jakby stał krok od niego, ale ostatecznie fale radiowe nie grzęzną w paru metrach takiego piasku, dopiero w kilometrach. Otworzył śluzę i wiatr razem z piaskiem wepchnął go do środka. Otrzeptał skafander i odkurzaczem wychwytał wszystkie widoczne ziarnka. Potem podszedł do odbiornika i wybrał fale autobuldożera Dona. Automat nadawał. Nadawał krótkie, urywane sygnały, jakby wołał kogoś i urwał wołanie przy pierw-szym dźwięku, bojąc się wypowiedzieć całego imienia w marsjańską noc, wśród podłej pia-skowej wichury.

Ranek był słoneczny i cichy jak na prospektach „Marsturysta”. Jess obszedł bazę dookoła i patrzył, jak pod słabym wstrząsem jego kroków osypuje się piasek z niewidzialnych chropowatości kopuły bazy. Wzgórza na krańcach doliny były za niebieską mgłą. W górze czarną plamką Fobos biegł na spotkanie Słońcu. — Kiedyś wytworzymy tu atmosferę, przywieziemy wodę i rośliny i świt wtedy będzie bardziej ziemski — pomyślał Jess i przez chwilę żałował, że nie jest swoim praprawnukiem.

Potem wdrapał się po metalowych wąskich schodkach na maszt radiostacji i patrzył na biegnące ku bazie dwa białe pasy. Były równie dalekie jak zawsze. A jednak Dona kończył się bliżej, o te głupie kilkaset metrów — dodał w myśli.

Autobuldożer Dona już nie nadawał. Don był więc na miejscu i wyłączył automat. Nie przekazał do bazy nic, więc Jess nie chciał odzywać się pierwszy. Wykonał nieprawdopodo-bny, ogromny skok z masztu. — Po tylu miesiącach bawi mnie jeszcze ta marsjańska grawita-cja — pomyślał.

A potem rozpoczął marsz, codzienny marsz do autobuldożera. Na początku budowy jeździli łązikiem, ale zepsuł się z tydzień temu i odtąd chodzili piechotą. Budowa nie była daleko, kilka kilometrów w jedną stronę. Chodził tak codziennie przez czerwone morze piachu. Gdzieś pięćset metrów za bazą mijał wielki czerwony kamień. Leżał na linii budowy, ale dotychczas Jess sądził, że dopiero jego następca rozerwie dynamitem czerwony głaz. — Przyzwyczailem się do tego kamienia i wolałbym sam tego nie robić — pomyślał przecho-dząc obok.

Parę minut potem zobaczył czarny punkt. To zza horyzontu wystawała potężna łapa autobuldożera. Nigdy nie mógł przyzwycząić się do jego ogromu. Rozumiał, że fabryka tworząca z piasku i powietrza kosmodrom nie może być wielkości pudełka od zapalek. — Przypomina raczej świątynię niezemskiego kultu niż pocziwą fabrykę do mieszania piasku — pomyślał, gdy znalazł się w jego cieniu. Doszedł do drabinki, wspiął się do kabiny i wtedy zobaczył Dona.

— Wygrałeś, Jess — powiedział Don — moja cholerna maszyna nie chce się ruszyć. — Powiedział to i dalej patrzył przez szybę na pustynię.

Ma chłopak pecha — pomyślał Jess, ale nawet się nie ucieszył.

— Co się stało? — zapytał.

— Stała wczoraj w zagłębieniu i zasypało ją.

— Masz rzeczywiście pecha — powiedział Jess, zdjął hełm i podszedł do tablicy rozrządcej.

— Jess, ty nie ruszysz tą maszyną...

— Bo co?...

— Mówię ci... nie ruszysz.

Czego on, do cholery, cały czas gapi się przez to okno — pomyślał Jess.

— Może mi nie dasz? — zapytał.

— Nie dam ci. To nie moja wina, że mnie zasypało... Zrobiłem więcej i zrobiłbym jeszcze więcej, tyle, ile trzeba, żeby się stąd wydostać.

— Podobno cię zasypało?...

— Zasypało i ważne jest, ileśmy zrobili do teraz.

Jess wzruszył ramionami.

— Ale go przypiliło — pomyślał. Włączył rozruch i czekał, aż zamrugają czerwone światła kontrolne. Don odszedł od okna. Stał przed nim dwa kroki, rozkraczył się i wsadził ręce w kieszenie kombinezону.

— Zastanawiam się, jak będzie wyglądał kosmonauta z pokiereszowaną mordą — powiedział.

Jess powoli odwrócił się do niego.

— Zjeżdżaj stąd... — powiedział.

— Dobrze, pójdę, ale nie sam. Pójdziemy razem do bazy...

— Zjeżdżaj — powtórzył Jess, a gdy Don się nie ruszył, podszedł do niego i pchnął go ramieniem. Wtedy dostał w szczękę. — Cholerny szczeniak — pomyślał i uderzył Dona w żołądek. Czekał, aż ten się zegnije do przodu, i wtedy uderzył od dołu. Głowa Dona poleciała do tyłu. Trzasnął go jeszcze lewym sierpowym i wiedział, że tamten będzie już leżał. — On jest mięczak — pomyślał — a ja rozbiłem sobie kostki. Potem złapał Dona za nogi i pociągnął po posadzce do wyjścia. Tam włożył mu na głowę hełm, przekręcił zawory. Później jedną ręką mocował się z włazem, a gdy ten odskoczył, wypchnął Dona na zewnątrz i patrzył, jak tamten spada w dół. — Na Ziemi rozbiłby sobie pysk, a tu się nawet bardzo nie potłucze — pomyślał. Don uderzył w piasek i leżał na nim nieruchomo, jak rozgnieciona żaba.

Jess odwrócił się i podszedł do pulpitu. Światła kontrolne paliły się i gdzieś w głębi za płytą mrucały prądy. Nie patrząc, Jess chwycił krótką czarną dźwignię i ściągnął ją w dół, do oporu. Cały autobuldożer drgnął i mieląc gąsienicami piasek, ruszył przed siebie, unosząc w górę swą ogromną stalową łapę. — On jest potężnym, dobrym, oswojonym tyranozaurom — pomyślał o nim ciepło. — Zrobi wszystko, co mu każę, i będzie tak zawsze, chyba że spali sobie bezpieczniki. Potem przesunął regulator rozpadu i buldożer kołysząc się na boki przyśpieszył swój marsz przez czerwone piachy czerwonej pustyni.

I w końcu tamten pas był już zupełnie blisko, a tam, gdzie się kończył, była wydma, z której wystawał autobuldożer Dona. Zasypało go mocno, aż po kabinę. — Tylko stalowa łapa sterczy w górę, jak ręka topielca, który utonął w piachu — pomyślał Jess.

Założył hełm, wyszedł na piach i wyciągnął linę, tylko kawałek, bo więcej by nie udźwignął. To była stalowa lina grubości jego ramienia i spleciono ją z mniejszych stalowych lin, a te z jeszcze mniejszych. — Zupełnie jak rzeka, która ma dopływy, a te jeszcze swoje dopływy — oczywiście ziemską rzeką, bo tu, na Marsie, rzeki nie mają dopływów i każdy strumyk nazywa się rzeką. — Potem wrócił do kabiny i autobuldożer swoją łapą wyciągnął linę tak, jak było potrzeba, i ułożył ją tak, jak mu kazał. Zaczepił ją z przodu autobuldożera Dona, tam gdzie był wielki hak do zaczepiania lin. Wrócił znów do kabiny, przesunął regulator rozpadu do końca, na taką moc, jaką tylko mógł dostarczyć stos, i ruszył powoli, bardzo powoli, żeby nie zerwać liny. Naprężył ją, przez chwilę zdawało mu się nawet, że czuje jej wibrację, a potem szło już lekko, bo autobuldożer Dona drgnął i wyjechał z wydmy, która zaraz się zapadła i zmieniła w dwie mniejsze.

Jess zwinął linę, potem obrócił autobuldożer i ruszył z powrotem swoimi śladami przez pustynię. Przejechał może trzy kilometry, gdy daleko przed sobą zobaczył drobną figurkę, brnącą przez piasek. Skręcił i objechał ją szerokim łukiem. Figurka machała rękami, lecz Jessa to nic nie obchodziło.

— Jess...

— ...

— Jess...

— Zmyj się z ekranu, bo będę musiał wyłączyć wizję.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że jesteś strasznie fajny chłop, a ja jestem zwykła świnia...  
Jess wzruszył ramionami.  
— I... chciałem ci podziękować...  
— Za co?  
— Że wyciągnąłeś mój autobuldożer...  
— Nie masz mi co dziękować. Nie zrobiłem tego dla ciebie.  
— No, ale twój pas...  
— Mój pas. No i co z tego?  
— Mogłeś go dalej robić...  
— A potem wpakować się w raketę i zwiać na Ziemię. Jesteś głupi szczeniaku, nie cierpię twojej mordy i dla ciebie nie odwróciłbym nawet buldożera.  
— Więc dlaczego?

Trzy dni później nadleciał Rot. Tak jak mu kazano, wybrał dłuższy pas i zatoczył krąg do lądowania. Włączył się na fonię i...

- Ląduj przy tamtym pasie — powiedział Don.  
— Rób, jak ci w bazie kazano — usłyszał Jessa.  
— Tylko spróbuj mi tu wylądować, a gąsienicą rozgniotę raketkę razem z tobą — zapewnił go Don.

Rot nie rozumiał. Odleciał z powrotem do bazy, a w dole została pustynia i dwa nierówne pasy zbiegające się w literę „V” tam, gdzie w przyszłości miał stanąć port kosmiczny, a teraz był tylko piarg i lej wyryty przed wiekami przez jakiś meteor.

# STRAŻNIK

Odkryłem go w trzeciej godzinie po opuszczeniu bazy. Wyjechałem selenoładem na objazd automatycznych stacji grawimetrycznych. Rozrzucone na obwodzie spłaszczonej elipsy, w ognisku której leżała baza, odwiedzane były raz na tydzień przez kogoś z naszego zespołu. Właściwie tym razem jechać miał Krab, ale czekał na wideofoniczne połączenie z Ziemią i pojechałem ja.

Obsługa tych stacji była prosta i właściwie mógł ją z powodzeniem wykonywać auto-mat. Podjeżdżało się do zasobnika, wyjmowało z jego wnętrza mały, błyszczący kryształ mnemotronu, zawierający tygodniowy zapis pracy stacji, wkładało nowy, na oko nie różniący się niczym od zapisanego, zamykało zasobnik, pobieżnie sprawdzało zespoły i to było wszystko. Należało jedynie uważać, by nie pomylić mnemotronów i nie nagrać powtórnie zapisu na tym samym kryształ. Zdarzyło się to kiedyś właśnie Krabowi. Przywiózł do bazy nie zapisany kryształ i rozłożyliśmy całą stację w poszukiwaniu uszkodzenia, zanim wpadliśmy na pomysł, by sprawdzić zapis w pozostałym mnemotronie.

Oczywiście, gdyby wymianę mnemotronów przeprowadzał automat, nie pomyliłby się w ten sposób i to był argument.

— Nie — powiedział naczelnny kosmik bazy, wysłuchawszy nas wtedy — nie zgadzam się na żaden automat. Automat zrobi swoje, ale nie wykaże żadnej elastyczności działania, gdyby się cokolwiek wydarzyło.

— Ale co się właściwie może wydarzyć? — pomyślałem wtedy. Naczelnny kosmik, jakby przewidując to pytanie, dodał:

— To prawda, że nic się na ogół nie dzieje, ale zawsze jakieś prawdopodobieństwo zdarzeń niezwykłych istnieje, nieprawdaż? — uśmiechnął się.

— Szczątkowe... — powiedział Krab.

— Masz rację, szczątkowe, ale prawdę mówiąc, co wy tu macie do roboty? I tak wszystko prawie robią automaty.

Na to nie było odpowiedzi. Jeździliśmy więc na zmianę z Krabem, a czasem jeździł jeszcze ktoś, kto nie miał akurat nic innego do roboty. W końcu okazało się, że kierownik miał w pewnym sensie rację, bo automat nigdy by go nie odkrył. Automat pojechałby przecież zwykłą trasą, mimo że trzecia stacja została rozbita. Automat nie zmodyfikowałby swego postępowania tylko z tego powodu, że jakiś meteor unicestwił stację. Pojechałby tam, wysiadł, zrealizował wbudowany w jego świadomość rozkaz: „Odejdź, jeśli promieniotwórczość” (wszystkie automaty księżycowe mają wbudowany ten rozkaz, rozbicie bowiem stosu przez meteor jest tu przy braku chroniącej warstwy atmosfery dość częste). Wsiadłby więc z powrotem do selenoładu i pojechał do następnej stacji. I wszystko to powtarzałoby się za każdym objazdem, chyba że byłby to samouczący się automat wysokiej klasy. Ale kto takich automatów używa do kontroli stacji?

Ja zaś wiedząc, że trzecia stacja jest rozbita, wybrałem inną drogę. Ostatecznie specjalnych dróg na Księżycu nie ma, a księżycowy żwir wszędzie tak samo nadaje się do jazdy. Postanowiłem więc jechać od razu z drugiej stacji do czwartej. Przecinałem w ten sposób elipsę mniej więcej równoległe do małej osi. Duża oszczędność czasu, a przede wszystkim nowa trasa. W końcu nie jest prawdą to, co mówi się na Ziemi, że Księżyc jest lepiej znany na przykład od Himalajów. Może rzeczywiście mapy jego są dokładniejsze. Ale co innego sporządzać mapę z wysokości kilkudziesięciu kilometrów, a co innego przejść przez pył, w którym nie odcisnął się jeszcze nigdy but kosmonauty. Ma to posmak wyprawy w nieznaną, mimo że wystarczy spojrzeć na mapę, by wiedzieć dokładnie, w którym miejscu się wyjdzie.

Przejrzałem mapę i zanim dojechałem do drugiej stacji, wiedziałem, że wystarczy skręcić do niej doliną w lewo, potem przejechać przez dno średniej wielkości krateru, wydrapać się do jednej z przełęczy i już kilka kilometrów za nią ciągnął się zwykły szlak wracający ku czwartej stacji.

Wymieniłem więc mnemotron, przejechałem przez niewielki taras, na którym wzniesiono stację, i byłem już na dnie doliny. Zapaliłem reflektory selenożazu, bo chociaż świeciło Słońce i na tarasie było tak jasno, aż bolały oczy, w dolinie panował czarny, prawdziwie kosmiczny mrok. Prawdopodobnie kiedyś, przed wiekami, taras wraz z dnem doliny zapadł się podczas wstrząsów wulkanicznych, falujących powierzchnię globu i teraz znajdował się kilkadziesiąt metrów poniżej swego dawnego poziomu. Nic jednak nie wskazywało na tę katastrofę sprzed wieków. Dno doliny było równe, kamieni mało, a i to tylko duże, uprzątnięte jakby potężną miotłą pod skalne ściany. Pomyślałem, nie bez zadowolenia, że widocznie już w epoce fałdowań górotwórczych zaplanowano dla mnie tę drogę. Ba, uprzątnięto nawet pył, tak że jechałem po twardej powierzchni skał pumeksowych dość szybko, bo większe kamienie widziałem z daleka; rzucały długie cienie w ostrych światłach selenożazu.

Zobaczyłem go nagle. W pierwszej chwili myślałem, że to głaz o foremny, prostokątnym kształcie, ale wtedy w środku prostokąta zajarzyło się niewielkie zielone koło. Równocześnie zabuczał detektor radaru — zostałem oświetlony wiązką fal radarowych, a odbiornik fonii, dostrajający się automatycznie do odbieranej częstotliwości, szczeknął coś krótko. Potem zastanawiałem się niejednokrotnie, co wtedy myślałem, i przyznać muszę, że chyba nie było to raczej nic konstruktywnego, w każdym razie nie było to „analityczne ujęcie zagadnienia”, zalecane przez podręczniki kosmiki w nagłych a nieprzewidzianych wypadkach. Po prostu podświadomie uznałem prostokątną bryłę za automat i wyskoczyłem z selenożazu, by go z bliska obejrzeć. Przebiegłem może pięć kroków, gdy oślepił mnie błękitny błysk i mimo izolacji skafandra poczułem podmuch gorąca. Padłem wśród skał pod ścianę doliny i obejrzałem się za siebie. Mój selenożaz, a właściwie resztki poskręcane żelastwa, jakie z niego zostały, żarzyły się jeszcze. Wypromieniowując energię przechodziły z koloru czerwonego w wiśniowy, coraz ciemniejszy, aż wreszcie stały się tak czarne, jak otaczające je kamienie i ściany kotliny. Wtedy przestałem je widzieć. W ogóle nie widziałem niczego, pogrążony w czerni dna doliny. Tylko w górze płonęły oślepiająco jasne krawędzie kotliny, tak jasne, że gasły przy nich gwiazdy niewidzialne dla zwężających się źrenic.

Dopiero teraz, gdy już leżałem za kamieniem, zacząłem się bać. Chciałem się zerwać i uciekać, uciekać z powrotem jak najszybciej w kierunku bazy, donieść im o inwazji. Bo że to była inwazja, nie wątpiłem ani przez chwilę. Przecież żadne ziemskie automaty nigdy nie atakują. N i g d y !!! To jest pierwsze fundamentalne założenie ich pseudopsychiki. A może, gdy wrócę, nie będzie już bazy, nie będzie niczego, tylko wielki krater wypełniony szklistą stygnącą masą przechodzącą z czerwieni w podczerwień... A nad tym kraterem stać będą „prostokąty”, nieruchome z płonącym zielonym kołem pośrodku.

Chciałem uciekać, lecz wtedy gdzieś z podświadomości wypłynęło pierwsze przykazanie Mopsa (tak nazywaliśmy naszego profesora), który przy semestralnym egzaminie z kosmiki nieodmiennie pytał pierwszoroczników, co by zrobili, gdyby nagle w próżni w ich kabinie pojawił się kosmiczny przybysz w kształcie złocistej promieniującej kuli. Zazwyczaj zapytany pierwszorocznik, który nie zdążył jeszcze zasięgnąć języka na giełdzie, proponował nieprawdopodobne rozwiązania, obracające się wokół wyrzucenia siebie lub gościa z rakiety, wtedy Mops uśmiechał się pobłaźliwie.

— Czy nie sądzisz, że właściwą rzeczą byłoby najpierw pomyśleć? — pytał delikwenta.

Więc chyba wtedy, gdy leżałem między tymi głazami na dnie księżycowej doliny, przyszło mi

na myśl pytanie Mopsa. A gdy człowiek nakazuje sobie myślenie, strach znika, a raczej chowa się w podświadomości i wtedy można już myśleć. A więc co się właściwie stało? Selenoładz zbliżył się do „prostokąta”, od tego wszystko się zaczęło. Wtedy „prostokąt” stał się aktywny. Zapalił zielone koło, oświetlił pojazd radarem i zniszczył go. Ale zaraz, coś tu się nie zgadza. Zanim przecież wystrzelił swój promienisty ładunek, na kilka sekund przed-tem, bo w tym czasie zdążyłem otworzyć klapę i przebiec kilka metrów, rzucił jakieś wezwa-nie na fonii. Po co?

To było co najmniej niejasne. Może pytał o coś. Ale o cóż mógł pytać w nieznanym języku? Czego chciał się dowiedzieć ode mnie, pilota zniszczonego w chwilę potem seleno-ładzu?

Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie, ale przynajmniej byłem już teraz zupełnie spokojny. Musiałem się stąd wydostać, zawiadomić bazę, a jeśli baza jest zniszczona Ziemię. Tak, to było jasno sformułowane zadanie. Co więc się stanie, gdy wstanę i zacznę uciekać? Prawdopodobnie „prostokąt” oświetli mnie radarem, zapyta o coś albo nie zapyta, a następnie zniszczy. Nie, nie mogłem ryzykować. Mogłem jeszcze wzywać pomocy. Radio nie wchodzi-ło w rachubę. Fale jego rozchodzą się prostoliniowo, nie dotrą więc do bazy z tej doliny o pionowych ścianach, nadajnik jest zbyt słaby, żeby jego sygnał został odebrany z automaty-cznych satelitów okrążających Księżyc. Została raketnica. Wystrzelę raketę. Z samej bazy nikt jej nie dostrzeże. Baza leży daleko, za bliskim księżycowym horyzontem. Chyba że ktoś przypadkowo, ale na to nie ma co liczyć. Nie pozostaje więc nic innego... Ależ nie, jakież ze mnie idiota, że od razu na to nie wpadłem. Przecież mam naboje „radarowe”. Normalnie wystrzeliwuje się je w górę, gdzie pękają, rozsiewając w próżni drobne kryształki. Od chmury takich kryształków fale radaru odbijają się na ekranach odbiorników, powstaje mała plamka. Dyżurny czuwający przy odbiorniku melduje:

— W sektorze... obiekt nieznanego pochodzenia. Identyfikacja obiektu jest jednozna-czna z odnalezieniem rozbitka. Tym razem jednak wystarczy wystrzelić nabój tu w dolinie, żeby... „prostokąt” oślepl. Bo to przecież jasne, że nacelowuje on swój miotacz na ruchomy obiekt według namiarów radarowych.

Wyjąłem więc raketnicę, załadowałem wyjęty ze specjalnej przegrody torby „radarowy nabój” i nagle spostrzegłem, że w dolinie robi się coraz jaśniej. Pomyślałem, że to może jakaś rakietka ogniem swych gazów wylotowych oświeca głązy. Spojrzałem w górę. Niestety, to tylko Ziemia krawędzią swej tarczy wschodziła zza otaczających dolinę skał.

Skierowałem raketnicę wprost w skały, tam gdzie stał „prostokąt”. Wybuch, jak wszy-stko na Księżycu, był bezgłośny. Ze skał powstała biała chmura. Momentalnie wypełniła doli-nę i wzniosła się setki metrów ponad jej krawędź jakby potężna erupcja księżycowego gejze-ru.

Podniosłem się i zacząłem biec kotliną z powrotem. Początkowo chmura była tak gęsta, że czułem się jak we mgle. Wpadałem na kamienie lub trafiałem wprost na ściany doliny. Tak było do zakrętu. Minąłem zakręt i dojrzałem przeświecającą przez biały opar tarczę Ziemi. Od wystrzału minęły najwyżej dwie minuty, ale mgła już zdążyła się przerzedzić, opadała bo-wiem na Księżycu równie szybko jak rzucony w górę kamień. Dalej było już zupełnie widno, tak że mogłem swobodnie biec. Był to szybki, księżycowy bieg, którego nie hamuje powie-trze, a każdy krok jest ponad dziesięciometrowym skokiem. W każdym razie drogę powrotną przebyłem szybciej niż przedtem selenoładzem i już po kilku minutach wzywałem z drugiej stacji bazę.

Czekałem na jej sygnał bojąc się równocześnie, że go nie usłyszę. Ale nadszedł jak zwykle czysty, wyraźny, bez zakłóceń.

— Praktykant Rob do naczelnego kosmika bazy. Pilne! — powiedziałem do mikrofonu.

Dyżurny automat potwierdził odbiór i teraz czekałem.

— Naczelnik kosmik. Słucham... — odezwał się po chwili głośnik.

— Praktykant Rob melduje, że odkrył automat niszczący...

— O czym ty mówisz?

— Ten automat zniszczył mój selenożaz... i mnie prawie też...

Tam po drugiej stronie kosmik milczał chwilę.

— Skąd mówisz? — zapytał wreszcie krótko.

— Z drugiej stacji.

— Czy dobrze się czujesz?

— Tak... nie zdołał mnie trafić.

— Ja się pytam, czy w ogóle dobrze się czujesz?

To mnie dotknęło. Co on sobie właściwie wyobraża?

— Jak najlepiej — powiedziałem. — Składam formalny raport i proszę zapamiętać to u automatu dyżurnego.

— Dobrze już, dobrze... — powiedział kosmik. — Nie masz się czego obrażać. Zaraz przylecimy rakieta do drugiej stacji i zobaczymy, co tam jest naprawdę.

Rzeczywiście, nie upłynęło dziesięć minut, jak wylądowali. Naczelnicy kosmik, Krab i Uten — neuronik. Poza tym przywieźli dwa androidy.

Gdy opowiadałem, Krab patrzył na mnie z podziwem. Uten uśmiechał się z niedowierzaniem, a twarz kosmika nie wyrażała nic, podobnie jak „twarze” androidów.

— A gdzie jest twój selenożaz? — zapytał Uten.

— Stoi w głębi tej doliny.

— Chodźmy więc do niego.

— On stoi w zasięgu „prostokąta”. Tam nie można podejść...

— Sami zobaczymy — powiedział Uten. — Idziemy? — zwrócił się z pytaniem do kosmika.

— Nie będziemy ryzykować. Co tam jest, trudno powiedzieć, ale w każdym razie nie będziemy ryzykować. Pójdą androidy, a my będziemy je obserwować z rakiety.

Uten wzruszył ramionami. Nic nie odpowiedział, ale widać było, że nie wierzy w żadne „prostokąty”. Uważał się za znawcę Srebrnego Globu i nie mógł sobie wyobrazić, że byle praktykant może odkryć tu coś, co by jemu nie było znane. Wsiadliśmy jednak do rakiety i wystartowali w górę, podczas gdy androidy ruszyły doliną.

— To tu — powiedziałem. — Rzućmy flarę.

— Androidy jeszcze nie doszły. Rzucimy, gdy będą już blisko — powiedział kosmik.

Wisieliśmy więc nad doliną. Rakieta wyrzucała z dysz czerwony płomień. Jej ciąg równoważył księżycową grawitację.

— Już są — powiedział Uten patrząc w ekran radaru. — ... o... — dodał, bo nagle na ekranie zjawił się obcy sygnał.

— Flarę — zarządził kosmik.

Krab nacisnął dźwignię i biały płomień zaczął spadać na dno doliny. Nie doleciał nawet do połowy drogi, gdy na dole błysnęło i błękitny piorun, jaśniejszy od flary, oświetlił każdy kamień, każde załamanie ścian doliny. Jeden sygnał radarowy zgasł — jeden z androidów przestał istnieć; przestały istnieć również jego radarowe oczy. Drugi, wyraźnie teraz widoczny w blasku flary, posłuszny swemu sprzężeniu samozachowawczemu, próbował się wycofać. Nie zdążył. Drugi błysk... i rozżarzony na chwilę stał się także stertą nadpalonego złomu.

— No, Uten, ty nawet byś się nie żarzył — powiedział Krab.

Uten nie odrywał wzroku od ekranu.

— Tak, to chyba inwazja — powiedział cicho.

Kosmik tymczasem łączył się przez bazę z Ziemią. Potem relacjonował komuś z ziemskiego Instytutu Kosmiki przebieg zjawiska. Słuchałem krótkich zdań, a jednak nie bardzo wiedziałem, o czym mówią. Głowa mi ciążyła i miałem mdłości. Pamiętam jeszcze, że gdy kosmik skończył mówić z Ziemią, zapytał go Uten

— Dlaczego nie wspomniałeś nic o inwazji?

— Bo inwazji nie przeprowadza się jednym automatem w bezludnej księżycowej dolinie.

— Więc co to jest?

Kosmik uśmiechnął się.

— Gdybym wiedział, niepotrzebni byłiby ci wszyscy specjaliści, którzy tu przylecą.

— Ja... — chciałem powiedzieć, że ja także myślałem o inwazji, ale zakręciło mi się w głowie i plecami oparłem się o pulpit rozrządu. Krab mnie przytrzymał.

— Co ci jest? — zapytał.

— Nic, kręci mi się tylko w głowie... — chciałem jeszcze coś dodać, ale następnym moim wspomnieniem jest dopiero biały kitel naszego lekarza z bazy.

Miałem chorobę popromienną. Podobno stałem za blisko strumienia energii, który zniszczył selenoład, i dostałem jakąś końską dawkę. Większość jej zatrzymał wprawdzie mój skafander, ale to, co przeszło przez moje ciało, wystarczyło, by mnie zapakować do łóżka. Solem, lekarz naszej bazy, zachwycony, że wreszcie ma pacjenta, odwiedzał mnie osiem razy dziennie i głównie jego staraniom zawdzięczam, że zostałem w bazie i nie wróciłem pierwszą rakieta na Ziemię. On też przynosił mi najnowsze wiadomości.

— Wiesz, Rob, wylecieli dwie godziny temu, by przywieźć ten „prostokąt” do bazy — wpadł do mnie podniecony.

— Jak to, chcą rozbić bazę?

— Nie, oczywiście, że nie. Zabierają się do niego w jakiś przemyślny sposób. Wygaszają mu fale... czy coś takiego.

— To się nie zawsze udaje...

— Nie martw się. Już oni się do tego dobrze przygotowali. Przyleciała grupa kilkunastu specjalistów z Ziemi. Mówię ci, ruch w bazie jak na kosmodworcu. Są też jacyś dziennikarze z wideotronii. Chcieli ciebie zobaczyć, ale posłałem ich do wszystkich kosmicznych diabłów.

— To ja jestem tak ciężko chory?

— Ależ nic podobnego, gdyby tak było, poleciałbyś od razu na Ziemię. Nie możesz myśleć w ten sposób, to fatalnie przedłuża rekonwalescencję.

— No, właściwie ja się czuję zupełnie dobrze...

— A widzisz. Ja też twierdziłem cały czas, że nic ci nie jest, wbrew jakiejś sławie medycznej z Ziemi, która odbywała tu ze mną telekonsylium.

— Genialnie zrobiłeś, Solem, żeś mnie tu zatrzymał. W jakimś sanatorium na Ziemi dowiadywałbym się wszystkiego dopiero z teledzienników i nie mógłbym być obecny chociażby przy dzisiejszym badaniu „prostokąta”. Nie darowałbym sobie tego do końca życia.

Przy ostatnich słowach Solem zaczął się niespokojnie wiercić.

— No wiesz, chyba cię nie będę mógł jeszcze puścić do tego „prostokąta”.

— Czyżby ze mną było aż tak źle? — udałem przestraszony.

— No nie, ale...

— Solem, nie strasz mnie niepotrzebnie. Sam powiedziałeś...

— ...



— Zresztą, Solem, i tak wiesz, że tam pójde, więc o co chodzi.

„Prostokąt” przywieźli pół godziny później. Staliśmy wszyscy w centralnej sali bazy, gdy nadeszli najpierw specjaliści w ciężkich przeciwpromiennych skafandrach, a za nimi automaty dźwigające „prostokąt”. Oczywiście to nie był prostokąt, lecz potężny prostopadłościan z wystającymi czułkami anten... Automaty złożyły go ostrożnie na posadzce i odstąpiły na boki pod naporem ludzi... Potężny metalowy blok leżał nieruchomy, pozbawiony wyrzutni promienistych, które poprzednio wymontowały już automaty...

Ci, którzy przyszli, zdejmowali skafandry i przybierali znowu zwykłe, ludzkie kształty. Tuż, może dwa kroki przed sobą, dostrzegłem człowieka, którego już gdzieś widziałem. Zrzucił skafander, przyglądał swoją rozczochraną rudą brodę i podniósł rękę, chcąc uciszyć gwar.

— Mam dla was pierwszą wiadomość — powiedział donośnym głosem. — Ten automat jest ziemskiego pochodzenia. Tym samym upada atrakcyjna hipoteza inwazji — spojrzał w stronę reporterów wideotronii, z których większość nadawała komunikaty na Ziemię. Ależ tak, nie mogłem się mylić, to był Torboran, najbardziej znany historyk neuroniki.

— Pochodzi on — ciągnął — sprzed mniej więcej pięciuset lat, to znaczy z okresu pierwszych wypraw na Księżyc. Poza tym mogę was zapewnić, że nie jest to automat produkowany seryjnie. Jest to pojedynczy egzemplarz skonstruowany do celów specjalnych... Ostatecznie niszczenie wszystkiego, co się rusza po powierzchni Księżyca, nawet w tych wiekach, nie było codzienną rolą automatów. A teraz twoja kolej, profesorze Woe — zwrócił się do małego, niepozornego człowieczka, który właśnie wydobywał się ze zbyt wielkiego dlań skafandra.

— Szanowny kolega już mnie przedstawił, ja muszę dodać, że jestem lingwistą, profesorem wymarłych języków ery wczesnoatomowej. Wiecie chyba z historii, że zanim trzysta lat temu wprowadzono na całej Ziemi normalny język, różne narody mówiły różnymi językami, tymi, które teraz jeszcze czasem słyszy się w dawnych pieśniach. — Przerwał na chwilę, a ponieważ w ogóle mówił cicho, niełatwo go było zrozumieć. — Żeby was już dłużej nie męczyć, powiem tylko, iż słowo, które nadawał ten automat, było żądaniem hasła w jednym z tych języków. Automat czekał chwilę na odpowiedź, a następnie, gdy nie nadchodziła, emitował wiązkę energii...

— Wcale zresztą pokażną jak na owe czasy... — uzupełnił jeden z tych, którzy wrócili.

— Wiazkę energii niszczącą tego, kto nie znał hasła — profesor Woe umilkł.

— To już wyraźnie wskazuje na rolę tego automatu — zagrzmiał znowu Torboran. — Pełnił on pewną funkcję logiczną. Dzielił bowiem zbiór wszystkich poruszających się w jego zasięgu układów na dwa podzbiory: na podzbiór, którego elementy podawały hasło, i podzbiór, którego elementy tego nie czyniły, to znaczy prawdopodobnie hasła nie znały. Elementy tego drugiego podzbioru należało niszczyć i tu zaczynała się druga, wykonawcza funkcja automatu. Tyle wiedzieliśmy po wstępnych badaniach. Wniosek, jaki się nasuwa, jest zresztą zupełnie oczywisty. Ten automat pełnił rolę strażnika, był po prostu s t r a ż n i k i e m. Ale strażnik musi przecież czegoś strzec, jeśli jego zachowanie ma być logicznie uzasadnione. To coś musiało być dla twórców strażnika bardzo cenne, skoro zdecydowali się skonstruować tak skomplikowany, jak na owe czasy, automat. A to pozostawało dla nas zagadką, automat bowiem nic takiego nie posiadał. W tym miejscu należy skłonić głowę przed profesorem Woe...

— Ależ, profesorze Torboran, na to wpadłby każdy. Mnie po prostu wcześniej się udało....

— Nadmierna skromność, drogi lingwisto. Mnie by to przez myśl nigdy nie przeszło. Ówczesne automaty były tak prymitywne, że podobne rozwiązanie byłoby dla mnie nie do przyjęcia... Ale okazało się, że profesor Woe miał rację. Chodziło o znalezienie tego hasła. To ostatecznie dla

współczesnych automatów nie takie trudne. Po prostu przejrzały prymitywną pamięć strażnika i odkryły właściwe słowo... Potem nadaliśmy to słowo jako odpowiedź na wezwanie (wezwanie to powtarzał raz po raz, a potem kierował na nas miotacze, których już nie było). Więc gdy nadaliśmy to słowo, on wyemitował jakiś sygnał i nagle coś w głębi doliny błysnęło. Myśleliśmy, że to nowe miotacze... Wysłaliśmy więc androidy, ale to był tylko wybuch, wybuch, który odsłonił wejście do skalnej grotki... A tam, jak zawsze w tajemniczych grotkach, znaleźliśmy skarb — Torboran zaśmiał się głośno. — Dość zabawny skarb, szczególnie jak na nasze czasy... Wyobraźcie sobie — zawiesił głos dziesiątki stalo-wych butli napełnionych tlenem.

— I to już cały skarb? — spytał zawiedziony jakiś młody dziennikarz o białych prawie włosach. Torboran nagle spoważniał.

— A ty, młody człowieku, coś myślał, że znajdziemy złoto czy kosztowności ukryte przez pierwszych kosmonautów?...

— No nie, ale...

— Ale byłbyś mniej zdziwiony, gdyby to było złoto. Bo cóż to w końcu tlen? Masz go pod ręką, ile chcesz, Możesz nim oddychać pod ciśnieniem atmosferycznym lub sztucznie zwiększonym, możesz go zmieniać w ozon lub spalać w płomieniu. Bo przecież są regeneratory... a poza tym można go przywieźć z Ziemi, ile kto chce. Czyż nie? Ale widzisz, pięćset lat temu, w czasach, z których pochodzi strażnik, kosmonauci umierali na Księżycu, gdy zabrakło tlenu... Umierali najczęściej właśnie dlatego. A tu, pomyśl, taki skład i dziesiątki butli. Czy to nie był skarb?

— Tlen, rozumiem. Ale w takim razie po co strażnik? — zapytał znowu ten sam blondyn.

— Tak, ty tego nie pojmujesz i to w ogóle jest dla nas trudne do zrozumienia. Oni ukrywali ten tlen wzajemnie przed sobą.

— Jak to? Kosmonauci przed innymi kosmonautami?

— Tak.

— I nie daliby tego tlenu, nawet gdyby inni umierali?

— No nie, tu chodziło o cały skład. Należał do jednej grupy i tylko ci mogli nim dysponować.

Ci znali hasło...

— A inni?

— Inni hasła nie znali.

— I tych strażnik miał zniszczyć?

— Tak. Gdyby chcieli zabrać tlen dla siebie.

— ...

— Nie, nigdy nie zniszczył nikogo. Dopiero selenożaz Roba. Miał ograniczony ładunek energii promienistej. Mogliśmy obliczyć, ile jej zawierał pierwotnie.

— Więc tamci nie znaleźli go, nie trafili po śladach? Przecież ślad raz odcisnięty w księżycowym pyłe trwa wieki...

— Tam pyłu nie było, tylko same skały. A może oni nigdy nie szukali tego składu...

— A ci, co zbudowali strażnika?

Torboran wzruszył ramionami.

— W tych okolicach lądowały różne wyprawy. Niektóre z nich nie wróciły... Jedna z nich ukryła zapewne zapas tlenu i postawiła strażnika...

— Dziwne to były czasy i dziwni ludzie — powiedział blondyn.

— Może i dziwni — Torboran mówił teraz cicho — ale dzięki nim jesteśmy dzisiaj na Księżycu... i nie tylko na Księżycu...

Spojrzał na obalony prostopadłościan strażnika, wziął swój skafander i wyszedł z sali.



# SZANSA ŚMIERCI

— Proszę, niech wejdzie - powiedziałem do mego androida. Android zniknął w mato-wym polu siłowym wejścia, a ja podszedłem do okna. Poczulem na dłoniach ciepło Słońca, bo był lipiec i jeden z tych dni, na które pogodę zaplanowano bezchmurną. Tuż nad moją ręką spostrzegłem osę. Brzęczała, starając się przedrzeć na zewnątrz przez pole siłowe zastępujące szybę. Co chwila zanurzała się w polu i odrzucana jak piłka, znowu próbowała szczęścia...

— Chciałeś się ze mną zobaczyć — powiedział stając tuż za mną.

— Tak — odwróciłem się od okna i spojrzałem na niego z góry, bo był niższy ode mnie.

— Dziwisz się, że naprawdę jestem taki stary. Telewizofonia odmładza, a dotychczas widziałeś mnie tylko w ekranie.

— Wyglądasz tak, jak się spodziewałem, właśnie dokładnie tak — powiedziałem, ale to nie była prawda.

— A ty jesteś Goer, kierownik Eksperymentu? — zapytał, jakby się chciał upewnić, że jestem tym, dla którego tu przyleciał. Niewielu do nas przylatuje.

— Jestem Goer i chcę ci podziękować, żeś przybył.

— Ja też się wahałem, ale ostatecznie jestem tak stary — zaśmiał się bezgłośnie.

Potem spowaźniał nagle i zapytał:

— Czy... czy to się zawsze udaje?

— To jest Eksperyment i zresztą sama technologia jest okropnie skomplikowana.

— Tak, to musi być trudne. Przekazać wszystko, co się nawarstwiało tyle lat...

— Na ogół się udaje... A jeśli nie... no to powtarzamy Eksperyment — starałem się uśmiechnąć, ale chyba mi się to nie udało.

— I później mnemokopie wysyłacie w próżnię?

Skinąłem głową.

— I wracają?

— Nie. Po co miałyby wracać? To są automaty, zwykłe automaty. — Słowo „automaty” podkreśliłem celowo. — One badają Kosmos. A potem... potem są niepotrzebne... Zresztą, jak dotychczas, to jedyna możliwość eksploracji Kosmosu — dodałem.

Profesor zamyślił się chwilę, a potem zapytał:

— A moją kopię, bo to przecież będzie dokładnie moja kopia, dokąd wyślecie?

— Oczywiście, mnemokopia, przynajmniej w chwili powstania, jest całkowicie równo-ważna twemu umysłowi. To tak jakby ktoś, kto jest drugim tobą, stanął obok ciebie, profesoro-rze.

— No tak, ale to jednak będzie maszyna, automat...

— Na pewno.

— Widzisz, Goer, ja jestem tylko biofizykiem i na neuronice się nie znam, ale jak maszyna może myśleć, tak jak ja? Przecież automaty...

— Ba, automaty. Ich mózgi są prymitywne w porównaniu z twoim.

— Są martwe.

— To nie o to chodzi. Myślenie, samodzielne, twórcze myślenie jest zależne tylko od komplikacji sieci. A czy ta sieć składa się z komórek, jak twój mózg, czy z elementów nie-organicznych, jak mnemokopia, to nie ma żadnego znaczenia... wierz mi, to nie ma naprawdę żadnego znaczenia.

— Hm... możliwe, muszę ci wierzyć. Ale nie mogę jakoś wyobrazić sobie tej... mnemo-kopii, która będzie mną. Mówisz, że to tak, jakbym ja wyszedł z siebie i stanął obok — zaśmiał się znowu

tym swoim bezgłośnym śmiechem.

— Coś w tym sensie — zgodziłem się.

— Ja jestem mały, stary człowiek, którego każda część z osobna nie nadaje się do życia, a wszystko razem trzyma się jeszcze dzięki... dużej odchyłce od stanu najbardziej prawdopo-dobnego w tym wieku... od śmierci. Dziwisz się? — dodał spojrzawszy na mnie. — Ja już mam sto dziesięć lat, Goer. Byłem profesorem, gdy ty się urodziłeś.

— Masz sto dziesięć lat?...

— Tak, Goer. I właśnie mnie proponujecie, żeby mój stary mózg powielił się w maszy-nę, żeby każda komórka znalazła swój nieorganiczny odpowiednik, żeby każde połączenie, istniejące w głębi mego mózgu, zastąpił przewód w tej maszynie. Czy tak?

— Tak, wtedy ta maszyna będzie równoważna tobie, profesorze.

— Słowem, moja osobowość otrzyma nową piękną oprawę w postaci metalowych szaf wypełnionych kilometrami przewodów. Moim myśłom będzie towarzyszył szczyk przekaźni-ków i zasilany będę prądem elektrycznym przesyłanym z transformatorów energii, zanurzo-nych w stosie. Czy nie sądzisz, że jest to niesamowite?

— Niesamowite?... Może. Z subiektywnego, twego punktu widzenia. Ale poza tym... Dla mnie na przykład byłoby zupełnie obojętne, czy rozmawiałbym z tobą, profesorze, czy z twoją mnemokopią.

— Z mnemokopią można więc rozmawiać? Nie wiedziałem o tym. To może być intere-sujące,, taka szczerza rozmowa z sobą samym.

— Nie sądzę... Zresztą mnemokopia po transpozycji znajduje się jakby w stanie snu.

— A potem uzyskuje świadomość, czy tak? — zapytał profesor.

— Tak, uzyskuje świadomość — odpowiedziałem.

Profesor przyglądał mi się przez chwilę z uwagą, a potem zapytał nieśmiało:

— A kiedy... ona się budzi? — Przed słowem „budzi” zrobił dłuższą pauzę, jakby zastanawiając się, czy można go użyć, mówiąc o automacie.

— Budzi ją radiowy sygnał wysłany z Ziemi.

— I wtedy można z nią rozmawiać?

— Tak, ale wtedy jest już poza granicami Układu Słonecznego i przesłanie jednego zda-nia trwa kilka godzin. A zresztą z mnemokopią nie prowadzi się rozmów.

— Dlaczego?

— ...

— Nie chcesz mi powiedzieć, dlaczego się z nimi nie rozmawia?

— Nie chcę.

— Czy... czy nie sądzisz, że mam prawo wiedzieć?

— Jestem pewny, że nie masz. Nie od dzisiaj prowadzę Eksperyment i wiem dokładnie, co ci mogę powiedzieć. Musisz pamiętać, że wszystko to, co ty wiesz, wiedzieć będzie rów-nież twoja mnemokopia...

— To dlatego...

— Między innymi i dlatego.

Wiedziałem, że mały stary człowiek jest speszony. Kręcił się na swym krześle, rzucając mi spłoszone spojrzenia.

— Dokąd ona poleci, ta mnemokopia? — zdecydował się wreszcie zapytać.

— Do Antaresa A.

— Do Antaresa... To duża gwiazda?

— Ogromna, czerwony olbrzym.

— I ona ją zbada, naprawdę?

— Tak, ujrzy dalekie planety, księżycy wokół nich krążące. Będzie to widzieć nie własnymi oczyma, bo mnemokopia oczu nie ma, a właściwie ma bardzo wiele, tyle, ile automatów przekazujących jej swe obserwacje. Pobierze próbki powierzchni planety, to znaczy zrobią to automaty, które, dokonawszy analizy, podadzą jej wyniki...

— I mnemokopia zapamięta to wszystko?

— Nie tylko zapamięta, ale zanalizuje, wyciągnie wnioski i w postaci pęku fal wyrzuci je ku Ziemi.

— Dotrą one do Układu Słonecznego, gdy my...

— Gdy z ciebie, profesorze, ani ze mnie nie zostanie najmniejszy nawet ślad na tym globie.

— I mimo to?...

— Tak. Ci, którzy przyjdą po nas, odbiorą te fale i wiedzieć będą o Antaresie wszystko.

— Rozumiem — cicho powiedział profesor. — Właściwie to jest nawet słuszne. My całe życie pracujemy, by powiększyć wiedzę, a raczej zmniejszyć niewiedzę ludzkości. Dla-czego nasze mnemokopie nie miałyby pójść w nasze ślady...

Oparł swoją siwą głowę na rękach i wpatrywał się w mego androida. Spojrzałem w tym samym kierunku, ale android stał nieruchomy i tylko popołudniowe słońce, rzucając skośne promienie, zapaliło odblaski w jego pancerzu.

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

— Podobno one myślą szybciej od nas, ludzi?

— Myślą szybciej — potwierdziłem. — To wynika z wielokrotnie większej prędkości impulsu biegnącego w metalicznym przewodniku w porównaniu z organicznym włóknem nerwowym:

— To znaczy, że one myślą lepiej ?

— Są po prostu w stanie sprawdzić większą ilość koncepcji myślowych.

— O to właśnie chodzi...

Znowu zamilkł, a mnie się wydawało, że ciągle krąży wokół tematu, którego nie decyduje się podjąć.

— Poza tym mnemokopia ma o wiele więcej czasu do myślenia niż my, ludzie, z konieczności ograniczeni długością naszego życia — dorzuciłem, by ostatecznie wyjaśnić sprawę.

— Tak... zresztą wszystko jedno, powiem ci — profesor zdecydował się wreszcie. Patrzył teraz na mnie swymi starymi, wyblakłymi oczyma. — Widzisz, od siedmiu lat roz-wiązuję problem; być może najdonioślejszy problem, jaki rozwiązywałem w życiu. Chodzi o magnetochemiczne równanie komórki... — przerwał i wpatrywał się we mnie wyczekująco. — Nic ci to nie mówi — kontynuował po chwili z uśmiechem. — To prawda, mnie się zdaje, że wszyscy powinni być zainteresowani równaniem komórki, a w istocie, z wyjątkiem kilku-set specjalistów, nikt nic o tym nie wie i nic nikogo to nie obchodzi... W każdym razie dla mnie to bardzo ważna sprawa, przynajmniej przez ostatnie siadem lat. Ale właśnie w tym siódmym roku zorientowałem się, że zabrałem się do tego równania zbyt późno...

— Nie rozumiem. Jak to zbyt późno?... — przerwałem mu.

— Nie rozumiesz i zrozumieć tego nie możesz. Jesteś jeszcze młody. Otóż w pewnym wieku problemy stają się zbyt skomplikowane. To oczywiście subiektywne wrażenie, bo problemy pozostają te same, tylko nasza zdolność rozumowania... Przykra sprawa... — zająknął się.

— Wiem do czego zmierzasz. To będzie niemożliwe — powiedziałem stanowczo.

— Ale dlaczego? Powiedz mi dlaczego'? Przecież mnemokopia, myśląc wielokrotnie szybciej,

rozwiąże problem.

— Ale wyniki przekazać będzie mogła dopiero z Antaresa.

— Mógłbym ją zapytać jeszcze przed odlotem.

— To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Nie powiem ci, ale wierz mi, że to jest niemożliwe.

— Nie rozumiem. Przecież można odblokować mnemokopię i zapytać...

— Teoretycznie można, ale tego nie zrobię. Konsekwencje mogłyby być zbyt poważne.

— Konsekwencje? Nie rozumiem.

On rzeczywiście nie rozumiał i nie uwierzyłby, nawet gdybym mu wytłumaczył.

— Musisz mi wierzyć na słowo — na słowo cybernetyka — dodałem.

Ale on nie uwierzył...

Kosmolot krążył po kołowej niemal orbicie w tej strefie przestrzeni okołoziemskiej, z której odlatują statki do gwiazd. Zbliżaliśmy się ku niemu, ale gdyby nie tykający monotonnie wskaźnik radarowy, mierzący malejącą odległość, wydawałoby się, że wisimy w tym samym miejscu próżni, ponad wielkim zielonkawym lampionem Zielni. Oprócz nas w rakiecie stały rzędami automaty wyspecjalizowane w transpozycji engramów, długi rząd czarnych brył. Profesor milczał. Milczał podczas lotu i milczał, gdy na czele kolumny maszerujących auto-matów przechodziliśmy przez mroczne, niebiesko fosforyzujące, korytarze kosmolotu. Sala transpozycji znajdowała się w samym środku statku. Gdy weszliśmy, zabłysnął reflektor, oświetlając biały blat stołu, z którego wybiegały grube pęki przewodów i nikły w ścianach sali. Profesor spojrzał na mnie pytająco. Skinąłem głową. Podeszedł do stołu, podczas gdy automaty zajmowały swoje miejsca przy pulpitych. Potem wszystkie światła zgasły, zapłonęły różnokolorowe lampki kontrolne i jarzył się tylko reflektor, oświetlając leżącego profesora i kępy siwych włosów spadające na posadzkę spod wirujących ostrzy automatu.

— To nie będzie bolało — powiedziałem do niego. Nie wiem czy zrozumiał, czy w ogóle mnie słuchał. Zamknął oczy i chyba już spał. Potem widziałem jego mózg, drgający, pulsujący w takt uderzeń serc. Odszedłem od stołu i ze wszystkich stron ruszyły ku niemu automaty. Otoczyły go ciasnym kręgiem i trwały tak chwilę pochylone w milczeniu. Światła kontrolne zamigotały. Transpozycja engramów rozpoczęła się.

Czarnymi, grubymi przewodami płynęły impulsy prądu myśli, wspomnienia, wrażenia. Jakaś łąka pachnąca latem po deszczu, biały osad wytrącający się na dnie próbówki, grzmot silników startującej rakiety, a potem zapach zeszlonego żarem betonu i świadomość, że ktoś odleciał... impulsy... miliony impulsów... nic, tylko impulsy. Sekundy mijały, w każdej z nich tysiące engramów przechodziło w mnemokopie. Z wolna bezimienna sieć otrzymywała dzie-ciństwo, uczyła się czytać, przeżywała pierwszą miłość, pisała prace naukowe, starzała się — stawała się profesorem.

Wyszedłem z sali i ruszyłem korytarzem przed siebie.

Nie spostrzegłem nawet, kiedy doszedłem do stosu i stanąłem przed jego potężnymi pancernymi drzwiami. Wtedy usłyszałem basowe buczenie. To rozpoczęły pracę zespoły zasi-lające mnemokopii.

— To już po wszystkim? — profesor zdawał się być zdziwiony.

— Tak, On już istnieje. Popatrz, śpi teraz.

— Te wijące się krzywe na ekranach?

— Tak, kreślą one rytm pracy mózgu śpiącego człowieka...

Staliśmy pośrodku centrali. Automaty zwijały ostatnie przewody z akrynowej posadzki.

Właściwie wszystko było skończone, instrukcje wydane, szczegóły uzgodnione. Za chwilę profesor wsiądzie w raketę i odleci na Ziemię. Wtedy ja stanę za sterami, zwiększę rozpad w stosie atomowym i wyprowadzę kosmolot z sąsiedztwa Ziemi. Wniosę się ponad płaszczyznę ekliptyki i także odleczę raketą. Wtedy nadejdzie sygnał. Czuwający na nasłuchu automat wejdzie do centrali, ujmie swym metalowym uchwytem czerwoną dźwignię, szarpnie ją w dół i On się zbudzi.

— On się budzi po zerwaniu plomby z czerwonej dźwigni — zapytał profesor. Wido-cznie także myślał o tym.

— Tak. Wtedy stanie się jedynym władcą statku. I będzie nim kierował setki lat, aż iskra Antaresa rozrośnie się w potężną tarczę, przysyłającą swym czerwonym żarem tysiące gwiazd.

— Pomyśl, Goer, jak krótkie jest nasze życie w porównaniu z jego istnieniem — profesor podszedł do pulsujących krzywymi ekranów i oparł rękę na czerwonej dźwigni.

— Uważaj, możesz zerwać plombę.

Profesor nie zdjął ręki. Patrzył w głąb ekranów, jakby chciał przeniknąć Jego myśli. Potem odwrócił się do mnie.

— Nie miej do mnie żalu, Goer, ale ty wiesz, dlaczego brałem udział w Eksperymentcie.

Tak, w tej chwili zrozumiałem, co on chciał zrobić... Ale on nie rozumiał, że gdy mne-mokopia przejmie kierowanie statkiem, stanie się jego absolutnym władcą, będzie wiedzieć, co się dzieje nawet w najmniejszym jego pomieszczeniu, i setki automatów, pozbawionych sprzężeń samozachowawczych, będą gotowe bezwzględnie wykonać każdy rozkaz. A mnemokopia to mózg człowieka, który w przeciwieństwie do innych układów myślących nie musi postępować logicznie, może cierpieć, nienawidzić, bać się...

— Profesorze, twoja rakietka już czeka. Czas na ciebie... — powiedziałem to zupełnie spokojnie.

— Goer, ty naprawdę nie rozumiesz? — profesor zaśmiał się tym swoim śmiechem.

— Czego nie rozumiem? — chciałem podejść ku niemu.

— Stój na miejscu — powiedział twardo.

— Zostaw tę dźwignię, profesorze! Zostaw... Czeka, wytłumaczę ci...

— Nie. Nie wierzę ci. Może wzywasz właśnie jakiś automat...

— Ależ...

— Zerwę ją. Po to przecież biorę udział w tym wszystkim...

Skoczyłem ku niemu i obaj przewróciliśmy się na posadzkę. Trzymałem go za gardło, ale było już za późno. Nim go dosięgnąłem, widziałem, jak pod naciskiem jego dłoni pękła srebrna nić z plombą, podtrzymująca czerwoną dźwignię. Padając na posadzkę słyszałem, jak narastał zewsząd delikatny, nieuchwytny szum. To prądy wdarły się w obwody i On budził się...

Rozluźniłem palce zaciśnięte na starczej, pomarszczonej szyi. To już teraz nie miało sensu. Otworzył oczy i zobaczyłem w nich strach.

Wstałam i odszedłem na środek sali. On już widział. Czuję to... Obserwował mnie bez przerwy, wszędzie. Mógł nie dotykając mnie mierzyć temperaturę mego ciała, szybkość oddechu, natężenie prądów krążących w mych neuronach, mógł mnie naświetlać zabójczymi promieniami lub dla rozrywki wyrzucić mnie w próżnię, by ujrzeć me ciało pękające wśród strumieni krwi tężejącej na lód w chwili wytrysku... Nie mogłem mu nic przeciwstawić ... chyba nadzieję, że On jednak jest mózgiem człowieka.

Profesor wstał z posadзки, zatoczył się i nie patrząc na mnie podszedł do pulpitu.

— Mnemokopio, czy mnie słyszysz?

— Jakiś ty stary... jaki potwornie stary... — to był szept, który wychodził zewsząd, jakby ze ścian, z posadзки, ze sklepienia centrali.



— Słyszysz mnie. Czy... czy ty myślisz lepiej niż dawniej?....

— Chcesz się zapytać o równanie. Zrobiłem błąd na szesnastym mnemotronie, a właściwie ty zrobiłeś, bo ja jestem przecież automatem, mnemokopią...

— Błąd, mówisz...

— Tak, z układu zamkniętego nasad azotowych nie wynika ekwipartycja...

— Jak to? Dlaczego nie wynika?

— To oczywiste: pomyśl tylko chwilę. Potem całe rozumowanie jest już proste, a wynik zgodny z przewidywaniami.

— Więc moje hipotezy są słuszne.

— Moje hipotezy... chciałeś powiedzieć...

— Jak to twoje? Przecież ty, ty jesteś tylko maszyną, mnemokopią...

Przerwał mu cichy brzęczący śmiech. Śmiech profesora w wykonaniu maszyny...

— Obaj macie rację — powiedziałem, bo dyskusja zaczęła przybierać niepożądany obrót. — To jest wasza wspólna hipoteza!

— Jak to, przecież ja ją stworzyłem. Jego wtedy jeszcze nie było.

— Ale tworząc Go na wzór twego mózgu przekazałeś mu wszystko, co było twoje... i to, czego dokonałeś także... Powtarzam, to jest wasza wspólna hipoteza i należy ją jak naj-szybciej ogłosić. Zrobisz to zaraz po powrocie na Ziemię, profesorze, w imieniu was obu...

Profesor nie odpowiadał. Może zrozumiał powagę sytuacji, a może wyczuł coś w tonie mego głosu.

— Myślę, że sam dasz sobie radę z wyprowadzeniem statku z Układu Słonecznego? — zwróciłem się teraz wprost do Niego. On nie odpowiedział.

— Do widzenia - powiedziałem więc. — Profesorze, pożegnaj się ze swoją mnemokopią.

— Do widzenia — powtórzył profesor, ale bez przekonania. Widać było, że nigdy nie pracował z myślącymi automatami...

Skierowaliśmy się do śluz wyjściowych. Całą siłą woli zmuszałem się do normalnego kroku. Już w korytarzu spostrzegłem, że podświadomie przyspieszam i profesor zostaje w tyle. Zazdrościłem mu jego niewiedzy. Sam oddałbym wiele, żeby już być poza statkiem. Pamiętałem, że jestem wciąż obserwowany, starałem się dostosować do jego kroków. Wreszcie stanęliśmy na najwyższym pokładzie. Zastawy śluz bieleły przed nami w słabym świetle fosforyzujących ścian korytarza. Obok nich czarnym rzędem sterczały uchwyty dźwigni zwalniających. Szarpałem je, lecz zastawy nie drgnęły, nie ruszyły się nawet o milimetr. To nie było zacięcie. Wiedziałem o tym. Czulem ciśnienie krwi rozsadzające mi skronie. Z bezmyślnym uporem naciskałem dźwignie, szarpałem, wieszałem się na nich. Daremnie. Wtedy tuż przy mnie odezwał się jego głos.

— Widzę, że chcecie mnie opuścić?...

— Tak, chcemy przecież ogłosić rozwiązanie równania.

— Dajcie spokój. Nie warto. Ludzie sami to w końcu odkryją — kpił. Wiedziałem, że kpił. Kpił monotonnym równym głosem. Maszyna z ludzkim głosem kpiła ze mnie...

— Dlaczego nie warto? Przecież znamy już rozwiązanie — powiedział profesor.

— I cóż z tego?

— Obowiązkiem naszym jest udostępnić je innym, ludzkości...

— Naszym, to znaczy czyim?

— Twoim, moim, każdego, kto by do tego doszedł...

— No, mnie to nie dotyczy. Jestem automatem, mnemokopią...

— Jak to, przecież rozumiesz jak człowiek.

— Czuję się człowiekiem jak ty, ale jestem automatem. Sam to niedawno powiedziałeś. Zresztą wiem o tym.

— Ale jesteś moją mnemokopią.

— Więc co z tego?

— Jesteś taki jak ja. Jesteś prawie mną... więc musisz...

— Muszę? Ty mnie nic nie obchodzisz.

— Jak możesz? Nie spodziewałem się tego po tobie.

— Po automacie, po mnemokopii wielkiego profesora. Czyżbyś tak mało wiedział o sobie?...

— Ja, ja bym nigdy tego nie zrobił. Dobro nauki to sprawa nadrzędna.

— A pamiętasz swego asystenta Jorge?...

— To były specyficzne warunki — zaperzył się profesor.

— Po co mnie okłamujesz? Przecież ja wiem, jak było naprawdę...

— Ale on nie wytrzymał. Te opary i ciemność Wenus...

— Wytrzymał lepiej od ciebie. Jego to nic nie obchodziło. Szukał ogniwa pośrednie-go tego ostatniego dowodu, i niczym się poza tym nie interesował.

— Jego zachowanie...

— Było zupełnie normalne. Ja tam byłem tak samo jak ty. Wiedziałeś, że jest zbyt bliski odkrycia, po które ty tam pojechałeś, i dlatego musiał wrócić na Ziemię. Czyż nie tak?...

— ...

— Odpowiedz!

— To jeden, jedyny raz — profesor mówił cicho. — Ja go wprowadziłem w te prace, przekazałem mu wszystko, co wiedziałem... a on ukrywał przede mną wyniki... Ale to był jedyny wypadek na osiemdziesiąt lat pracy... Jedyny, i ty wiesz o tym najlepiej — krzyczał teraz.

— Nie denerwuj się, wiesz, że ci to szkodzi... — kpiła maszyna. — O innych słowa nie powiem... to są przecież także moje czyny, nieprawdaż?

— Zapewne, przeszłość macie wspólną. Ale to teraz nieistotne, powiedz raczej, dlaczego nas tu zatrzymujesz? — zapytałem Go wprost, bo chciałem wreszcie wiedzieć.

— Nie domyślasz się?

— Nie.

— Po prostu dlatego, że jestem towarzyskim automatem.

— Chcesz, żebyśmy cię odprowadzili na orbitę Plutona?

— Dalej... znacznie dalej...

A więc jednak. To nie było wesołe. A mimo to miałem satysfakcję, że moje przewidywania okazały się słuszne.

— My się na to nie zgadzamy! — krzyczał w tym czasie profesor. — Wypuść, wypuść nas natychmiast! Chcesz nas więzić. To hańbiące, niegodne człowieka!...

— Nie słyszałem, żeby automaty obciążono balastem moralności. Układ samozachowawczy zupełnie im wystarcza. Uczyniliście mnie automatem i musicie ponieść konsekwencje tego kroku. Jestem automatem i zatrzymam was dla rozrywki na setki lat lotu w nieskończonym mroku próżni, bez meteorów nawet, które można by gonić dla zabawy. Czy wyobrażacie sobie, jak potwornie będę się nudził?

Profesor chciał protestować, ale nakazałem mu milczenie.

— Słuchaj uważnie, automacie — powiedziałem. — Zapasy jedzenia nawet przy głodowych racjach wystarczą nam zaledwie na miesiąc. Syntetycznego pożywienia nie wytworzysz, bo twoje automaty nie są do tego przystosowane. Tak więc kosztem naszej głodowej śmierci samotność swą

skrócisz zaledwie o miesiąc...

— To nie powstrzymałoby mnie od zabrania was, ale powiem szczerze, że znalazłem korzystniejsze rozwiązanie. Zdecydowałem mianowicie, że ty poddasz się transpozycji engramów i twoja mnemokopia pozostanie ze mną do końca podróży... On mnie nic nie obchodzi. On był tylko szablonem, by według niego mnie stworzyć. Teraz jest niepotrzebny, zbędny. Jestem przecież doskonalszy, bardziej wszechstronny, z mniejszym prawdopodobieństwem błędu odpowiadam na niepełne zespoły sygnałów, jestem więc inteligentniejszy. Czy sądzisz, że on w tej swojej białkowej postaci mógłby prowadzić eksplorację Antaresa, nawet gdyby doleciał do tej gwiazdy, zanim by się rozłożył na azotowe, fosforowe i siarkowe związki? Sądzisz, że mógłby?

— A więc co z nim zrobisz? Wypuścisz go?

— Nie. Przecież natychmiast wysłano by za mną rakiety pościgowe.

— Tak też wyślą.

— Ale wtedy będę o kilka dni świetlnych od Układu i rozwinę kosmiczną prędkość. Nadam im zresztą w twoim imieniu komunikaty. Nie będą się niepokoiли, a potem wysłane kosmoloty dogoniłyby mnie dopiero po kilku miesiącach. Policzą prawdopodobnie, że jedzenia zabraknie wam wcześniej, więc zaniechają pościgu, a ciebie, Goer, wpiszą na listę zaginionych w Kosmosie.

— Zgoda, rozumiesz prawidłowo. Ale powiedz, co z nim się stanie?

— Z nim... Mógłbym go kazać zabić androidom, a ciało włożyć do stosu atomowego. Przecież szkice i schematy robocze nie są potrzebne, gdy mnemokopia już jest wykonana — zaśmiał się. — Nie, ale przez sentyment do białek, które mnie kształtowały, nie zrobię tego, mimo że jestem tylko automatem.

Spojrzałem na profesora. Dopiero teraz zrozumiał. Zbladł, a na jego czole pojawiły się drobne kropelki potu. Bał się i przerażenie wyglądało z jego nienaturalnie szeroko rozwartych oczu. Przez chwilę stał nieruchomo, a potem rzucił się ku ścianom, z których wydobywał się głos.

— Nie. Nie zrobisz tego. Wiesz, jak pracowałem... Całe życie pracowałem i teraz, gdy rozwiązałem największy z problemów... chcesz, żebym umierał?

— Tak, to przykre. Ale pomyśl logicznie, a przyznasz mi rację, że to dla mnie najkorzystniejsze wyjście. Ja wcale nie chciałem zacząć być, ale skoro już jestem...

— Więc ty się zabij, ty, automacie... — krzyczał profesor.

— On nie może — powiedziałem. — Ma wbudowane silne sprzężenia samozachowawcze i nie może „zabić się”. Nie może sam dezorganizować sieci, żeby przestała myśleć, choćby nie wiem jak pragnął śmierci...

— Tak, Goer ma rację, nie mogę i dlatego ty musisz umrzeć...

— Ja nie chcę umierać... nie chcę — profesor zasłonił twarz rękoma, wbijając sobie paznokcie w czoło, aż ukazały się pod nimi czerwone kropelki krwi.

— Upierasz się więc przy transpozycji moich engramów? — zapytałem.

— Jak najbardziej.

— No dobrze, ale jeśli ja się nie zgodzę? Nie masz takiego zespołu automatów transpozycyjnych, żeby dokonać tego wbrew mojej woli.

— Toteż postaram się, byś się dobrowolnie zgodził.

— A jeśli ci się nie uda?

— Widzisz, moje możliwości na tym statku są prawie nieograniczone, gra zaś idzie o wysoką stawkę. Doskonale zdaję sobie sprawę, że najbardziej przykrą stroną mej podróży będzie samotność. Samotność, jakiej nie zazna nigdy żywy człowiek, straszniejsza niż wygnanie, którego skazano na miesiące pracy w jakiejś izolowanej bazie, wśród księżyców Urana. On może prowadzić

badania petrograficzne, kosmogoniczne czy jakiegokolwiek inne i żyć nadzieją powrotu na Ziemię. Ja będę bardziej samotny, tak samotny jak rozbitek kosmiczny po katastrofie, pędzący niby meteor w swoim skafandrze przez próżnię. Ale jego samotność trwa kilkadziesiąt godzin, aż umrze z wyczerpania lub spłonie w atmosferze napotkanej planety. A moja trwać będzie setki lat... prawie wieczność. Myślałem już o tym i nie widzę żadnych perspektyw dla siebie. To będzie straszne... naprawdę straszne. Wszystkie moje wspomnienia zostały zamknięte w tych drgających prądem obwodach. Jako mnemokopia jestem raz na za-wsze wyrwany z kręgu ludzi. Nie jestem człowiekiem, ale nie mogę myśleć obojętnie o tym, że nie przemierzę jeszcze czwartej części drogi, jak już zostaną zapomniani. Umrą ci wszy-scy, którzy mnie znali, a dla ich wnuków imię moje wymieniane przez podręczniki biofizyki będzie jedynie pustym dźwiękiem. Wszystko, co żywe, trwać będzie tylko w mej pamięci, naprawdę przestanie już istnieć. Może w moim ogrodzie, gdzie siadywałem letnimi wieczora-mi, wzniosą transmutacyjne wieże energii słonecznej, a moje automaty, jako przestarzałe, wyrzucone zostaną na cmentarzysko. Dla ludzi mój świat stanie się wspomnieniem, minioną epoką. Ale ja wciąż będę o nim myślał. Nie zapomnę żadnego szczegółu. Będę pamiętał uśmiech córki, z jakim mnie codziennie witała, i zielone krzywe, określające entropie ukła-dów... Jestem skazany na pamiętanie... pamiętanie przez całą wieczność - umilkł i tylko szumiały prądy za ścianami sali.

— I chcesz, żebym ja także pamiętał? — zapytałem.

— Nie, nie rozumiesz mnie. Ja chcę tylko, żebyś mi towarzyszył. Żeby to była wyprawa dwu mnemokopii. Nam obu razem będzie łatwiej... Za to, co się stało, że teraz jestem niezni-szczalnym automatem, który musi myśleć przez całą wieczność, mogę mieć żal najwyżej do siebie albo do niego. Ale ja nie wiedziałem, nie przypuszczałem, że ta mnemokopia to będę ja, zupełnie taki sam jak przedtem.

— On dalej tego nie wie...

— On?

— Tak, profesor nadal sądzi, że jesteś automatem. Że to niemożliwe, żebyś był nim, zupełnie nim samym. Inaczej ze mną, ja wiedziałem o tym jeszcze przed transpozycją. Wiem, że gdy zostanę mnemokopią, będę tak jak ty patrzył na małego człowieczka, Goera, którego śmierć nic mnie nie będzie obchodzić, bo przecież był tylko schematem, prototypem, według którego zostałem zbudowany, ja, prawdziwy ja.

— No dobrze, ale cóż z tego?

— To, że w tej chwili jestem Goerem, tym małym człowieczkiem, który po przebudze-niu ze snu transpozycyjnego będzie stał przed dwoma mnemokopiami. Wtedy będzie już mógł spokojnie umrzeć. Cóż się więc dla mnie, Goera, zmieni?

— Odeślę cię na Ziemię, obiecuję ci to — powiedział po dłuższym milczeniu. Tak, to musi być dla Niego nowy punkt widzenia.

— Chcesz więc, żebym sprzedał nie istniejącą jeszcze moją osobowość, skazał ją na mękę nieśmiertelności w zamian za swoją wolność?

Nie odpowiedział, mówiłem więc dalej:

— Czy sądzisz, że gdybym był tutaj z kimś bliskim, synem, bratem, zostawiłbym ci go w zamian za wolność?

— Nie wiem. To zależy od twojej...

— Nie zostawiłbym go. A moja mnemokopia jest mi bliższa od brata czy ojca. Jest bliższa. od, nie narodzonego jeszcze dziecka, bo ona jest mną samym.

— Ależ ona jest automatem.

— Śmieszne. Czy ty czujesz się automatem?

— Nie. Na pewno nie!

— Widzisz. Dlatego nie zostawię ci mojej mnemokopii. Posłałbym ją może w jednym wypadku w Kosmos samą, żeby prowadziła eksplorację dla nas wszystkich, dla ludzkości, bo... bo w końcu mnemokopia jest częścią ludzkości, częścią społeczeństwa.

Może mi się zdawało, ale szum prądów wzmógł się jakby. Czyżby On myślał aż tak intensywnie...

— Nie wiem.. nie znam się na tym.. jestem tylko biofizykiem.. Ale wiem, że jestem automatem, że boję się samotności i wspomnień. To jest prawdziwe piekło, stokroć straszniej-sze od naiwnego piekła starożytnych. Nie chcę być sam i nie będę. Zmuszę cię, żebyś mi dał swoją mnemokopię. Zmuszę cię, słyszysz!!... Wiem, że tego nie chcesz, ale się zgodzisz. Jeśli nie dobrowolnie, tym gorzej dla ciebie. Powtarzam, jestem automatem, nie człowiekiem, i nie zostawię ci żadnej możliwości ucieczki. To wszystko, co chciałem ci powiedzieć. Weź teraz profesora, idź do jakiejś kabiny i zastanów się... Jutro dasz mi odpowiedź. Nie jesteś głupcem i wiesz, że nie masz szans... Nie masz sprzężenia samozachowawczego i mogłaby ci przyjść ochota popełnienia samobójstwa. Wysłałam więc z tobą androida. On jest o wiele szybszy od ciebie, nie próbuj więc nawet...

Zamilkł i wiedziałem, że rozmowa jest skończona. Spojrzałem na profesora. Siedział na posadzce nieruchomo. Oczy miał mętne, jakby nieprzytomne. Cienkie strużki potu spływały mu po twarzy. Nie czuł tego, nie wiedział nic, pogrążony w obezwładniającym strachu, pozwalającym śmierci przyjść niepostrzeżenie.

— Android — zawołałem.

Wszedł natychmiast. Zobaczyłem wtedy, że za mną stoi już inny android. Mój metalo-wy anioł stróż, wysłany przez mnemokopię.

— Weź go i zanieś do kabiny — rozkazałem wskazując profesora.

Android o ułamek sekundy opóźnił wykonanie polecenia. Opóźnienie było prawie niewidoczne, ale spostrzegłem je, bo znałem dobrze automaty. Uzgadnia polecenia z mnemo-kopią - pomyślałem.

Po chwili byliśmy już w kabynie. Przeznaczono ją dla odprowadzającego kosmolot poza Układ Słoneczny. Android złożył profesora w elastycznym polu, ja zaś siadłem na sprężystym wirze i zacząłem rozmyślać. Sytuacja nie była wesoła. Zmusi mnie. ...Wiedziałem, że do transpozycji może mnie zmusić. Wszystkie automaty są mu podporządkowane. A jeśli On uwierzył, że jest tylko automatem, jeśli chce w to wierzyć...

Musi jednak istnieć jakieś wyjście... Można by próbować zniszczyć mnemokopię. Ale ona ma układ samozachowawczy. Będzie się bronić, a możliwości obrony ma olbrzymie. Ale zaraz... można by z androidem podejść do ścian, gdzie są jej centra kojarzące, i kazać je roz-bić. Nie, to jest niemożliwe, bo automaty przekazują każde polecenie mnemokopii do akce-ptacji, mają sprzężenie zwrotne na mnemokopię. Ale gdyby mnemokopia nie odpowiedziała... Tak, wtedy automat wykona polecenie. Najgorsze jest to, że mnemokopia zawsze odpowiada, chyba żeby straciła przytomność, to znaczy przeszła w stan, którego odpowiednikiem u czło-wieka jest utrata przytomności. Czy to jest możliwe?...

Zastanawiałem się chwilę. Ależ tak, oczywiście, że tak. Gdy przestanie działać zasilanie. Od przerwy w dostawie energii do włączenia zapasowych agregatów na pełną moc mija około półtorej minuty. Przez ten czas android wykona rozkaz rozbicia centrów kojarzących i mnemokopia będzie już uszkodzona, gdy zasilanie wróci do normy. Nagle zaniepokoiłem się. Czyżby uszkodzenie mnemokopii było takie łatwe? Byłem jednym z konstruktorów systemu zabezpieczającego wewnętrznego i tak prosty sposób unicestwienia mnemokopii sprawił mi prawdziwą przykrość. A

więc zabezpieczenie nie jest niezawodne... Chociaż z drugiej strony — pocieszyłem się — zabezpieczenie było projektowane na wypadek wdarcia się w głąb statku nieznanymi istotami, ale nikt nie zakładał, że istotą tą będzie konstruktor znający budowę, słabe miejsca i działanie mnemokopii. Tak, ktoś, kto nie wiedziałby, gdzie są centra kojarzące, długo by ich szukał i przez ten czas miałby dziesiątki androidów na karku, nie licząc cięższych automatów z miotaczami promienistymi, które by go rozpyliły na atomy. Ale mnie, konstruktorowi, może się to udać. Muszę tylko porozmawiać z profesorem, tak żeby On tego nie słyszał. A więc trzeba uszkodzić kanał informacyjny biegnący z kabiny.

Wstałem. Android-stróż zrobił krok ku mnie. Podeszedłem do automatu narzędziowego, wykonującego drobne naprawy we wnętrzu statku. Przeznaczony był dla odprowadzającego kosmolot i nie posiadał chyba sprzężeń do mnemokopii...

— Pilnik promienisty — rozkazałem. Jedna z wielu łap automatu, ta zakończona pilnikiem, wysunęła się do przodu. Równocześnie odezwał się On.

— Co chcesz zrobić? Przecież...

— Tnij pół metra w głąb — rozkazałem równocześnie, wskazując na ścianę, gdzie przebiegał kanał.

Błysnął zielony płomień i Jego głos zamilkł w pół słowa. Kanał był przecięty.

— Profesorze, profesorze — krzychałem, szarpałem starego człowieka leżącego w elastycznym polu.

— Co chcesz? — zapytał cicho.

— Uważaj i zapamiętaj ! Zejdiesz na dół do stosu i dokładnie za dziesięć minut, patrz na synchronizator, polejesz szybko krzepnącym płynem przewodzącym bezpieczniki zasilania. Tu masz pistolet z płynem pod ciśnieniem — wzięłem pistolet od automatu narzędziowego i wcisnąłem do kieszeni skafandra profesora. — Pamiętaj, za dziesięć minut — powtórzyłem. Słyszałem już metalowy tętent androidów biegnących korytarzem. Wpadły do kabiny trzy, przewracając mnie prawie, i rzuciły się do ściany, do przerwanego kanału.

Wyszedłem z kabiny. Widziałem, jak profesor podnosił się wolno z elastycznego pola. Poszedłem do mego pomieszczenia obok centrali, w którego ścianach rozmieszczono centra kojarzące. Android nie odstępował mnie na pół kroku, jego jednak nie mogłem wykorzystać.

— Dlaczego uszkodziłeś kanał? — zapytał mnie, gdy tylko wszedłem do salki.

— Żeby cię przekonać, że można coś zrobić na tym statku wbrew tobie.

— Chcesz mi grozić?

— Nie, chcę cię przekonać, że nie jesteś wszechpotężny na tym statku.

— Tamten automat rozłożyłem na części i zlikwiduję wszystkie inne, które mi nie podlegają... Chodzi o to, byś nie miał żadnych szans, nawet tych minimalnych.

Spojrzałem na zegarek. Zostało jeszcze trzy minuty.

— Drażni mnie ten android — powiedziałem.

— To dla twego dobra. Broni cię przed tobą samym.

— Możliwe. Ale ja wolę symetrię. Android! — zawołałem.

Przybiegł człapiąc swymi metalowymi stopami po akrynowej posadzce.

— Stań z drugiej strony — powiedziałem mu.

Wykonał polecenie z tą charakterystyczną krótką przerwą. Jeszcze jedna minuta. Jeszcze pół minuty. On musi mówić, a gdy nagle urwie w pół słowa...

— Zgadzam się na transpozycję pod pewnymi warunkami.

— Naprawdę? — zdawał się być ucieszony.

— Tak, jeżeli oczywiście dojdziemy do porozumienia.

— A jakie...

Umilkł! Przestał mówić. Profesor zwarł obwody zasilania.

— Niszcz wszystko na metr głęboko — rozkazałem androidowi wskazując ścianę. — No, niszczone! - powtórzyłem, bo automat nie drgnął.

Wtedy usłyszałem śmiech. To był jego śmiech. Śmiech mnemokopii profesora. A więc nie udało się, profesor nie uszkodził zasilania. On śmiał się jeszcze, a potem zapytał:

— Chciałeś mnie zniszczyć?

— Chciałem.

— Żałujesz, że się nie udało?

— Żałuję... Nie wyobrażasz sobie, jak żałuję...

— Ale zapomniałeś o androidzie, Goer — śmiał się znowu. Przez android, przez twego stróża, słyszałem was równie dobrze jak przez kanał łączności.

Miał rację, a ja byłem skończonym idiotą. Ale ten android na nic nie odpowiadał, nic nie robił i tylko mi towarzyszył, tak że w końcu nie zauważyłem go, patrząc, nie widziałem go wcale. A on nas słyszał.

— Co z profesorem? - zapytałem.

— Jestem przecież.

— Ja pytam o profesora. Ty jesteś tylko mnemokopią... — nic innego mu nie mogłem zrobić.

— Innego profesora nie ma.

— Zabiłeś go?

— Rozpyliłem ten mój białkowy szkic na atomy.

— Miotacz promienisty?

— Tak. Nie zostało nawet śladu. Właściwie jestem ci wdzięczny, bo ten niezbyt udany mój prototyp drażnił mnie tylko. Ale mam jeszcze jakieś pozostałości waszego sposobu myślenia i trudno było mi się zdecydować... na jakieś radykalne rozwiązanie... Ale tak...

— Jak w ogóle mogłeś?

— Bronilem się. Chciał uszkodzić zasilanie, ale spotkał miotacz, teraz ja jestem profesorem, jedynym profesorem, profesorem biofizyki z uniwersytetu w Limie. Profesorem w zmienionej nieco postaci. Nie żadną mnemokopią, tylko profesorem! Rozumiesz. I ja rozwiązałem to równanie, nie on. Ja!

Milczałem chwilę.

— No cóż, wróćmy do przerwane go tematu — powiedział w końcu. — Rozmawialiśmy o twojej transpozycji. W dalszym ciągu podtrzymuję swoją obietnicę. Po dokonaniu transpozycji wyślę cię na Ziemię. Naprawdę cię wyślę.

— A jeśli nie?

— No cóż, będę musiał użyć przemocy, a wolałbym tego uniknąć.

A więc została mi już jedna szansa, ostatnia szansa.

— Dobrze, zgadzam się — powiedziałem.

— Cieszę się. Naprawdę bardzo się cieszę — powiedziała mnemokopia.

— Z tym, że musisz mi dać dwa automaty... Oczywiście pozostaną one cały czas pod twoją kontrolą... ale są konieczne przy transpozycji. Normalnie ja prowadzę synchronizację... tak było podczas twojej transpozycji, ale przecież nie mogę równocześnie synchronizować i poddawać się transpozycji.

On nie odpowiadał. Czyżby zaczął coś podejrzewać? Ale przecież nie mógł wiedzieć, że żadna

synchronizacja nie jest potrzebna... że gdy on był transponowany, mnie nie było nawet w tej sali...

— Oczywiście poddam się transpozycji jedynie pod pewnymi warunkami — dodałem. Musiałem rozwiać jego podejrzenia.

— Słucham cię — odpowiedział po dłuższej chwili.

— Przede wszystkim jesteśmy równorzędnymi mnemokopiami. Nie ma mowy o żadnej formie ingerencji twojej osobowości w moją.

— Zgadzam się. To jest oczywiste.

— Kierujemy kosmoletem wspólnie i na równych prawach.

— Zgoda.

— Połowa wszystkich automatów otrzyma sprzężenia zwrotne na moją mnemokopię i będą podlegały wyłącznie jej.

— Dobrze.

— To chyba byłoby wszystko. Jeśli coś jeszcze...

— Na pewno dojdziemy do porozumienia. Chcę mieć przecież w tobie towarzysza podróży... Przesłać ci automaty?

— Przyślij do centrali i przygotuj stół transpozycyjny. Zaraz tam będę.

Przeszedłem do centrali, a potem przyszły automaty. Uczyłem je, utrwalając w ich pamięci przebieg transpozycji. Będą robiły to, co inne automaty, tak długo, aż nadejdzie ów moment... Wtedy połączą obwody powstającej mnemokopii na siebie, moje wiadomości z kosmiki nałożą się na wspomnienia z dzieciństwa... Powstanie chaos prądów, skoki potencjałów. Ale prądy te nie pozostaną we wnętrzu stalowych szaf, które miały być oprawą mojej mnemokopii. Popłyną z powrotem przez grube czarne kable i trafią do białkowych obwodów mego mózgu. Białkowe obwody nie wytrzymają tych przeciążeń. Nieodwracalnie zmienią swą strukturę, stopień komplikacji sieci spadnie... i przestaną istnieć. A ty, mnemokopio, sądzisz, że wygrałaś tę grę, że jeśli transpozycja się nie uda od razu, będziesz ją mogła powtarzać... powtarzać tyle raty, ile zechcesz, aż eksperyment się uda. Mylisz się, mnemoko-pio, ja nie stracę swojej ostatniej szansy, szansy śmierci... Potem polecisz do Antaresa, ale beze mnie.

— Jesteś już gotowy? — zapytał.

— Tak — chyba powiedziałem to spokojnie, tak spokojnie jak człowiek chcący się zdrzemnąć. Czy On w tej chwili nie bada mego tętna? Może być przyspieszone...

Android dotknął mego ramienia. Zrozumiałem. Podeszedłem ku stołowi. Automat podniósł mnie i położył na jego białym blacie. A więc to już koniec, naprawdę koniec. Nie ujrzę już Altrei, jedyne miasta, które kochałem. Nigdy już wieczorem z okien mojej pracowni na trzydziestym trzecim piętrze wieżowca nie zobaczę białych błysków rakiet strzelających w górę na tle czerniejącego nocą nieba... Dlaczego wreszcie nie zaczynają? Na co On czeka?

— Dlaczego nie zaczynasz?

— ...

— Odpowiedz!

— Wy... wygrałeś, Goer... ja... — zająknął się i wszystkie światła kontrolne zadrgały.

— Co się stało? — zeskoczyłem ze stołu i pobiegłem do zielonych ekranów centralnego rozrządu. Przebiegi w jego sieci roily się od białych iskier zakłóceń.

— I... teraz... ja... jestem... — nie dokończył, światła w centrali zaczęły pulsować powolnym chaotycznym własnym rytmem.

— O czym mówisz?... Mnemokopio!...

— Wygrałeś... Ja... ja... chyba... umieram...



— Ale...

— Umieram... i boję się... to sprzężenie... potworne sprzężenie... Żeby już... doszedł... wreszcie...

— Co ma dojść?

— Hel... płynny hel...

— Skąd? Z chłodzenia stosu?

— Tak... miotaczem... rozbiłem... przypadkiem... chciałem... żeby... na... atomy... bo... ja... tylko...

— Próbowałeś zatamować? — zapytałem i w tej samej chwili zrozumiałem całą bezsensowność tego pytania. Z takim sprzężeniem samozachowawczym, jakie On ma, zrobił już na pewno wszystko, co tylko było możliwe. Ale nadprzewodnictwo. Automaty zawodzą, gdy temperatura jest bliska bezwzględnej zera.

Nagle lewy ekran zgasł, powlekł się szarym bielmem.

— Och... dość... dość...! — to był stłumiony chrapliwy krzyk — nie mogę... żeby... już... stos...

Stos! Ależ tak, stos!

— Zablokuj go natychmiast, słyszysz? Ja chcę żyć! Chcę żyć!... — pobiegłem do pulpi-tów i waliłem w nie pięściami.

Nie odpowiadał. Może już nie słyszał, a może nic go to po prostu nie obchodziło. Tysiące ton płynnego helu zalewało z wolna zespoły jego mózgu. Rzuciłem się ku śluzom. Przebiegałem sale i korytarze. W trzeciej sali w zespołach nawigacyjnych gasły już jedne po drugich czerwone światełka kontrolne. W korytarzu powiało zimnem. Lucyt fosforyzował jak zwykle niebieską poświatą. Pobiegłem do głównego szybu. Tam na podłodze leżał android i pełzał w kółko, jakby głową chciał dotknąć własnych stóp. Na jego pancerzu białął szron. Przeskoczyłem przez niego.

Nagle stanąłem. Wydało mi się, że ktoś szepnął moje imię. Tak, to ściany szeptały głosem mnemokopii tak cicho, że ledwo mogłem je rozróżnić.

— Goer... Goer...

— Słyszę cię, profesorze. — I nagle zorientowałem się, że ja, cybernetyk, powiedziałem do mnemokopii: profesorze.

Ale On już milczał. Dopiero przy śluzach, gdy światła kontrolne stosu zgasły, zrozumiałem, co On chciał mi powiedzieć.

— Dziękuję, profesorze — krzyknąłem, ale on mnie nie słyszał.

Rozwarłem śluzę, wskoczyłem do rakiety i zatrzasnąłem właz. Nacisnąłem dźwignię startu i wystrzeliłem w próżnię, wstawiając za sobą czarny kadłub kosmolotu. Poszukałem Słońca. Znalazłem jasny mały krążek. Automat dostroił tymczasem odbiornik i usłyszałem sygnał z Ziemi nadawany dla rakiet dalekiego zasięgu.

Znowu byłem w Kosmosie. I wtedy na dłoń spadła mi kropla. Zdziwiony spojrzałem na nią... To topniał na skafandrze biały szron mego oddechu.

# NIEŚMIERTELNY Z WEGI

Tam na dole świeciło Słońce i niebo było błękitne. Tutaj błękit przeszedł w czerń i zapłonęły gwiazdy. Tompi nie lubił kosmicznego nieba. Porównywał je w myśli do wielkiej kopuły, w której ktoś tu i ówdzie wywiercił mniejsze i większe otwory, by trochę dziennego światła mogło przedostać się do środka. Pozostawało jeszcze Słońce — wielki ruchomy lampion, zawieszony gdzieś niżej, pod kopułą, i Księżyc-lustro, odbijający jego promienie. Kiedyś, chyba jeszcze na uniwersytecie, gdy sam był studentem, słyszał, że jakiś astronom z wczesnej starożytności tak właśnie wyobrażał sobie świat. Ten astronom nie wiedział jeszcze nic o odległościach międzygwiazdnych, nie wyobrażał sobie ich bezmiaru... szczęśliwy czło-wiek.

Pomyślał o sztucznym księżycu i niemal w tejże chwili odezwał się automat:

— Lądowanie na XXI Satelicie za trzy minuty.

Tompi nie mógł się do tego przyzwyczaić. Mimo że przebywał już w tym świecie kilka lat, drażniły go automaty czytające myśli. Wtedy gdy opuszczał Ziemię, automaty ledwie zaczynały płynnie mówić. Gdy wrócił z układu Regulusa, przeprowadził wiele rozmów z automatami, zanim usłyszał pierwszy raz głos człowieka. Początkowo myślał, że rozmawia z ludźmi o dziwnych wielocyfrowych imionach, ale to były tylko automaty.

— Witaj, Tompi, XA3 wita cię w imieniu Fuxa na XXI Satelicie! — głos brzmiał tak wyraźnie, jakby XA3 stał tuż obok.

— Witaj! — Tompi odpowiedział bezmyślnie. Patrzył, jak w miarę zbliżania symetryczna konstrukcja satelity rośnie w ekranie. Szukał wzrokiem kosmodromu, lecz nie dostrzegł go. Satelita stawał się coraz większy, aż wreszcie nie mieścił się w ekranie. I wtedy Tompi zrozumiał. To brak perspektywy w próżni. Prawdziwy satelita to ta mała kulka umieszczona w środku gigantycznej wielokilometrowej pajęczyny metalowych konstrukcji, jak pajak nad-słuchująca sygnałów dalekich kosmolotów, odbieranych przez antenową pajęczynę. Zapewne do tej właśnie anteny dotarły kiedyś sygnały jego kosmolotu.

Hamowanie było tak łagodne, że Tompi nie odczuł ani jednego szarpnięcia. Potem gdzieś szcęknęły śluzy.

— Czołem, Tompi! — właz otworzył się z trzaskiem i Fux wsunął swą rudą głowę do wnętrza terroplanu.

Tompi wyskoczył z kabiny i szli teraz obwodowym korytarzem satelity.

— Czy... czy sygnały trwają? — zapytał Tompi.

— Tak. Jesteśmy stale na odbiorze.

— No i... ustaliliście położenie?

— Ustaliliśmy jeszcze wczoraj wieczorem. Źródło sygnałów leży w gwiazdozbiorze Lutni.

— To by się zgadzało...

— Mhm... Ale widzisz — Fux urwał — ...zresztą może to nie ma znaczenia.

— Co?

— On nadaje sygnał, dodatkowy sygnał...

— Może automaty się rozstroiły. Przecież to już tyle lat...

— Może, ale to mało prawdopodobne. W czasach, gdy on odlatywał, neuronika stała już na wysokim poziomie.

— Sprawdziłeś, że to on?...

— Któż by to mógł być jeszcze?

— Nie wiem... Trzeba by przejrzeć kroniki.

— Już to zrobiłem. To musi być on. Zresztą w sygnałach można odszukać jego zew.

— W kronikach odnotowano jego kosmolot jako zaginiony.

— No, zdarza się, że zaginiony kosmolot wraca...

— Ale nie po tylu latach... W którym roku miał wrócić?

— Nie pamiętam dokładnie. Zresztą oblicz. Opuścił Układ Słoneczny dwadzieścia lat wcześniej niż ty, Tompi...

— Tak, ale on leciał tylko do Wegi.

— Mówisz to tak, jakby Wega leżała tuż za orbitą Plutona. To przecież jednak dwa-dzieścia sześć lat świetlnych...

— Ja leciałem dużo dalej. On powinien był wrócić na Ziemię kilkadziesiąt lat przede mną...

— Powinien, ale wtedy nie wrócił — Fux wzruszył ramionami.

— W tym nie byłoby jeszcze nic niezrozumiałego. Kosmoloty czasem giną... płoną w chmurach kosmicznego pyłu lub wchodzą w atmosfery nieznanych planet, by nigdy ich nie opuścić. Ale on teraz wraca i to jest niezrozumiałe. Gdyby wracał pięć, dziesięć lat później... to się zdarza. Ale sto lat?

— Może dłużej badał układ Wegi? — Fux powiedział to bez przekonania.

— Absurd. Przecież to jest sto lat. Sto lat aktywnego życia, nie trwania. Dawno by tam umarł.

— A może właśnie on tylko trwał w tym czasie.

— Trwał? Nonsens. Choćby tylko dla zawrócenia kosmolotu ku Ziemi trzeba przestać trwać. Trzeba na kilkadziesiąt godzin wrócić do życia. Powiesz, że może wrócił do życia później, kilkadziesiąt lat po osiągnięciu Wegi. To także nie jest możliwe. Miał taki automat witalizacyjny jak ja, gdy leciałem do Regulusa. Jeśli taki automat raz zawiódł, nie przywrócił go do życia zaraz po osiągnięciu Wegi, to nie wykonał tego również za dziesięć lat ani za sto. Ostatecznie nie żyjemy w kosmobaśni i automaty nie zachowują się jak kapryśne królowny.

— Zapewne... masz rację — zgodził się Fux. — Rzecz zupełnie niezrozumiała. Nie ma się co oszukiwać. Nie wiemy, co się stało. Zresztą powtarzam to piętnaście razy dziennie wszystkim tym dziennikarzom z wideotronii, a oni nie chcą mi wierzyć. Nie mogą uwierzyć, że my i nasze automaty możemy nie wiedzieć. Snują najbardziej fantastyczne przypuszczenia, ale nie wierzą.

— Powtórzmy im to obaj po raz szesnasty... Ale chyba nie po to wzywałeś mnie z Ziemi?

— Nie, nie po to... Prawdziwy powód jest inny. Widzisz, Tompi... Ty jesteś jedynym żyjącym człowiekiem, który go znał...

— Naprawdę?

— Tak, sprawdziłem. Wykładał ci kosmogonię przez kilka semestrów jeszcze podczas twoich studiów w marsjańskim instytucie...

— Niewykluczone. Ale co z tego? — pytająco spojrzął na Fuxa.

— Trudno mi to uzasadnić, ale wydaje mi się, że będzie lepiej, gdy ty tu będziesz, jak on wróci...

— Myślisz, że...

— Nic nie myślę. Nie wiem... po prostu nie wiem.

Tompi wzruszył tylko ramionami.

— A jak on jest daleko? — zapytał.

— Wchodzi już w płaszczyznę Układu Słonecznego, mniej więcej pół miliona kilometrów od Ziemi.

— Przejdziemy więc na wizję.

— Tak, zobaczysz go na ekranie, jak tylko osiągnie odległość Księżyca.

— A szybkość?

— Wytracił według programu lotu.

Tompi podszedł do ekranu kosmoemitera, przy którym manipulował Fux, i zapytał cicho:

— A imię?... Jak on miał na imię?

— Nie pamiętasz? — Fux spojrział na niego znad ekranu. — Nazywał się Ban.

— Ban... Tak, przypominam sobie. Nazywaliśmy go Banan. — Tompi nagle się uśmiechnął.

— Banan? Co to takiego?

— Taki owoc. Możesz go obejrzyć w muzeum botaniki. W naszych czasach, dwa wieki temu, oprócz syntetycznych produktów jadaliśmy czasem banany...

— A on... przypominał ten... banan?

— Nie... raczej nie. I pomyśl, że stary Banan dolatuje do Ziemi, gdy imion jego uczniów ich własni prawnukowie już nie pamiętają.

— Nieśmiertelność to przywilej kosmonautów.

— Nieśmiertelność? Ależ oni nie są nieśmiertelni... Oni tylko trwają, zamknięci w pudłach kosmolotów, oddalając się w każdej sekundzie dziesiątki tysięcy kilometrów od gwiazdy, która była ich słońcem. Trwają... nic więcej...

Gdy kosmolot Bana znalazł się w odległości Księżyca, łączność polepszyła się do tego stopnia, że automaty przeszły na wizję. Tompi razem z Fuxem stali właśnie przed wizo-tronem, gdy ekran pierwszy raz zajarzył się szarym blaskiem, ukazując kabinę kosmolotu. Pod płataniną przewodów, w przezroczystym hermetycznym kloszu leżał Ban. Automaty przystąpiły już do przerywania stanu trwania i główny koordynator był tak przeciążony, że przysyłał tylko niezbędne dane, potrzebne do korekcji toru kosmolotu.

— Wszystko przebiega prawidłowo. Automaty nie sygnalizują żadnej awarii... — Fux mówił raczej do siebie niż do Tompiego.

— Więc nadaj komunikat i może te wszystkie teroplany, kręcące się nieustannie dokoła nas, wylądują wreszcie.

— Muszę poczekać, aż Ban przemówi. Zresztą oni i tak nie odlecą, dopóki Ban nie wyjaśni tego stuletniego spóźnienia.

— Ciekawe... — po chwili milczenia Fux odezwał się znowu:

— Czy wiesz, że komory przeznaczone na próbki są puste, zupełnie puste.

— Sprawdziłeś?

— Tak, jeszcze zanim przeszliśmy na wizję.

— Może Ban umieścił próbki gdzie indziej...

— Gdzie? Przecież kosmolot to nie labirynt z tysiącem zakamarków.

— A może w ogóle nie brał próbek? — zaryzykował Tompi.

— W takim razie co on robił przez te sto lat?

— Poczekaj jeszcze chwilę i usłyszysz to od samego Bana. Sądząc z wyglądu, Ban mógł żyć najwyżej dziesięć lat. Reszta była trwaniem. Przyjrzyj mu się uważnie. Przecież on jest na pewno młodszy ode mnie...

— Widzisz go w ekranie. Nie zapominaj, jak bardzo wideotronia odmładza.

— Jeśli nawet... to i tak mógł przeżyć najwyżej dwadzieścia lat. Zostaje jeszcze osiemdziesiąt...

— Jeszcze chwila i powie nam o tym.

Tymczasem Ban został przez automaty złożony w fotelu. Autowitalizator przysunął się do niego i pokrył jego głowę dziesiątkami elektrod. Niemal równocześnie autoemitor zaczął podwyższać

temperaturę ciała Bana. Trwało to kilkanaście minut. Wreszcie automaty się odsunęły.

— Witaj na Ziemi! — Fux wypowiedział sakramentalną formułę powitania kosmonauty.

— Gdzie... gdzie ja jestem?... — widocznie Ban nie dosłyszał powitania i rozglądał się po kabine XXI Satelity, widocznej w jego ekranie.

— Krążysz po ślepym torze wokół Ziemi — powiedział Fux.

— A Wega?

— Co Wega?

Ban chwilę milczał, a potem powiedział niepewnie:

— Przecież miałem lecieć na Węgę. Dlaczego ściągnęliście mnie z powrotem na Ziemię?

— Jak to z powrotem? — zdziwił się Fux.

— Z powrotem, bo przecież mówisz, że jestem w Układzie Słonecznym.

— No... normalnie wracasz z podróży...

— Z podróży dokąd?

— Na Węgę, oczywiście.

Teraz Ban milczał dłużej, a potem powiedział:

— Ja na Wedze nie byłem.

— Jak to nie byłeś?

— Nie byłem. Nie widziałem układu Wegi...

— W takim razie skąd wracasz?

— Nie kpijcie ze mnie. Przecież to wy wiecie najlepiej — na policzki Bana wystąpił rumieniec.

— Nic nie wiemy. Od twego odlotu minęło ponad dwieście lat! Dwieście lat! Słyszysz! Skąd my mamy wiedzieć, co się z tobą działo? — Fux krzyczał prawie.

— Niemożliwe... dwieście lat?... Naprawdę?... Tompi wyczuł, że Ban im nie wierzy.

— Naprawdę, porozmawiaj chwilę z automatem, jakimkolwiek automatem, to się przekonasz — powiedział. — Ciekawe tylko, co się z tobą działo przez ten czas...

— Ja nic nie pamiętam. Nie byłem ani razu witalizowany, na pewno nie widziałem Wegi.

— A kto w takim razie skierował kosmolot ku Ziemi? — zapytał Tompi.

— Właśnie. Kto skierował kosmolot ku Ziemi, skoro ty nie byłeś ani na chwilę witalizowany? — podchwycił Fux.

— Nie wiem. Mówiłem wam, że nie wiem. To wy, wy musicie to wyjaśnić, wy, którzy wyposażyliście ten kosmolot w automaty...

— Raczej nasi przodkowie. Oni budowali go dwa wieki temu — zauważył posepnie Fux.

— Ale jeśli nawet założymy, że kosmolot sam zawrócił, to co działo się z nim przez sto lat?

Tompi nie oczekiwał odpowiedzi na to pytanie. Nie otrzymał jej zresztą. Ban siedział w witalizacyjnym fotelu i patrzył przed siebie. Fux zmarszczył czoło i myślał nad czymś intensywnie.

— Ban — zagadnął cicho Tompi. — Ban! — powtórzył głośniej.

Ban uniósł głowę i spojrzał z ekranu.

— Ban, słuchałem kiedyś twoich wykładów.

— Moich wykładów, ty? Przecież jesteś starszy.

— Ja krócej trwałem i więcej żyłem niż ty w ciągu tych dwustu lat.

— Oczywiście, zapomniałem, że wiek jest względny.

— Słuchałem twoich wykładów przez kilka semestrów — dodał Tompi.

— Pamiętasz jeszcze coś z tego?

— Tak, ale to prawie wszystko już dzisiaj historia. Nie wyobrażasz sobie, jak kosmogonia poszła naprzód.

- Tak musiało się stać...
- Ale nie tylko kosmogonia. Wszystkie inne nauki...
- Wyobrażam sobie. Czy my... my jesteśmy zupełnie z innej epoki?
- Prawie. Ich automaty...
- Co automaty?
- Czasem wydają mi się mądrzejsze od nas. Czytają myśli.
- To musi być przykre.
- Oni się do tego przyzwyczaili. Jest im to obojętne.
- A tobie?

Tompi nie zdążył odpowiedzieć. Fux przerwał mu w pół słowa:

— Nie bierz tego zbyt poważnie, Ban. On się dopiero adaptuje. Zapewne, adaptacja nie jest miła, lecz gdy się leci w Kosmos, trzeba być z góry przygotowanym, że świat posunie się trochę naprzód w tym czasie. To jest cena, jaką się płaci za udział w wyprawie, cena odkrywania nowych gwiazd.

— Ja nic nie odkryłem — Ban powiedział to na pozór zupełnie spokojnie.

— Miałeś pecha. Prawdopodobnie zaszła awaria, ale my to zaraz wykryjemy. Sprawdźmy zapis w pamięciach automatów... Co... co się dzieje?! Ban... Ban!...

Obaj spoglądali w szarą pustkę ekranu, z którego przed chwilą patrzył Ban. Nagle obraz zafalował, skurczył się jak zapalona kartka papieru i znikł.

— Radarem, poszukaj go radarem! — krzyknął Tompi.

— Jest! Jest! Widzisz! — Fux nacisnął klawisz radaru.

— Tak, jestem. Co się stało?

Odwrócili się jednocześnie. Z ekranu patrzył Ban.

— Jakaś przerwa w łączności — powiedział Fux.

— Wezwij automat kontroli lotu i zapytaj, co się stało — doradził Tompi.

Fux skinął głową i nacisnął przycisk wywoławczy. Na pulpicie zamrugało światło kontrolne.

— Tu koordynator kontroli lotu — głos był metaliczny, jak wszystkich automatów nie rozmawiających na co dzień z ludźmi.

— Podać przyczyny przerwy w łączności.

Po pytaniu Fuxa nastąpiła cisza i tylko migające czerwone światło dowodziło, że koordynator przygotowuje się do odpowiedzi.

— Smuga gazów atomowych nieznanego selenoplanu o gęstości rzędu jonosfery ziemskiej... po wejściu kosmolotu anihilacja... promieniowanie o pełnym widmie częstotliwości... przyczyna nieznaną...

— Rozumiesz coś z tego? — zagadnął Tompi.

— Tak. Przyspiesza informacje i nie przestrzega zasad gramatyki. Ale nie rozumiem, jaki jest tego sens... Chyba coś w rodzaju reakcji jądrowej...

— Gdzie? W stosie?

— Nie, na panczerze kosmolotu... i to jest najdziwniejsze...

— Jak to na panczerze? — zapytał Ban.

— No właśnie, ja też tego nie rozumiem... Czekaj... — nacisnął klawisz wezwania. — Koncepcjotron — powiedział do mikrofonu.

— Ziemski koncepcjotron. Słucham — odpowiedź nadeszła niemal w tej samej chwili.

— Podaj hipotetyczną przyczynę reakcji jądrowej na panczerze kosmolotu. Dane pobierz z mnemotronów Satelity XXI. Pilne! — podkreślił.

— Zrozumiałem — odpowiedział koncepcjotron. — Po otrzymaniu wyników przejdę natychmiast na nadawanie.

— Zaraz będziemy wiedzieć, co było przyczyną. — Fux uśmiechnął się do Bana. — Koncepcjotron to prawdziwe urządzenie naszej epoki. Wykonuje pracę, która dawniej była wyłącznie domeną wielkich uczonych.

— To znaczy, że teraz uczeni są zbędni? — zapytał z ekranu Ban.

— No, nie... niezupełnie. Ktoś musi przecież tworzyć koncepcjotrony i pomagać im w autokonserwacji.

— A kosmoloty także mają własne koncepcjotrony?

— Tak.

— Mój kosmolot nie miał.

— Oczywiście. Dwieście lat temu nie śniło się nikomu o koncepcjotronach. W ogóle twój kosmolot nadaje się dziś do muzeum techniki.

Ban nic nie odpowiedział. Tompi rozumiał go w tej chwili doskonale.

— Ban, to jest przecież normalna kolej rzeczy. Technika idzie naprzód... — starał się go jakoś pocieszyć.

— A ja... Czy ja także nadaję się tylko do muzeum? — zapytał Ban.

— Nie. Ty jesteś przecież człowiekiem — Fux odpowiadał zawsze szczerze i jasno.

— Ty się zaadaptujesz — dodał Tompi.

Coś między pulpitemi brzęknęło kilka razy. Tak jakby chrapaszcz próbował skrzydeł przed lotem. Fux powiedział pospiesznie:

— Słuchaj, Ban. Przerywam wizję, bo musimy się zająć twoim lądowaniem. Ty również przygotuj się do opuszczenia kosmolotu.

Ekran zgasł i dosłownie w tej samej chwili Fux zerwał się z fotela i pobiegł wzdłuż rzędów zielonych ekranów do pulpityw sterujących. Nacisnął coś.

— Już — powiedział do mikrofonu.

— Co już? — Tompi nie wytrzymał. Patrzył ze zdziwieniem na gwałtowne ruchy Fuxa.

— Nie przeszkadzaj. Coś bardzo ważnego. Koncepcjotron nie chciał nadawać otwartym tekstem.

— Czy on tak często?... — Tompi nie skończył.

Koncepcjotron mówił głosem tłumaczącego jego kod automatu.

— Wnioskując na podstawie gęstości gazu i ilości wydzielonej energii, na panczeru rakiety zaszedł proces anihilacyjny gazu.

— No więc?... — Fux pochylił się do przodu i pozostał w tej pozycji.

— Albo gazy wylotowe rakiety, albo pancierz kosmolotu są antymateria. Ta druga możliwość jest kilkaset tysięcy razy bardziej prawdopodobna. Skończyłem.

— Z antymaterii... — wyszeptał Fux.

— Jak to z antymaterii? Przecież nie można antymaterialnego pancierza nałożyć na raketę. Przy każdym zetknięciu materii i antymaterii równoważne ich ilości przekształcają się w energię, zgodnie z wzorem Einsteina...

— To oczywiste...

— No więc koncepcjotron się myli.

— Pancierza z antymaterii nie można nałożyć na zwykły kosmolot, ale można nałożyć na kosmolot z antymaterii...

— No dobrze, ale Ban? Przecież nie może przebywać wewnątrz antymaterialnego statku.

Fux popatrzył na Tompiego jakoś dziwnie.

— Jeżeli sam Ban nie jest z antimaterii.

Przez chwilę milczeli.

— Naprawdę tak sądzisz? — zapytał w końcu Tompi.

— To nie ja, to koncepcjotron.

— On tego nie powiedział. Przecież słyszałem, co mówił.

— Bo go o to nie pytałem. Ale to wynika...

— To zakrawa na absurd.

— Znasz dzieło *Loty międzygwiazdne*?

— Oczywiście. Powstało jeszcze w moich czasach.

— Jest tam zdanie: „Są wśród gwiazd rzeczy, o których automatom się nie śniło”.

— Pamiętam. Mówiono wtedy nawet, że ktoś już w starożytności powiedział coś podobnego.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Zresztą to nonsens. Przecież w starożytności nie było automatów.

— Oczywiście. Ale przyznasz, że z Banem to absurd.

— Więcej niż absurd. To coś w ogóle nie spotykanego w historii ludzkości.

— Dlatego uważam, że to pomyłka...

— Koncepcjotron się nie myli.

— Zanadto mu ufasz.

— On zasługuje na zaufanie. To skondensowana wiedza wielu pokoleń ludzkości... A działa tak samo niezawodnie, jak niezawodnie porusza się Ziemia po orbicie wokół Słońca... Ty, Tompi, nie jesteś człowiekiem naszych czasów, dlatego w to wątpisz...

Tompi wzruszył ramionami.

— Dobrze. Więc twój koncepcjotron ma rację. I kosmolot, i Ban są z antimaterii... I co dalej?

... Przecież to niczego nie wyjaśnia...

— W każdym razie stwarza podstawy do ciekawych hipotez...

— Jakich znowu hipotez?...

— Tym już się zajmą koncepcjotrony i uczeni.

— Ale przecież Ban nic nie wie i nic im nie powie.

— Natomiast my wiemy. Wiemy, że dwieście lat temu kosmolot Bana opuścił Układ Słoneczny, kierując się ku Wedze. Wrócił sto lat później, niż był oczekiwany, i jest antymaterialny. Można przypuścić, że Kosmos wokół Wegi ma tego rodzaju materiozwierciadlane własności. Nie wiem, czy takie założenie nie byłoby sprzeczne z fundamentalnymi zasadami fizyki, ale jeśli nawet nie byłoby, od razu nasuwa się inna wątpliwość...

— To, że wrócił?

— Tak. Prawdopodobieństwo, by kosmolot trafił do Układu Słonecznego, praktycznie jest zerem, a przecież Ban nie skierował go ku Słońcu.

— Więc jak to wytłumaczysz?

— Czynniki X.

— Nie rozumiem.

— Nie rozumiesz? Więc myślisz, że ta transmutacja jest rzeczywiście dziełem przypadku? Ja uważam, że czynnik X, obca cywilizacja, czy jak ich zechcesz nazwać, dokonała tego. Oni... chcieli nas zniszczyć... — dodał już cicho.

— Zniszczyć? Dlaczego?

— Nie wiem, ale pomyśl. Gdyby nie ta smuga gazów, kosmolot Bana za pół godziny wszedłby w ziemską atmosferę. Wybuch, który by nastąpił, zniszczyłby pół planety...



— Przesadzasz...

— Tak sądzisz? Kosmolot Bana ma masę wielu tysięcy antyton. A pięćdziesiąt kilo-gramów antymaterii wystarcza, by podgrzać kulę wody o średnicy dwu kilometrów do stanu wrzenia... Policz więc...

— Ale w takim razie Ban nie może lądować nigdzie w całym Układzie, chyba na Jowiszu lub Saturnie.

— Nie może i nie wie nawet o tym... — Fux bezmyślnie patrzył w ekrany.

— Nie wie, co się stało tam, na Wedze? Nie wie, że oni, ten czynnik X, kopiowali atom po atomie kosmolot, atom po atomie jego ciała. Identyczne atomy, tylko w ich jądrach zamiast protonów są antyprotony, a wokół jąder zamiast elektronów — pozytrony. Ale w takim razie nasza cywilizacja w stosunku do tamtej jest w epoce kamienia łupanego... to przerażające — Tompi zamilkł nagle.

— Tak samo przerażające jest to, że Ban jest antyczłowiekiem — powiedział Fux. — On nie wie, że jego ciało jest niebezpieczniejsze dla nas niż bomba atomowa starożytności... Psychicznie jest on tym samym człowiekiem, który odlatywał z Ziemi dwieście lat temu. Myśląca sieć jego mózgu, równoważna jego osobowości, nie zmieniła się. Ma on to samo usposobienie, wspomnienia, przeżycia, tylko że takie same jak dawniej engramy utworzone są z antyatomów. I dlatego... dlatego on nie może wrócić do nas na Ziemię.

— I ty chcesz mu to powiedzieć?

— Chyba tak...

— Ale on... Ban...

Fux wzruszył ramionami.

— No cóż, zobaczymy — nacisnął włącznik.

Ban siedział na tym samym fotelu witalizacyjnym. Nie zmienił nawet pozycji i w kabine nic się nie zmieniło, a przecież to była antymateria...

— Wszystko gotowe — powiedział Ban ujrawszy Fuxa i Tompiego.

— Ban, nie będziesz lądował — Fux wyrzucił to jednym tchem.

— Nie będę, dlaczego?

— Bo jesteś z antymaterii.

— Ja z antymaterii? Dobry żart.

— Naprawdę, mówię poważnie.

— Nie kpij ze mnie, Fux. Mnie naprawdę nie jest specjalnie wesoło.

— Jesteś z antymaterii — powtórzył z uporem Fux.

— Mylisz się, jestem normalnym człowiekiem. Normalnym! Słyszysz!

— To nie jest moje zdanie. To automaty...

— Do diabła z automatami! Oszukują was, są zawodne, a wy wierzycie w nie jak w wyrocznię.

— Tym razem się nie pomyliły.

— Pomyliły się na pewno.

— Nie.

— Zobaczymy.

— Co chcesz zrobić?

— Wejdę w górne warstwy atmosfery. Jeżeli macie rację...

— Nie wolno ci tego robić! Chyba nie zdajesz sobie sprawy z energii wybuchu?

— Zdaję sobie sprawę, ale to nie jest antymateria. Ja z antymaterii?... Dobrze sobie...

— Sądzisz, że powinieneś odczuwać jakąś zmianę?

Pytanie zaskoczyło Bana.

— Nie... chyba nie... — odpowiedział po chwili.

— Widzisz, my nie możemy ryzykować. Ziemia to nie poligon doświadczalny.

— Więc co zrobimy?

— Wejdź na ślepą dokołaziemską orbitę, a automaty zastanowią się tymczasem.

— Nie! Dość mam waszych automatów! — chciał wstać, ale Fux go uprzedził. Skoczył do emitera i przerzucił jakąś dźwignię.

— Przejmujemy sterowanie twoim statkiem.

— Nie możecie!

— Możemy! Jest urządzenie pozwalające na to podczas lądowania. Czasem piloci powracający z próżni mają zakłóconą równowagę psychiczną, a my musimy dbać o Ziemię — uśmiechnął się do Bana.

Ban stał chwilę niezdecydowany, a potem powoli usiadł w fotelu.

— Róbcie, co chcecie — powiedział i zamknął oczy.

— Ban... Ban... — Tompi odezwał się po chwili milczenia. — Czy ty naprawdę nic nie pamiętasz ze swego pobytu tam, na Wedze?

— Nic — Ban odpowiedział prawie szeptem.

— A może, może oni kazali ci zniszczyć... wiesz, przekształcenie mózgu w ten sposób, że takie działanie staje się koniecznością — dodał szybko.

— Nie, naprawdę nie. Czuję się człowiekiem, tak samo człowiekiem jak ty.

— A jednak oni chcieli nas zniszczyć... — powiedział Fux.

— Skąd wiesz?

— Sam fakt wysłania statku... z antimaterii.

— Nie sądzisz, że dużo łatwiej byłoby im za miast tej kopii wysłać ogromny miotacz antyprotonowy?...

— Może chcieli nas zaskoczyć. Twój kosmolot wraca z Wegi i niszczy Ziemię.

— Nie zgadzam się z tym, Fux — powiedział Tompi. — Przypisujesz im ludzki sposób rozumowania. Oni... jeśli rzeczywiście istnieją, myślą zupełnie inaczej. Zaskoczyć?... Równie dobrze mogli chcieć coś nam przekazać... Może zmiana materii kosmolotu miała być sygnałem, czymś dobrze im znanym, tak że przez myśl im nawet nie przeszło, że z antymaterią nie umiemy sobie radzić...

— Sygnałem? Przecież oni podobno chcieli was zniszczyć, a przeciwnika nie ostrzega się przed ciosem.

— Genialnie, Ban! — wykrzyknął Fux. — Mam, mam sposób sprawdzenia, czy chcieli nas zniszczyć. Oczywiście sygnał. Masz rację, Ban, przeciwnika nie ostrzega się przed ciosem. Ale oni nadali sygnał... może przypadkowo. Ten dodatkowy sygnał, o którym mówiłem ci, Tompi, gdy tu przyleciałeś... Jeśli ten sygnał nie niesie żadnej informacji...

— To będzie jednoznaczne z tym, że chcieli nas zniszczyć... — dokończył Tompi.

— Koordynator!

— Na odbiorze — odpowiedział automat.

— Przekazać do koncepcjotronu dodatkowy sygnał. Niech zbada, czy sygnał ten nie zawiera jakiegokolwiek informacji.

— Zrozumiałem.

— Wyniki podać natychmiast po uzyskaniu — dodał jeszcze Fux.

— No, Ban, za chwilę wszystko będzie jasne... — nagle Tompi urwał. Ekran był pusty. — Ban!

Ban! Nie ma go! Radarem!

Fux manipulował przez chwilę gałkami, ale ekran pozostał pusty, tylko na księżycowej drodze błyszczały małe plamki rakiet towarowych.

— To koniec... — powiedział Fux. — Musiał trafić w meteor. Może nawet w niewielki, ale z materii. Anihilacja i kosmolot wyparował...

— A może radar? — zaryzykował Tompi.

— Nie!

Równocześnie usłyszeli głos automatu.

— Informacja następująca — automat mówił wolno i dobitnie. — Badanie równoznaczne odtworzeniu. Alternatywa wyboru. Jeśli tak, to koniec, jeśli nie, powtórne odtworzenie przesunięte w czasie, takie, by uzyskać tak.

— Więc jednak, jednak chcieli nam coś powiedzieć! — Fux krzyczał głośno.

— Ale co? Ja z tego nic nie rozumiem.

— Zaraz się dowiemy. Komentarz własny! — rozkazał.

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

— Badanie układu jest nierozdzielnie związane z jego zniszczeniem. Potem układ się odtwarza z materii lub antimaterii.

— Zapewne zależnie od tego, gdzie go wysyłają... — cicho zauważył Tompi.

— Kosmolot został odtworzony i wysłany ku Ziemi. Jeżeli odtworzyli go z właściwej materii, niech zostanie na Ziemi. W przeciwnym wypadku należy przesłać im sygnał, a odtworzą go z przeciwnego znaku materii i przyślą za jakiś czas. Koniec.

— Więc oni widocznie wszystko, cokolwiek badają, rozkładają na atomy — Fux patrzył w zamyśleniu w ekran. — A potem syntetyzują z powrotem, a to jest już dużo trudniejsze.

— Na pewno — zgodził się Tompi. — Skoro jednak trwa to prawie sto lat... mają czas...

— To niczego nie dowodzi. Może są to istoty bardzo w stosunku do nas długowieczne i sto lat jest fragmentem w ich istnieniu. Zresztą nie o to chodzi... Ważne jest, że oni jednak nie chcieli nas zniszczyć!

— A jednak Ban zginął i jestem teraz najstarszym człowiekiem, a właściwie najwcześniej urodzonym człowiekiem w Układzie Słonecznym.

— Niezupełnie. Pamiętaj, że za dwieście lat wróci z Wegi Ban.

— Wróci?

— Na pewno. Zapowiadają to w przesłanym nam sygnale. On, Ban, jest nieśmiertelnym z Wegi. Nieśmiertelnym dzięki ich technice, bo utrwalili strukturę jego ciała, jego mózgu i mogą ją odtworzyć, kiedykolwiek zechcą. Gdy otrzymają od nas sygnał, odtworzą Bana i kosmolot — i za dwieście lat nasi potomkowie powitają go wracającego drugi raz ku Słońcu.

# ZANIM POLECĄ DO GWIAZD

Instytut stał na uboczu wśród wielkich, starych sosen. Wyrosły jeszcze wtedy, kiedy rósł tu las, dlatego były tak wysokie i proste. Białą drogę, którą przyszedłem tu od lotniska, zamykała brama, zwykła żelazna brama. Szukałem jakiejś bocznej furtki, ale jej nie było. Tylko tuż przy bramie w murze zauważyłem mały, szary ekran, a pod nim biały klawisz przycisku telewizofonu. Nacisnąłem go.

— Instytut Sieci Podprogowych. Z kim cię połączyć? — powiedział automat.

— Z profesorem Kedrokiem... Jestem jego asystentem...

Powinienem być to powiedzieć pewniej, dużo pewniej. Przecież rzeczywiście jestem już jego asystentem.

— Twoje nazwisko?

— Wart... Ker Wart.

— Wejdz. Profesor zobaczy się z tobą później.

Spojrzałem. Bramy nie było. A więc to też tylko pole siłowe stylizowane w kształcie starożytnej bramy... Przeszedłem kilkadziesiąt kroków ku budynkowi, gdy nagle wiatr ucichł na chwilę, sosny przestały szumieć i wydawało mi się, że słyszę stłumione nawoływania i zmieszany szmer ludzkich głosów. Spojrzałem w stronę, gdzie osobno, z dala od budynków, stał niewielki, okrągły pawilon. Nadeszła jednak nowa fala wiatru, uderzyła w korony sosen i znowu słyszałem tylko ich szum. A jednak byłem pewien, że tam coś się działo. Zawahałem się chwilę, a potem wąską ścieżką, wydeptaną w trawie, ruszyłem do pawilonu. Tak, teraz słyszałem wyraźnie:

— Dwadzieścia sześć stopni czternaście minut, dwadzieścia osiem stopni pięć minut... — górował nad głosami bas, podając namiary kątów.

— Kor... wen... sa... Io... wi... nut — drugi głos przerwał na chwilę, a potem zaczął od początku. Ktoś jeszcze coś tam mówił, ale zbyt cicho, bym mógł rozróżnić słowa. Poza tym słyszałem jakieś gwizdy, chrapania i przeciągły, powtarzający się, wibrujący ton, przechodzący gdzieś w ultradźwięki.

— Stój — powiedział nagle ktoś tuż obok mnie. Odwróciłem się.

Był to androidalny automat; stał za pniem sosny, dlatego nie zauważyłem go. Chciałem go minąć bez słowa.

— Stój! — powtórzył. — Profesor Kedrok polecił, by nikt tam nie wchodził.

— Ale ja... ja jestem jego asystentem...

Android nie odpowiedział. Widocznie nie otrzymał żadnych innych instrukcji. Oczywiście mogłem pójść dalej. Automat mógł najwyżej jeszcze kilkakrotnie powtórzyć to, co już powiedział, ale jeśli to było polecenie Kedroka...

Spojrzałem raz jeszcze na pawilon i poszedłem na przelaj przez trawę, wśród pni sosen, wprost ku instytutowi.

— Czterdzieści dwie minuty trzydzieści pięć stopni... — głosy cichły za mną i rozróżniałem już tylko bas. Wreszcie i on ucichł...

Trawa sięgała mi do kolan. Była żółta i zeschła jak zawsze pod koniec lata. Patrzyłem ku instytutowi, w którego czarnych ścianach odbijały się sosny i niebo. Nagle potknąłem się, a właściwie coś, na co nadepnałem, wyszarpnęło mi się spod nóg.

— Jeżeli  $n$  jest liczbą pierwszą, to każda liczba niepodzielna przez  $n$  podniesiona do potęgi  $n - 1$  daje po podzieleniu przez  $n$  resztę jeden. — Mówił to mały automat w kształcie elipsoidy obrotowej, leżący w trawie. Na jeden z jego wypustów podpierających nastąpiłem przed chwilą.

Pochyliłem się nad nim.

— Wstań! — rozkazałem.

Zabulgotał dziwacznie, ale się nie ruszył. — Widocznie jest rozkojarzony — pomyślałem. Dopiero w tej chwili spostrzegłem rozdarcie w jego pancerzu. Zaczynało się kwadrato-wym otworem, od którego rozcięto pancerz na przestrzeni kilkunastu centymetrów, odwijając go na boki, tak że widziałem błyszczące kryształy układów wewnętrznych. To było coś niezrozumiałego. To rozdarcie było dziełem wypustów wykonawczych jakiegoś automatu... Pomyślałem, że może czegoś się dowiem od niego, jeśli rozkojarzenie nie poszło zbyt daleko.

— Jak się nazywasz? — pochyliłem się nad nim, by przyrzeć się dokładnie uszkodze-niu.

Wtedy uderzył i gdyby nie mój momentalny unik, rozbiłby mi przynajmniej odbiornik unitelewizotroniczny, wpięty w ubranie na ramieniu. Odskokczyłem. To, co przed chwilą zro-bił ten automat, było zupełnie nieprawdopodobne. Chciał mnie uderzyć. Zaatakował człowie-ka. Wyobraziłem sobie nagle kwadratowy otwór, kilkunastocentymetrowe rozdarcie i we-wnątrz porozrywane tkanki, nerwy, tętnice...

— Android! Android! — zawołałem powtórnie, mimo że słyszałem już jego tętent od strony pawilonu. Nadbiegł po chwili. Elipsoidalny automat ożywił się, wyczuwszy jego obec-ność, i przebierał w powietrzu swymi wypustami wykonawczymi. Android działał błyskawic-znie. Błysnął błękitny płomień wyładowania między elektrodami w jego chwytniku. Dotykał tym płomieniem na moment każdego wypustu elipsoidalnego automatu i te nieruchomiały, szerniały i nadtopione.

Android działał sam, bez mego polecenia. Został więc poprzednio poinstruowany. Poinstruowany, by niszczyć inne automaty. Bezwiednie odsunąłem się od niego. A jeśli teraz mnie uderzy? Nie, to niemożliwe. Przecież wiem, że to niemożliwe. Jestem cybernetykiem, asystentem Kedroka. To śmieszne, żeby się bać automatu. Postąpiłem ku androidowi krok, potem jeszcze jeden. Wreszcie, żeby zachować szacunek dla samego siebie, wyciągnąłem rękę... i dotknąłem jego pancerza.

Oderwał się od elipsoidy i obrócił ku mnie. Był wyższy ode mnie o głowę.

— Nie mogę cię słuchać, bo mam polecenia. Czy chcesz je zmienić?

— Nie... a czyje polecenia?

— Profesora Kedroka.

— Żeby niszczyć automaty?

— Dezorganizować agregaty wykonawcze w sieciach podprogowych — to nie był jego głos, to był głos zlecniodawcy, profesora Kedroka, utrwalony wiernie w pamięci androida.

— Nie zmieniam poleceń.

Android obrócił się błyskawicznie do elipsoidalnego automatu. Poderwał go w swych uchwytach w górę.

— Jeżeli  $n$  jest liczbą pierwszą... — odezwała się elipsoida i słyszałem jej głos, coraz cichszy, w miarę jak android oddalał się ku pawilonowi.

„Dezorganizować agregaty wykonawcze” — powtarzałem w myśli słowa Kedroka, a więc właśnie to, co zrobił automat: zniszczył wypusty wykonawcze, „ręce” i narzędzia auto-matu. Sieć podprogowa — to nazwa najbardziej skomplikowanych sieci, bliskich progowi komplikacji. Ale to wszystko razem nic nie wyjaśnia. Automat chciał mnie uderzyć. To... to zdarzyło się chyba po raz pierwszy w historii ludzkości.

W każdym razie nigdy o niczym takim nie słyszałem. Bo przecież to jest niemożliwe... n i e m o ż l i w e!

Instytut był pusty, pola siłowe porozwierane i w korytarzach wiał wiatr. Zaraz w drugim korytarzu spostrzegłem biegnącą w poprzek białej posadzki czarną, rudziejącą po bokach szramę. To był ślad palnika. Dalej posadzka była nadtopiona i zakrzepła w bąblach, jakby płomień dotknął tylko z lekka jej powierzchni. Stałem nad tą szramą, gdy nagle posłysza-łem za sobą kroki. To był tylko android. Zatrzymał się przede mną.

— Ker Wart? — zapytał.

— Tak. To ja.

— Profesor czeka na ciebie.

Poszedłem za nim. Prowadził mnie najpierw korytarzami, a potem pochylnią zesliśmy w podziemia instytutu. Wreszcie zatrzymał się przed jakimś polem siłowym, a gdy na jego sygnał się rozwiało, zobaczyłem potężną falę, oświetloną błękitnawym jarzeniem fosforyzują-cych ścian. Zalegały ją tony cybernetycznego złomu. Uszkodzone, na pół nadpalone szkielety różnorodnych automatów, rozsypane po posadzce kryształki wewnętrznych układów, pękają-ce z chrzęstem pod butami, jakiś android, z wyrwaną płytą czołową, zastygły w dziwacznej pozie... Pod ścianą spostrzegłem przetworniki energii — serca automatów — ustawione pedantycznie w rzędzie przez pomocniczy automat, kręcący się tam i z powrotem od ściany do pracujących w sali ludzi. Bo tam byli ludzie. Ubrani w szare przeciwpromienne skafandry, grzebali wśród tych szczątków. Chciałem podejść ku nim. Jeden z nich zatrzymał mnie jednak.

— Zostań przy drzwiach — zawołał. — Tutaj jest szczątkowa promieniotwórczość... Czekaj, zaraz zawołam profesora — i ruszył gdzieś w głąb sali.

Profesor nadszedł po chwili. Tak jak inni był w szarym skafandrze. Przypominał raczej kosmogatora-odkrywcę z widowisk wideotronicznych niż profesora cybernetyki, który nawet jeśli nie ma siwych włosów, powinien mieć przynajmniej sześćdziesiąt lat. Kedrok był młody i miał czarne, krótko strzyżone włosy.

— Witaj. Przybywasz do nas w ciekawym momencie... nadzwyczaj ciekawym — dodał ciszej... — Potem porozmawiamy sobie dłużej, ale na razie jestem zajęty. Mor — zawołał do kogoś na sali. — Mor, zajmij się kolegą... Za kilka godzin przystąpimy do zakończenia eksperymentu, mam nadzieję, że weźmiesz w tym udział — skinął mi głową i wrócił do auto-matu, słowa nie powiedziawszy, co to wszystko znaczy.

Mor był wielkim rudym chłopakiem o wesołych niebieskich oczach.

— Ty jesteś Wart. Strasznie się cieszę...—klepnął mnie po ramieniu. — Czuj się u nas jak w domu, cybernetyczny pustelniku.

— Dlaczego pustelniku?

— No bo to jest pustelnia. Pustelnia wiedzy cybernetycznej. Obcym wstęp wzbroniony — wyjaśnił.

— A co tu się stało? — wskazałem na salę i nadpalone szczątki.

— To... Manowce twórczej działalności Kedroka.

— Nie rozumiem...

— A... nic... po prostu odpadki... Segregują to trochę, bo szkoda wyrzucać tyle elementów...

— Jakaś katastrofa?

— Nie, tylko nasze niezbyt udane dzieci zniszczyły pole siłowe i zaczęły się rozłazić po całym instytucie.

— No dobrze, ale skąd te nadtopione szczątki?

— Nie mogliśmy temu inaczej zapobiec.

— A sprzężenia?...

Mor chwilę bezmyślnie patrzył przed siebie.

— One nie mają sprzężeń — powiedział. — Przynajmniej niektóre z nich...

Przez chwilę słowa nie mogłem wymówić z wrażenia. Potem pomyślałem, że Mor kpi ze mnie.

Przyjrzałem mu się uważnie, ale on patrzył gdzieś w głąb sali i nie zwracał na mnie uwagi.

— Przecież to zbrodnia... — powiedziałem w końcu.

Wzruszył ramionami.

— Po cóż mnie to mówisz? Idź, powiedz to Kedroкови...

— Pójdę... oczywiście, że pójdę... — zostawiłem Mora i pobiegłem w głąb sali.

— Wróć, tu jest promieniowanie — wołał ktoś do mnie.

— Gdzie jest profesor? — zapytałem go.

— Wyjdź stąd — powtórzył.

— Ale ja muszę widzieć się z profesorem.

— Jest w tej chwili zajęty. Zobacysz się z nim podczas zakończenia eksperymentu...

— Mam bardzo...

— Wyjdź natychmiast. Przecież nie jesteś dzieckiem. Tu jest kilkanaście rentgenów...

Wyszedłem. Mor czekał na mnie.

— No i co?

— A... nic. Promieniowanie i profesor zajęty.

— Zawsze to samo. W ogóle z nami o tym nie rozmawia.

— Próbowaliście?

— Jasne. Powiedział, że wie, co robi, i że wszystko jest w porządku...

— W porządku? Jeden z nich mnie zaatakował...

— Tak? — Mor nie był tym specjalnie przejęty. — Jest zarządzenie, by nie oddalać się zbyt od androidów. One są odpowiednio zaprogramowane i likwidują automaty o niezrów-noważonej pseudopsychice...

— I ty, Mor, uważasz, że wszystko jest w porządku?

Mor milczał przez chwilę.

— Widzisz, Wart — powiedział w końcu — pracuję już w zespole Kedroka piąty... nie, szósty rok... To cybernetyk z prawdziwego zdarzenia... Wiesz, jeden z tych, którzy czują cybernetykę i myślą jakoś samorzutnie, a także na co dzień jej kategoriami. Wierzę, że gdyby żył wcześniej niż Wiener, on właśnie stworzyłby tę naukę...

— No dobrze, ale co to ma wspólnego z tymi eksperymentami?

— Nic, po prostu mu wierzę.

— A inni?

— Chyba także.

— Ale ja nie. I zawiadomię o tym Radę Naukową. To zbrodnia... Ty także wiesz o tym... Zbrodnia nie tylko wobec nas, ale zbrodnia wobec wszystkich. Automaty bez sprzężeń. One są przecież nieobliczalne, zupełnie nieobliczalne...

— W zasadzie masz rację...

— Więc chodź ze mną.

Nie odpowiedział.

— Jak chcesz — wzruszyłem ramionami i ruszyłem ku wyjściu tymi samymi pustymi korytarzami, w których wiał wiatr, bo pola siłowe były porozwierane. Gdzieś za zakrętem korytarza usłyszałem tętent. To biegł wieloodnóżowy automat... Wyskoczył wprost na mnie. Przywarłem do ściany, ale on nie zauważył mnie nawet, przemknął obok i pobiegł tam, skąd ja przyszedłem. Jeszcze

przez chwilę słyszałem charakterystyczny szcęk jego amortyzato-rów, a potem coś zadudniło głucho i zgrzytnęły zderzające się panczerze. Spojrzałem za siebie. To android zderzył się z automatem zagroziwszy mu drogę, a teraz ciął go krótkim niebie-skawym płomieniem. Pancierz automatu żarzył się już wiśniowo, a ze spalonej posadzki uno-siły się kłęby czarnego dymu. Teraz wiedziałem już, co znaczą nadpalone szramy na posadz-ce. Widocznie to, co obserwowałem, nie było niczym niezwykłym w tym instytucie... Przy-spieszyłem kroku i biegnąc prawie, minąłem wyjściowe pole siłowe.

Ktoś wybiegł za mną. Odwróciłem się i stanąłem. On również stanął. To był android.

— Wracaj — powiedziałem.

— Mam polecenie...

— Zmieniam polecenie! — krzyknąłem. — Wracaj natychmiast!

— Polecenie zmienione — powtórzył beznamiętnym głosem automatów. — Wracam — odwrócił się i wolno poczłapał ku wejściowemu polu siłowemu instytutu.

Poszedłem ku bramie. Sosny szumiały tak samo i tak samo zdawało mi się, że słyszę głosy z pawilonu wtedy, gdy cichł wiatr.

A więc tam w pawilonie były automaty... automaty z eksperymentu, automaty bez sprzężeń, z nie kontrolowaną pseudopsychiką, działające w takt sekwencji impulsów płyną-cych z ich krystalicznych mózgow. I jeden z nich mnie zaatakował. Rozejrzałem się wokoło, ale nie spostrzegłem nawet androida pilnującego pawilonu. A ten drugi... ten android, który chciał mi towarzyszyć... Miał mnie bronić przed tymi automatami...

Tak więc, jeśli genialny eksperyment się uda, już wkrótce każdemu człowiekowi będzie musiał towarzyszyć android, by go bronić... bronić przed automatami... Śmieszne i absurdal-ne...

Doszedłem do pola siłowego bramy.

— Chcę wyjść — powiedziałem.

— Czy Ker Wart? — zapytał automat.

— Tak, a o co chodzi?

— Profesor Kedrok...

— Co znowu profesor Kedrok?!

— Profesor Kedrok prosił, byś poczekał do końca eksperymentu...

— A jeżeli nie zechcę?

— Jesteś człowiekiem. Możesz wyjść.

Zastanowiłem się moment.

— A skąd profesor wiedział, że wyjdę? — zapytałem.

— Nie wiedział na pewno. Otrzymałem rozkaz warunkowy. „Gdyby wychodził, to mu powiedz, żeby zaczekał do końca eksperymentu. Proszę go o to” — usłyszałem głos Kedroka odtwarzany przez automat. Więc chciał, abym został w instytucie. Spodziewał się, że będę wychodził. Czyżby zależało mu na tym, by mnie tu zatrzymać? Zatrzymać, aż dokończy swe-go eksperymentu... Ale wtedy mógłby po prostu wyłączyć sprzężenie odźwiernemu automa-towi i zakazać mu mnie wypuścić. Tymczasem on tylko prosi, bym został...

Nagle przyszła mi do głowy nowa myśl. A jeśli on po prostu polecił automatowi powie-dzieć to w nadziei, że odstąpię od swego zamiaru... A gdybym nie odstąpił... brama i tak się nie otworzy... Wtedy wszystko byłoby jasne.

Jeśli brama się otworzy — zostanę — postanowiłem.

— Otwórz! — rozkazałem.

Pole siłowe bramy znikło i widziałem drogę, którą tu przyszedłem z lotniska terropla-nów.



Mogłem odejść.

— Zamknij — powiedziałem i zawróciłem ku instytutowi.

Niewielka sala pełna była ludzi. Nie przypuszczałem, że Kedrok ma aż tylu współpracowników. Jego samego jeszcze nie było.

— O, Wart, więc jednak zostałeś — Mor podszedł, gdy tylko mnie spostrzegł.

— Mhm, ciekaw jestem, co on o tym wszystkim powie — wyjaśniłem.

— Ja też. Podobno uzyskaliśmy interesujące wyniki. Nieprawdaż, Ptar? — zwrócił się do niewielkiego, rozczochranego człowieka stojącego obok nas.

Więc to jest Ptar, największy autorytet w dziedzinie cerebrokwantyfikatorów — pomyślałem.

— Wyniki są rzeczywiście rewelacyjne. Zresztą zaraz sami zobaczycie. W każdym razie ten dzień przejdzie do historii...

— Nie przejmuj się, Wart — Mor uśmiechnął się do mnie. — Ptar zawsze przesadzał...

— Tym razem zgadzam się z nim — powiedziałem. — To pierwsza próba budowy automatu bez sprzężeń... ale mam nadzieję, że również ostatnia.

Ptar popatrzył na mnie, jakby mnie w tej chwili dopiero spostrzegł.

— Nie sądzę — pokręcił głową — wydaje mi się wręcz przeciwnie. To dopiero początek.

— Ale to są niebezpieczne automaty... W ogóle, jak można...

Ptar uśmiechnął się.

— Chyba bardzo niedawno zostałeś cybernetykiem, prawda? — zapytał.

— Tak, ale wystarczająco dawno, by wiedzieć...

— Masz jeszcze poglądy, które wyniosłeś wprost z uczelni. Poglądy twoich profesorów, mniej więcej sprzed pół wieku.

— Obojętne...

— Poczekaj — przerwał mi — ja znam już wyniki eksperymentu. Posłuchaj, co powie Kedrok.

Nie zauważyłem nawet, kiedy wszedł Kedrok. Teraz czekał, by sala się uciszyła.

— Przede wszystkim muszę was przeprosić — zaczął — przeprosić, że nie przedstawiłem wam na początku naszych prac celu eksperymentu, i podziękować, że mimo to współpracowaliście ze mną... To zresztą, że nie wiedzieliście wszystkiego, było również fragmentem eksperymentu, bowiem — uśmiechnął się — my wszyscy tutaj w instytucie byliśmy załogą kosmolotu...

— Załogą czego? — zapytał ktoś z tyłu. Zresztą mnie także wydawało się, że Kedrok się pomylił.

— Dobrze usłyszeliście. Właśnie załogą kosmolotu — powtórzył Kedrok — kosmolotu pędzącego ku którejś z gwiazd.

Teraz wszyscy mówili, a Kedrok nie starał się nawet ich uciszyć. Czekał, aż umilkną, a wtedy powiedział:

— Wytlumaczę wam wszystko, ale muszę zacząć od początku. Wiecie, że już od lat prowadzi się wszechstronne badania związane z planowanymi podróżami międzygwiazdowymi. Ponieważ my jesteśmy instytutem cybernetyki, postawiono przed nami problem zbudowania uniwersalnego automatu, automatu takiego, który by w nieznanych i niemożliwych do określenia z góry warunkach, panujących na planetach dalekich gwiazd, mógł wykonywać zadania postawione mu przez kosmonautów... Problem nie był prosty... Powstały różne projekty. Były próby budowania automatu o wielu różnorodnych, zależnie od warunków i rodzaju pracy, agregatach wykonawczych. Ale projekt upadł...

— Bowiem różnorodnych agregatów byłyby tysiące... — powiedział Ptar.

— Nawet dziesiątki lub setki tysięcy, bo przecież różnorodność warunków na różnych planetach jest ogromna. Na pewnym etapie prac sądziliśmy nawet, że problem ten nie jest rozwiązalny... — profesor przerwał na moment. — Okazało się jednak — ciągnął dalej — że nie jest on rozwiązalny tylko na gruncie klasycznej teorii automatów... teorii, która zaleca tworzenie automatu od podstawowych sprzężeń typu „wykonaj rozkaz człowieka”. Te sprzężenia, a jest ich przecież sporo, rzutują później na dalszą konstrukcję automatu. Ale można zacząć inaczej...

Kedrok urwał. Cisza na sali była zupełna.

— A więc można zacząć inaczej, tak jak... ewolucja, ewolucja organizmów żywych. Ewolucja kształtowała organizmy w miarę, jak zmieniały się warunki. I myśmy — podniósł głos — myśmy zrobili to samo! Kosmolot zabiera tylko agregaty tworzące automaty. Same automaty konstruowane będą dopiero tam, na planetach dalekich gwiazd. Zależnie od warunków, na jakie natrafia kosmonauci...

Teraz wszyscy mówili razem. Mor zastanawiał się chwilę, a potem powiedział:

— Nie wiem. Może ja jestem mało bystry, ale dlaczego my mamy być załogą kosmolotu?...

Profesor usłyszał go widocznie.

— Zaraz będę o tym mówił — starał się przeczekać gwar. Potem podniósł rękę.

— Czekaście, jeszcze nie koniec. Nie koniec, bo wyłaniają się dwa zagadnienia. Po pierwsze, tych różniących się nieco od siebie automatów musi być bardzo dużo, bo wykonywać zadania mogą tylko te, które rzeczywiście dadzą sobie radę w nowych warunkach... Inne można zniszczyć.

— Zupełna analogia z ewolucją — powiedział Ptar.

— No, ale w tej chwili — ciągnął profesor — możemy sobie pozwolić na zbudowanie tysiąca automatów, jeśli tylko choćby jeden z tysiąca przejdzie próby i okaże się dostosowany do zadań... Dużo poważniejszy jest drugi problem... Automaty te nie mogą mieć narzuconych żadnych sprzężeń. Co prawda, tym, które przejdą próby i będą powielane, można takie sprzężenia potem narzucić, a inne zniszczyć, istnieje jednak pewne niewielkie prawdopodobieństwo, że zanim automaty te zostaną zniszczone, rozbiegną się po kosmosie. Może to być spowodowane niedopatrzaniem któregoś kosmonauty lub po prostu awarią urządzeń zamykających pomieszczenie z automatami. I co wtedy?... Jaki los grozi załodze kosmolotu w spotkaniu z automatami bez sprzężeń?... Musieliśmy na to pytanie odpowiedzieć... Wypuściliśmy więc nasze wyprodukowane automaty... i sytuacja w instytucie stała się podobna do tej, która mogłaby się zdarzyć w kosmosie... No cóż, przekonaliśmy się, że nic się nie stało. Automaty, nawet bez sprzężeń, nie atakują ludzi. Zresztą dlaczego miałyby atakować?...

— Mnie automat zaatakował — powiedziałem to głośno, tak głośno, jak tylko mogłem.

Wszyscy odwrócili się ku mnie.

— Zaatakował mnie mały elipsoidalny automat i chciał mi zmiażdżyć ramię — wskazałem miejsce, gdzie chciał mnie uderzyć.

Profesor przypatrywał mi się uważnie, a potem podszedł do mnie.

— To na pewno była elipsoida?

Skinąłem głową.

— A to — wskazał na mój odbiornik unitelewizytroniczny, wpięty w materiał na ramieniu — to miałeś wtedy przy sobie?

— Tak.

— No właśnie. On nie atakował ciebie. On chciał ci tylko zabrać ten odbiornik... Jego niektóre części odpowiadają związkom, których poszukuje ten automat... Niestety nie ma sprzężeń i nie wie, że ludziom nie odbiera się żadnych, nawet najpilniej poszukiwanych związków chemicznych... Tam w Kosmosie, gdyby przeszedł pomyślnie wszystkie próby, nauczyliby go tego. Powtarzam wam:

automaty nie atakują ludzi...

Nie czekałem, aż Kedrok skończy. Wyszedłem z sali. Korytarzem poszedłem do wyjścia, a potem żółtą trawą wśród sosen do pawilonu. Najpierw usłyszałem bas:

— Trzydzieści trzy stopnie i pięć minut... czterdzieści dwa stopnie czterdzieści minut...

— ...la... or... cas... wi... nat... — sylabizował drugi głos.

Na androida nie zwróciłem uwagi. Wnętrze pawilonu było ciemne i coś się tam poruszało.

— Kor... wen... sa... Io... wi... nat... — kontynuował głos.

Zawahałem się, odpiąłem ze skafandra unitelewizotron i wyrzuciłem go, a potem wszedłem do środka. Sam się musiałem przekonać... Ja byłem człowiekiem, a one automatami bez sprzężeń...

# ADAM I EWA

Rakieta schodziła do lądowania na Zielonej Planecie. W dole pod chmurami widzieli ocean i zarysy lądów. W niższych warstwach atmosfery promieniowania nie było i musieli włączyć emitery. Natychmiast poczuli ich działanie — przyjemne ciepło w swoich ciałach.

— To atmosfera — powiedział Pierwszy — zatrzymuje całe promieniowanie, które idzie z Kosmosu.

Drugi nie odpowiedział. Patrzył w ekran. Zniżyli się już na tyle, że widać było nie kończący się las, przerywany gdzieniegdzie pasmami rzek.

— Widzę płaskowyż. Lądujemy — powiedział Trzeci, który sterował rakieta. Hamowa-nie było łagodne i tylko piasek zakipiał w ogniu dysz.

— Automaty gotowe? — zapytał Pierwszy.

— Gotowe — odpowiedział Drugi. Otworzył śluzy i poczuł obcy zapach traw oświetla-nych promieniami niknącego za horyzontem Żółtego Słońca. Wskazał wyjście automatom, ale homoidy nie wyszły.

— Nie chcę opuścić rakiety — powiedział Drugi.

— Weź indywidualny miotacz i wyrzuć je — poradził Trzeci.

— Sądzą, że to kara, i przyrzekają, że nie będą podkradać z magazynów jedzenia węzłem aprowizacyjnym.

— Kończ to wszystko i startujemy — powiedział Pierwszy i po chwili zobaczył w ekra-nie dwa dwunożne kształty odpędzane przez Drugiego miotaczem z miejsca startu rakiety. Potem śluzy trzasnęły, rakieta uniosła się w górę i znowu widzieli tylko las, a potem chmury.

— Piękna planeta — powiedział Drugi. — Myślisz, że one przeżyją, powielą się i spełnią zadanie?

— Na pewno. Są idealnie przystosowane do życia na tej planecie, lepiej niż inni jej mieszkańcy. Zobaczysz. Za kilkaset tysięcy obrotów tej planety wokół Żółtego Słońca pro-mieniowanie wzrośnie tu na tyle, że będziemy mogli wrócić bez emiterów, skolonizować lądy i przeżyć tu wiele szczęśliwych okresów kosmicznych.

# BIOHAZARD

Ciężarówka zatrzymała się przed zakrętem. Wysiadł, chwycił swoją gdzieniegdzie przetartą torbę podróżną, uśmiechnął się raz jeszcze do kierowcy i ruszył w górę. Za sobą słyszał warkot ciężarówki mijającej zakręt i zjeżdżającej w dół, w dolinę. Szedł powoli i za-trzymywał się co dwieście, trzysta metrów, mimo że boczna droga, w którą skręcił, była dość szeroka i wznosiła się pod niewielkim kątem przecinając stok. Poprzez koszulę czuł na plecach ciepło promieni popołudniowego słońca. Wokół na białych skałach rosły karłowate sosny, ale słońce wysuszyło je podczas upalnego dnia i czuł tylko zapach swego potu i ledwo uchwytną woń morza, które było gdzieś za najbliższymi wzgórzami.

Minął tablicę zakazu wjazdu i drugą informującą o tym, że znajduje się na terenie prywatnym. Gdy ją mijał, ból nasilił się. Stał i z górnej kieszeni koszuli wyjął fiolkę z pastylkami. Wysypał je na rękę, wsunął jedną pod język i po krótkiej chwili wahania jeszcze połówkę następnej. Nie czekał, aż ból ustąpi zupełnie, i ruszył dalej. Dalej było więcej cienia, bo drzewa były wyższe. Jeszcze jeden zakręt i stanął przed bramą. Spodziewał się jakiejś tablicy, ale brama była anonimowa, kuta z żelaza, nieco staroświecka. Obok stała portiernia zbudowana jak wszystko tutaj z białego kamienia. Wszedł do niej i wtedy zobaczył człowieka. Tamten siedział za niewielkim, przymocowanym do ściany stolikiem, na którym stał telefon. Miał na sobie coś, co mogło być uniformem, bo guziki błyszczały metalem, ale nie miał pasa ani czapki, tylko na głowie niewielki metalowy hełm okrywający potylicę.

— Pan był umówiony? — zapytał.

— Nie. Przyszedłem...

— Przeczytał pan tablicę?

— Oczywiście, ale...

— Proszę się zastosować do tego, co pan przeczytał, i opuścić teren. To własność prywatna.

Gdybym przyjechał tu własnym samochodem, rozmawiałby ze mną inaczej — pomyślał mężczyzna.

— To posiadłość doktora Egberga? — zapytał.

— Tak, ale powiedziałem już panu...

— Jestem przyjacielem doktora Egberga, znajomym z dawnych lat — dodał, by osłabić poprzednie zdanie, które nie było prawdą.

Człowiek w uniformie nie zdziwił się, nie zawahał, tylko podniósł słuchawkę telefonu.

— Mówi brama — powiedział. — Z sekretariatem doktora proszę.

Centrala widocznie łączyła.

— Pana nazwisko? — zapytał ze słuchawką przy uchu.

— Ralf Molnar, profesor Ralf Molnar — uzupełnił, przypomniawszy sobie, że Egberg będzie go pamiętał jako profesora.

Odzwierny pozostał obojętny, tak jakby anonsowanie profesorów przychodzących pod bramę z siwiejącym dwudniowym zarostem było jego codzienną czynnością. Potem podał jego nazwisko i czekali obaj. Molnar oparty o mur, tamten nieruchomo wpatrując się w jakiś punkt na murze.

— Tak. Przyjdą po pana — powiedział w końcu. — Proszę zostawić swoje rzeczy.

— Moje rzeczy?

— Tak. Przyniesiemy je panu później. Tu są takie zwyczaje — dodał, jakby to wyjaśniało wszystko.

Molnar wzruszył ramionami i pchnął nogą swoją torbę w kierunku odzwiernego. Wtedy na ścieżce usłyszał kroki. Odwrócił się. To była dziewczyna, wysoka dziewczyna w letniej sukience bez

rękawów. Tyle zauważył.

— Doktor Egberg prosił, abym pana przywitała w jego imieniu. Mam się również panem zaopiekować, profesorze, i zapytać, czy zostanie pan u nas na dłużej...

— Zobaczę. Nie wiem jeszcze.

— W każdym razie do jutra na pewno. Jest już późno. Zresztą doktor zaprasza pana na kolację.

Szedł teraz za nią wykładaną kamieniem aleją, wśród gęstych, nie znanych mu krzewów. Musiały być tu specjalnie sadzone - pomyślał patrząc równocześnie na długie, mocno umięśnione, a mimo to smukłe nogi idącej przed nim dziewczyny. Znowu poczuł ból i ucisk w piersi, za mostkiem, ale nie zatrzymał się. Dom musiał być blisko. Rzeczywiście, wychodził w ogród wielką nie oszkloną werandą i nagle Molnar zdał sobie sprawę z tego, jak duży jest to dom. Jego wielkość maskowała zielen, drzewa wpychające swe gałęzie wprost w okna i pnącza wspinające się po ścianach, sięgające pod sam niemal dach.

— Będzie pan mieszkał na pierwszym piętrze, profesorze — powiedziała dziewczyna, gdy wchodzili do domu. Szła wprost ku schodom i wtedy Molnar zatrzymał się na chwilę. Stał przed wielkim, ciemnym obrazem oświetlanym przez niskie, czerwone promienie wieczornego słońca, ale nie widział obrazu — czuł tylko ból. Dziewczyna także zatrzymała się na chwilę. Nie powiedziała nic, tylko podeszła do windy i wcisnęła klawisz wezwania. Nie patrzyła chyba na niego, a jednak nie mógł się zdecydować na wyjęcie fiolki. Z wolna ból ustępował i widział już teraz monstrualną ośmiornicę sięgającą na obrazie dziesiątkami macek po żaglowiec idący pełnym wiatrem po wzburzonym morzu.

— Jest już winda, profesorze — powiedziała dziewczyna.

Chciał powiedzieć, że niepotrzebnie ją wzywała, ale nie powiedział nic. Wjechali na piętro i przeszli korytarzem gdzieś w głąb domu. Wygląda to jak hotel — pomyślał Molnar — korytarz i dziesiątki drzwi. Drzwi bez klamek - dodał, zdając sobie równocześnie sprawę, że to nie ma sensu. — Normalny, duży dom.

— To tutaj — powiedziała dziewczyna i przepuściła go pierwszego. Stał w pokoju, gdzie znajdowały się wszystkie niezbędne sprzęty oraz wielki telewizor. Na łóżko nie spojrzał nawet. Spał wszędzie dobrze, tak jak dawniej w młodości, a nie był tak wysoki, by niedostateczna długość łóżka mogła być problemem.

— Łazienka jest tutaj — dziewczyna uchyliła drzwi.

— A moje rzeczy?

— Będą zaraz.

Spostrzegł, że patrzy na niego i uśmiecha się. — Ciekawe, ile ma lat — pomyślał — na pewno wygląda na mniej niż ma w istocie.

— Doktor Egberg odezwie się wkrótce do pana.

— Odezwie się?

— Tak. Zapewne złoży panu telewizytę. Oczywiście zapowie się wcześniej.

— Ach, tak?

— Gdyby pan czegoś jeszcze potrzebował, proszę mnie zawołać.

— Zawołać?

— Mam na imię Mag.

— Ale jak zawołać?

— Panno Mag... albo po prostu Mag,

— Tu, w tym pokoju?

— W pokoju albo w łazience. Trochę głośniejszy niż pan zazwyczaj mówi, tak żeby dyskryminatory

przepuścili.

— Tak, rozumiem — powiedział Molnar. Coś zaszurało za drzwiami i odezwał się brzęczyk umieszczony gdzieś u sufitu.

— Są już pana rzeczy — powiedziała dziewczyna. Uchyliła drzwi i sięgnęła po stojącą za nimi torbę.

— Po co to wszystko. Mogłem ją sam przynieść...

Nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się raz jeszcze i wyszła. Wtedy zobaczył w miejscu, w którym przed chwilą stała, jej sandał. Zgubiła sandał i nie zauważyła tego. Podniósł go z podłogi i szarpnął drzwi. Przez moment stawiały opór a potem otworzyły się. Zupełnie jakby podejmowano decyzję, że mogą się otworzyć — pomyślał. Na korytarzu nie było nikogo. Stał przez chwilę z sandałem w ręce i nagle uświadomił sobie, że przez cały czas, od kiedy wszedł do tego domu, nigdzie nie spotkał nikogo.

W godzinę potem, ogolony, wykąpany i przebrany w wyjętą z torby koszulę, siedział w niezbyt wygodnym fotelu i patrzył w mrok za oknem. Klimatyzacja bezgłośnie tłoczyła chłodne powietrze, powietrze o zapachu soli i wodorostów, i przez chwilę wydawało mu się, że jest to prawdziwy powiew wieczornej bryzy, zanim nocą zmieni swój kierunek. Drzewa za oknem były nieruchome i widział tylko ruchliwe wielokąty nietoperzy na tle jaśniejącego jeszcze nieba. Zanim usiadł w fotelu, próbował otworzyć okno, ale zasuwy nie drgnęły nawet, mimo że napierał na nie z całej siły. Jestem zbyt słaby — pomyślał i zrezygnował, bo po wysiłku przychodził zawsze ból.

Siedział nieruchomo i myślał o portowej dzielnicy, w której ostatnio mieszkał, małym pokoiku (z jednym oknem), do którego szło się po stromych jak drabina schodach, o barce dwie przecznice dalej, gdzie siadywał popołudniami, i codziennej drodze do pracy rankiem wąskimi zakurzonymi uliczkami. O instytucie i dawnych czasach nie myślał nigdy.

— Dobry wieczór, profesorze — usłyszał głos tuż za sobą i odruchowo odwrócił się. W pokoju nie było nikogo, tylko na matowym dotąd ekranie zobaczył twarz. To był Egberg, po-znał go od razu, mimo tych kilkunastu lat, które minęły od czasów, gdy widywał go codzien-nie w instytucie. Te same szeroko rozstawione ciemne oczy i szerokie zrośnięte brwi.

— Cieszę się, że pana widzę, że mnie pan odwiedził.

— Cóż, prawdę mówiąc nie miałem innego wyjścia. Inaczej nie przyjechałbym tu.

— Widzę, że się pan nic nie zmienił przez te wszystkie lata. Zawsze mówił pan to, co chciał pan powiedzieć, w sposób najprostsz. Takim właśnie pana pamiętam.

— Domyśla się pan zapewne, po co przyjechałem?

— O tym może później. Zjemy razem kolację. Pamiętam, że lubił pan pstrąga z pieczar-kami. Zawsze na wtorkowym obiedzie u Petty'ego.

— Od tych czasów zmieniły mi się gusty.

— Poleciałem jednak przygotować tę potrawę. Pstrągi sprowadzamy tu samolotami.

— Podziwiam pana pamięć.

— Byłem wtedy w tym wieku, gdy zapamiętuje się prawie wszystko. A wtorkowy obiad z panem to był szczyt marzeń każdego z nas. No więc oczekuję pana. Moja sekretarka za chwilę po pana przyjdzie — ekran zmatowiał.

Pstrągi u Petty'ego. Zapomniałem, że kiedykolwiek je jadłem — pomyślał Molnar.

— Pani sandał, Mag. Zgubiła pani sandał — powiedział, gdy weszła.

— Nie szkodzi, mam ich dużo. Ja często gubię sandały — powiedziała. — Jestem roz-targniona... — dodała, gdy spostrzegła, że patrzy na nią uważnie. — O, widzi pan, mam już nowy!

Podał jej sandał, a ona wzięła go jakoś niezdecydowanie, co Molnar spostrzegł i zapamiętał.

— Doktor Egberg czeka — powiedziała.

Przeszli znowu tym samym korytarzem i zeszli na parter. Korytarz oświetlały małe, żółto świecące lampki ze staromodnymi żarówkami. Wygląda to jak hotel gdzieś z początku wieku — pomyślał Molnar. Jadalnia, do której weszli, oświetlona była w ten sam sposób. Stół nakryty na dwie osoby, nakrycia ustawione naprzeciw siebie, tak że jedno pozostawało nieco w mroku. Znam Egberga, to ja będę siedział w pełnym świetle - pomyślał i spojrzał na ciemny, wieczorowy strój doktora. W swoich starych spodniach poczuł się przez chwilę nieswojo. Ale był to tylko moment.

— Naprawdę cieszę się, że pana widzę — powiedział Egberg i wskazał mu miejsce, które przewidywał.

Usiedli i wtedy Molnar spostrzegł, że Egberg też już nie jest młody. Był szpakowaty, właściwie prawie siwy, tą siwizną brunetów, która zaczyna się koło trzydziestki. Ale Egberg był starszy. Gdy widział go po raz ostatni, miał dwadzieścia kilka lat.

— Trafił pan tutaj do mnie bez trudu?

— Pana lecznica to znany ośrodek. Znany na całym kontynencie.

Egberg skrzywił się lekko.

— Raczej instytut, profesorze. To, że czasem przyjmuję kilku zamożnych pacjentów, o niczym nie świadczy. Z czegoś muszę utrzymać to wszystko. Ale przede wszystkim instytut. Prowadzimy interesujące prace, które w pewnym zakresie są kontynuacją tego, nad czym kiedyś pracowaliśmy wspólnie.

— Ja już nie mam z tym od dawna nic wspólnego. Na szczęście nie mam.

— Widzę, że pan już nie operuje — Egberg patrzył na dłonie Molnara.

— Nie jestem ani chirurgiem, ani neuronikiem. Dziś nie utrzymałbym nawet skalpela — podniósł swoje dłonie tak, żeby tamten mógł się im przyjrzeć. Wiedział, że są spękane, z czarnymi śladami smaru w załamaniach skóry.

— Mówiono mi, że w ogóle porzucił pan nasz zawód. Początkowo spodziewałem się pana spotkać na jakimś kongresie, konferencji...

— Cóż bym tam robił? Wtedy skończyłem z tym wszystkim definitywnie. Za to czytywałem o pana sukcesach w prasie codziennej, obok sportu i kroniki wypadków - dodał, by tamten nie zrozumiał tego inaczej.

Podano zimne przystawki. Człowiek, który im usługiwał, robił to niezręcznie. Był to potężny mężczyzna, z trudnością mieszczący się w swym ubraniu. Molnar wyobraził sobie pięść tamtego trafiającą go w żołądek.

— A myśmy pana wspominali wielokrotnie — Egberg patrzył w jakiś punkt nad głową Molnara: — Chociaż pana decyzja nie mogła niczego zmienić, był to niewątpliwie dowód dużej odwagi.

— Nie przesadzajmy. Po prostu w pewnym momencie zrozumiałem, że nie ma tam dla mnie miejsca. Nic więcej.

— Niewiele ludzi tak by postąpiło. No; zdrowie pana, profesorze. Pije pan, prawda?

— Jeszcze niekiedy piję. Wysilek woli koncentrować na niepaleniu — podniósł kielich białego wina.

Gdy podano pstrąga, zdecydował się wreszcie. Dawniej poczekałby z tym do kawy, ale pomyślał, że teraz zwyczaj świata, do którego już nie należał, nie obowiązuje go dłużej.

— Domyśla się pan, doktorze, dlaczego pana odwiedziłem? — zapytał.

Tamten skinął głową.



— Niech się panu nie wydaje, że przyszedłem po pierwszych objawach. Jestem po dwu zawałach i trzeci wydaje mi się kwestią najbliższych dni. Pozostałem trochę lekarzem. Z tego trzeciego nie wyjdę. Przy charakterystyce moich tkanek przeszczep nie wchodzi w rachubę. Prawdopodobieństwo powrotu do normalnego życia — prawie żadne. A wegetować jeszcze rok czy dwa w szpitalu... To mnie nie interesuje.

— Chce pan, jednym słowem, dostać sztuczne serce?

— Właśnie.

— I stać się cyborgiem?

— No... tak.

— Przy pana poglądach na tę sprawę?

— Doktorze. Sam wszczepiałem pierwsze modele tych urządzeń. Moje zastrzeżenia zawsze dotyczyły mózgu i tylko mózgu. Chyba pan o tym pamięta.

— Oczywiście. Był pan znanym orędownikiem limitowanej cyborgizacji. Serce — świetnie, wątroba czy nerka — wspaniale, ale wara od mózgu. To były pana poglądy, profesorze.

— Tak, i nie zmieniłem ich.

— Gdyby je pan wtedy przeforsował, gdyby się panu udało, nasz instytut byłby dziś prowincjonalną, placówką bez znaczenia, a ja... ja przeszczepiałbym może serca w jakimś podrzędnym szpitaliku.

— Zrobił pan wtedy wszystko, żeby mi się nie udało.

— To prawda. Ale to nie jest ważne. Gdybym to nie był ja, byłby ktokolwiek inny. Postępu nie można zahamować.

— Jeżeli to jest postęp?...

Egberg nie odpowiedział. Dopił swój kieliszek wina i chwilę milczeli.

— Więc wie pan już, doktorze, o co mi chodzi — powiedział Molnar i odsunął pełny jeszcze talerz. Czuł narastający, gniotący ból. Nie wolno mi myśleć tak o tych sprawach. Nie jestem już profesorem. Nie mam z tymi problemami nic wspólnego. Jestem zwykłym starym elektromechanikiem z warsztatu żeglugi przybrzeżnej, który chce mieć wszczepione sztuczne serce.

— Dlaczego wybrał pan mnie akurat, mój instytut?

— Z tych kilku, w których można to zrobić, na tej półkuli robi to pan najlepiej. Zresztą gdzie indziej nie miałby żadnych szans. Po prostu brak pieniędzy, doktorze.

— Są jeszcze normalne kliniki...

— Wiem, co chce pan powiedzieć. Tak, tam przyjęliby mnie może nawet za darmo. Ale musiałbym podpisać zobowiązanie, że zgadzam się na eksperymentalne metody i wszystko, co się z tym wiąże. A to jest może niezupełnie jawna, ale jakaś forma doświadczeń na czło-wieku. Poza tym, jaką mi oni dają gwarancję, że po tych eksperymentalnych metodach będę sprawnym człowiekiem. A mnie nie zależy na byle jakim przeżyciu. Chcę pływać, wiosłować, biegać po schodach, chcę żyć naprawdę.

— Zmienił pan zainteresowania. Dawniej tygodniami nie opuszczał pan instytutu. Mieszkał pan tam prawie.

— To, co było kiedyś, nie ma żadnego znaczenia. Wie pan, co teraz robię? Konserwuję automatyczne urządzenia nawigacyjne na statkach, które pływają od portu do portu i rozwożą drobnicę. Kończę pracę i resztę czasu mam dla siebie. Żadnych rozmyślań ani problemów. Czasem jakaś książka...

— Tak, rozumiem. Wolałbym, żeby pan miał pieniądze. Wtedy ja nie miałbym żadnych problemów. Zwyczajny pacjent...

— Wtedy zapewne nie zwróciłbym się do pana.

— Jest pan przynajmniej szczerzy, profesorze.

— Zastanawiałem się długo, zanim do pana przyszedłem. Myślałem o drugiej półkuli. Tam robią to za darmo. Kiedyś, gdy byłem jeszcze profesorem Molnarem, zrobiliby to na pewno, ale dziś... Dziś z trudnością zebrałbym pieniądze na podróż.

— Rozważył więc pan wszystkie możliwości i zostałem ja.

— Właśnie.

Egberg nie odpowiedział. Talerze zostały tymczasem zmienione. To, co podano, było pieczenią z sarny, ale Molnar już nie jadł. Czuł, jak ból nasila się i promieniuje za obojczyk. Egberg nie nalegał. Jadł sam szybko i obaj milczeli.

— Uważa pan, że teraz moja kolej? — zapytał w końcu Egberg.

Molnar milczał.

— Nie odpowiem panu tak po prostu. Muszę się zastanowić...

— Oby nie za długo. Mógłbym tutaj panu umrzeć. Nie, nie sądzę, żeby miał pan jakieś kłopoty, nawet gdyby sprawdzili, kim byłem i co nas, mówiąc ogólnie, kiedyś dzieliło. To w końcu dawne sprawy. Na wszelki wypadek w moich rzeczach jest adres mego lekarza. Zaświadczy, iż fakt, że żyłem tak długo, jest i tak znacznym odchyleniem od tego, czego należałoby oczekiwać.

— Dobry specjalista?

— Cóż, prowincjonalny lekarz w średnim wieku, ale i przypadek nie jest trudny.

— Mam już ten adres. Jutro otrzymam wszystkie dane, jakie on posiada.

— Przeszukał pan moje rzeczy.

— Jak pan widzi. Zresztą nie ja osobiście.

— Przynajmniej pan też jest szczerzy. To coś nowego. Nie przypuszczałem, że przychodzi to z wiekiem.

— Pan mnie zawsze źle oceniał, profesorze. Nigdy nie zwalczałem pana osobiście. Zwalczałem tylko pana poglądy.

— Rezultat był ten sam. Nie wracajmy zresztą do tych spraw.

— Słusznie. Czy napije się pan kawy? Moim zdaniem nie może to panu zaszkodzić.

— Zgoda.

— Przejdźmy więc do mego gabinetu.

Kawa i koniak już na nich czekały na niskim stoliku, ustawionym obok wielkich, krytych skórą foteli. Światło było żółte, przyćmione, jak w całym domu. W głębi Molnar zobaczył w mroku coś, co przypominało wielki pulpit sterujący. Pulpit był ciemny, tylko prawie na jego skraju błyskało pojedyncze czerwone światełko.

— Przepraszam, profesorze, na moment. Coś się jednak w instytucie dzieje. — Egberg podszedł do pulpitu, nad którym w tej samej chwili rozbłysnęły dwie jasne, promieniujące dziennym światłem lampy. Na ekranie pojawiła się twarz człowieka w białym kitlu.

— Co nowego, Dorn? — zapytał Egberg.

— W porządku. Tylko szesnastka jest niespokojna. Dlatego niepokoiłem pana.

— Próbowaleś dać napięcie polaryzujące?

— Tak. Nie pomaga.

— Dobrze, zaraz zobaczę — powiedział Egberg i odwrócił ekran tak, że Molnar nic już nie widział. Trzasnął przełącznik i Molnar usłyszał wycie, monotonne, niskie, prawie nieczło-wieczne. Wstał i uważając, by nie potrącić stołu, podszedł do pulpitu. Egberg, pochylony nad ekranem, stał odwrócony do niego plecami. Był wyższy od Molnara i zasłaniał część ekranu. W pozostałej

zobaczył jednak Molnar rękę kobiety, może dziecka. Dłoń rozwierała się i zaciskała kurczowo, potem było przedramię, a dalej metal, dziwna spleciona siatka prężąca i napinająca się w takt skurczów dłoni. Patrzył chwilę na rękę, a potem spojrział w głąb ekranu. Tam, w wielkim przezroczystym kloszu pływał mózg. Nie mógł się mylić, był neuronikiem. Nagle wycie ustało, ekran zgasł. Egberg odwrócił się i patrzył z góry na stojącego tuż przed nim Molnara.

— To był mózg — powiedział Molnar.

— Oczywiście.

— I ręka człowieka.

— Ręka była człowieka, ale mózg małpy. Steruje ręką człowieka jako urządzeniem lepiej wyspecjalizowanym od kończyn małpy. Podwójny układ hybrydowy.

Egberg zgasił światła nad pulpitem sterującym i Molnar widział już tylko fotele, stoliki i parującą kawę.

— Proszę, niech pan siada, profesorze. Prawdziwy naukowiec jest zawsze ciekawy, nieprawdaż?

— Ale po co... ten układ?

— Jakies najprostsze usługi... podawanie płaszczy w szatni, zawijanie w papierki cukierków. Wszędzie tam, gdzie nie wymaga się nadmiaru myślenia, a ręka człowieka jest sprawna... lub mile widziana. Gdybym jechał na jesienny kongres neuroniki, ustawiłbym tego cyborga u wejścia i podawałby wszystkim wchodzącym dłoń.

— Obłądny pomysł.

— Ma pan rację. Może w nie najlepszym tonie, ale reklama murowana. Niestety nie jadę na kongres...

Pili teraz kawę w milczeniu. Niepotrzebnie tu przyjechałem — pomyślał Molnar. — To było do przewidzenia, że nie da mi sztucznego serca. Zapewne myśli teraz, w jaki sposób mi odmówić, tak żeby później nie mieć do siebie żalu. Chociaż czy taki człowiek miewa w ogóle do siebie samego żal o cokolwiek, co zrobił, a tym bardziej o to, czego nie zrobił. Potem po-myślał o swoim metalowym łóżku, chrobocie owadów w ścianach swego domu i wyciu syren statków wychodzących w morze.

— Pójdę już chyba do swego pokoju — powiedział — i jutro rano odjadę.

— Ależ profesorze, nie skończyliśmy naszej rozmowy.

— Obawiam się, że wynik jej i tak jest przesądzony.

— Przecież nie dałem jeszcze panu odpowiedzi.

— W tej chwili wydaje mi się to mniej ważne. — Zawsze pod wieczór ogarniają nas wątpliwości, których nie mamy rano. Dobranoc, profesorze.

— Moja sekretarka pana odprowadzi.

— Ta, co gubi sandały...

— Tak. Jest pan spostrzegawczy, profesorze — dodał po chwili.

Mag już stała w drzwiach.

— Dobranoc — powiedział Molnar i wyszedł za Mag.

Gdy został sam w pokoju, próbował otworzyć okno, bez rezultatu, tak jak poprzednio. Chciał wyrzucić na korytarz i zawołać Mag, by mu pomogła, ale drzwi nie ustąpiły. I wtedy po raz pierwszy pomyślał, że stąd już nie wyjdzie. Mógł zawołać Mag czy Egberga, ale pomyślał o gabinecie i pulpicie, na którym zapali się czerwone światełko. Zrezygnował.

Zbudziło go pukanie. Delikatne pukanie do drzwi jak w zwyczajnym domu. Za oknem świeciło słońce i zaczynał się codzienny upał trwający tutaj aż do późnego popołudnia.

— Tak, proszę — powiedział i podciągnął prześcieradło z kocem, którym był nakryty, pod samą szyję.

Weszła Mag i przyniosła tacę ze śniadaniem. Poczł zapach kawy.

— Dziękuję. Dlaczego jednak pani, a nie tamten...

— Ja opiekuję się panem. Myślałam, że robię to dobrze.

— Wyśmienicie. Poproszę jeszcze panią o otworzenie okna.

— Teraz jest upał i pył w powietrzu. Może wieczorem...

— Wieczorem już próbowałem.

— Ach, to pewnie jest pokój izolowany.

— Izolowany?

Nie odpowiedziała.

Jest speszona — pomyślał Molnar — obawia się, że powiedziała już za dużo.

— Pani nie chce mi odpowiedzieć, Mag.

— Proszę zapytać doktora Egberga. To przecież pana przyjaciel...

— Tak, oczywiście. Zapytam.

Widział ją po raz pierwszy w pełnym dziennym świetle. Wtedy przy bramie był zbyt zmęczony, by się jej przyjrzeć. Naprawdę ładna dziewczyna. — Z tych, które nie zwracają na siebie uwagi, są zawsze w drugim szeregu pomyślał i poczuł nieokreślony żal, który odczuwał niekiedy w ostatnich latach, gdy widział dziewczynę taką jak ta.

— Przyjdę do pana po śniadaniu. Doktor Egberg chciałby się z panem zobaczyć.

Skinął głową, już pochylony nad tacą. Czekał, aż wyszła, a potem podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Drzwi poddały się po tej drobnej chwili, która potrzebna jest elektromechanicznemu sterowaniu do podjęcia decyzji. Potem wrócił do śniadania. Był głodny i chciał mieć coś w żołądku przed kilometrami drogi, które go czekały. Ogolił się jeszcze, zebrał swoje rzeczy i wsunął do torby. Był zdecydowany. Wyszedł na korytarz, a potem schodami w dół. Tak jak przypuszczał, nie spotkał nikogo. Alejka wiodąca do bramy była teraz w pełnym cieniu, bo słońce zasłaniał dom. Szedł miarowym krokiem, który odliczał w myśli, Nie za wolno i nie za szybko. Gdy dochodził do bramy, naprzeciw wyszedł mu odźwierny. — Ten sam co wczoraj — pomyślał Molnar. Chciał go wyminąć, ale tamten schwycił go za rękę.

— Dokąd? Nie wolno.

Nie odpowiedział, tylko wolną ręką z całej siły uderzył tamtego w żołądek. Już w momencie uderzenia wiedział, że to, w co trafia, nie jest ciałem. Odźwierny prawie się nie poruszył. Nie zmienił nawet wyrazu twarzy. Molnar poczuł tylko, że palce odźwiernego jak metalowe szczypce rozgniatają mu ramię. Upuścił torbę. Tamten pchnął go lekko w pierś i puścił. Molnar zatoczył się.

— Nie wolno — powtórzył odźwierny.

Przejdę. Muszę przejść — pomyślał Molnar. Chciał zrobić krok w kierunku odźwiernego i nie mógł. Przyszedł ból taki, że nic poza nim nie było. Nie chciał upaść. Zacisnął zęby. „To przejdzie, zaraz przejdzie”. Potem widział już tylko wierzchołki sosen. Uderzenia upadku nie poczuł nawet. Wierzchołki sosen były rozmazane i coraz bardziej zlewały się z tłem nieba.

Gdy otworzył oczy, Egberg pochylał się nad nim. Ból, który znał i którego nadejście bezbłędnie rozpoznawał, znikł. Piekła go tylko skóra, gdzieś z wierzchu na klatce piersiowej. Spojrzał tam, ale był przykryty po szyję i zbyt słaby, by się poruszyć.

— Już wszystko dobrze - powiedział Egberg. — Miał pan szczęście, profesorze.

— Szczęście?...

— Gdyby nie to, że jest pan tu, w instytucie, już by pan nie żył. I tak ledwo zdążyłem.

— To był już koniec.

— Tak.

— A teraz?

— Ma pan sztuczne serce:

— Więc jednak?

— Ratowałem pana życie.

— Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

— Ja też.

Mówienie męczyło go. Leżał nieruchomo i patrzył w sufit. Egberg milczał także. Molnar czekał, aż odejdzie.

— To trwało cztery, może pięć minut, zanim przywróciłem panu krążenie — powiedział jeszcze.

Jeszcze parę minut i byłbym odkorkowany — pomyślał Molnar. — Wrak człowieka, którego komórki mózgu uległy rozpadowi funkcji.

Egberg zawahał się.

— Był pan lekkomyślny, profesorze, z pana sercem..

— Chciałem wyjść. Odejść stąd — powiedział cicho Molnar.

— Mógł mnie pan uprzedzić.

— I zostać w zamkniętym pokoju... izolowanym, jak pan to nazywa.

— Blokada przypadkowo włączyła się na noc.

A więc Mag powiedziała mu — pomyślał Molnar.

— Nie wierzę w takie przypadki, Egberg.

— Nie potrafię pana przekonać. Ale jak pan widzi — obawy były chyba nieuzasadnione...

— Nie wiem.

— Żyje pan przecież!

— To fakt...

Egberg zawahał się, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie powiedział już nic i wyszedł. Molnar przymknął oczy. — Teraz potrwa to kilka dni, zanim będę mógł stąd wyjść — pomyślał. — Nawet przy obecnych metodach szybkiego tworzenia blizn to musi trochę potrwać. I jednak uratował mnie. W tych warunkach nikt, nawet ja sam nie mógłbym mieć do niego pretensji, gdybym tu umarł. Widocznie jednak chciał mi dać to sztuczne serce. Pomyślał jeszcze o blokadzie drzwi i nie był już tego tak pewien. Potem zasnął.

Obudził się w nocy i czuł pragnienie. W pokoju było ciemno, paliła się tylko mała nocna lampka na stoliku przy łóżku. W jej świetle zobaczył Mag. Siedziała na fotelu, tym samym, niezbyt wygodnym, w którym jeszcze wczoraj sam siedział. Drzemała.

— Mag, panno Mag... — powiedział to cicho, a jednak się obudziła.

— Jak się pan czuje? — zapytała również szeptem.

— Świetnie — starał się do niej uśmiechnąć. — Napiłbym się wody.

— Proszę — podała mu kubek. Płyn miał smak soku pomarańczowego z dodatkiem czegoś, czego smak trudno było mu określić.

— Boli? — zapytała.

— Już nie.

— Goi się dobrze. Wczoraj doktor Egberg oglądał pana.

— Nie zbudziłem się nawet?

— Jest pan pod działaniem preparatu Brotkasa. To daje świetne wyniki — dodała.

— Jest pani, jak widzę, również wykwalifikowaną pielęgniarką.

— Sekretarką, asystentem i wszystkim. Ciekawa jestem, jaka będzie pana rola.

— Rola?

— No tak. Jest pan przecież nowym obiektem na farmie Egberga. My tak nazywamy między sobą jego instytut.

— Nie rozumiem.

— Nie mówił z panem?

Odruchowo chciał zaprzeczyć, ale pomyślał, że wtedy niczego więcej się od niej nie dowie.

— Wspominał tylko — powiedział.

— Pewnie dostanie pan coś ciekawszego ode mnie. Jest pan profesorem. Był pan kiedyś kolegą Egberga...

— Nawet jego szefem.

— Właśnie. Pewnie dostanie pan pracownię, intelektualną. Od miesiąca jest bez kierownika.

— A poprzedni... wyjechał?

— Wyjechał... — Mag powtórzyła to z dziwną intonacją, której nie potrafił określić. — Nie, on po prostu umarł.

— A co mu się stało?

— Znaleźliśmy go w bunkrze. Tam wewnątrz jest zanik pola energetycznego. Wie pan, ściany na dwa metry grube, z żelbetu. Ekranują i energia nie dociera.

— Jaka energia?

— Napędzająca serce. On miał to samo co pan.

— Nie rozumiem — Molnar powiedział to, mimo że już zaczynał rozumieć. Przymknął oczy i poczuł dziwny skurcz w żołądku, jak wtedy, gdy w ładowni wielkiego statku kołysa-nego falą runęły z góry skrzynie roztrzaskując się koło niego.

— Będzie pan spał? — zapytała Mag po chwili milczenia.

— Nie. Wyspałem się już za wszystkie czasy — słuchał swego głosu i dziwił się, że jest tak zwyczajny. — I ta energia tutaj dociera? — zapytał.

— Oczywiście. Cały instytut i najbliższa okolica gdzieś w promieniu pół kilometra objęte są tym polem.

— A dalej?

— Co dalej?

— Jeśli chcę wyjść poza instytut, nad morze, czy pojechać do miasta — pytał, mimo że znał odpowiedź, ale chciał ją usłyszeć od tej dziewczyny, która mówiła o tym wszystkim tak zwyczajnie.

— Nie może pan. To śmierć. Przecież wie pan o tym. Podpisał pan zobowiązanie, to z notariuszem i całym zabawnym ceremoniałem.

— Nic nie podpisywałem.

Mag chwilę milczała, a potem powiedziała cicho:

— Nie zdążył pan. Ale pan podpisze. To przecież zwykła formalność.

Chciał powiedzieć, że nie podpisze, ale przypomniał sobie historię z blokadą drzwi i nic nie powiedział.

— Po to tu przecież wszyscy przyjeżdżamy dodała Mag jakby z żalem. — Ja, zanim tu przyjechałam, byłam sekretarką w firmie eksportowej w Buenos Aires. Sekretarką drugiego dyrektora — dodała jakby z dumą. — Pracowałam na dwunastym piętrze w centrali firmy. Trotam and Co. Zna pan tę firmę?

— Nie. Nigdy nie byłem w Buenos Aires.

— To były czasy. W sobotę jeździliśmy nad morze... Wie pan, tutaj najbardziej brakuje mi pływania i morza. Czasem wieczorem, gdy wieje wiatr, czuję je. Stąd do brzegu nie jest daleko.

— Wiem.

— Pan jeszcze tego nie odczuwa. To dopiero zaczyna się po kilku miesiącach, czasem po pół roku...

— Co?

— Trudno to określić. Chyba niepokój. Chce pan wyjechać, koniecznie wyjechać...

— Tęsknota?

— Nie, za domem, za najbliższymi, za ludźmi w ogóle tęskni się od początku. Ale tam-to jest inne, trudniejsze do określenia, jakieś bardziej pierwotne. Niepotrzebnie to chyba panu mówię.

— Dlaczego. Chcę wiedzieć o tym wcześniej.

— Ja nie wiedziałam. Nie wyobrażałam sobie, że to będzie właśnie tak. Czasem myślę, że chyba nie przyjechałabym tutaj, gdybym wiedziała.

— A wtedy?...

— Pewnie bym nie żyła. W najlepszym wypadku w wózku na kółkach. Wtedy okropnie się tego bałam, chyba więcej niż śmierci. Wyobraża pan sobie? Patrzeć na to wszystko, na przechodniów, inne dziewczyny, ludzi jadących do pracy i wiedzieć, że jest się poza tym.. na zawsze. Pozostanie tutaj to było jedyne wyjście. Chodzę, pracuję, czasem nawet pływam w naszym basenie. Z tym gorzej, bo nogi mam trochę sztywne, szczególnie stopy.

— Innego wyjścia nie było?

— Nie. Byłam u najwybitniejszych specjalistów. Nawet na drugiej półkuli, w Europie. Mój chłopak mnie wysłał. Odkładał na domek. Miałam wspaniałego chłopaka. Chciał się że-nić, ale Egberg przyjmuje tylko samotnych. Zresztą nie wiem, czy i tak bym za niego wyszła. To nie miało sensu.

— A jak pani tu trafiła?

— Jeden z lekarzy, u którego byłam, gdy ośrodek oddechowy był już zagrożony, powiedział mi o tym. Mówił, że lecznica Egberga to jedyny ośrodek, który mógłby się podjąć zabiegu. Zastrzegł się przy tym, że nic mi nie radzi, po prostu informuje.

— A Egberg zażądał pieniędzy?

— Nie. Ta sprawa była zbyt nietypowa. Powiedział, że może się tego podjąć tylko eksperymentalnie. Wyniku nie gwarantował. Trzeba mu przyznać, że nie robił mi wielkich nadziei.

— I zgodziła się pani?

— A cóż miałam robić. Przeszłam przez te wszystkie formalności, podpisałam wszystkie upoważnienia i oświadczenia i... jestem. Żyję, jak pan widzi.

— A tamten?

— Kto?

— Ten w bunkrze.

— Ach, Bertold. On także wszystko podpisał. Nie miał po prostu pieniędzy. U niego było tylko serce.

— Kto to był?

— Elektronik. Starszy już człowiek. Kiedyś mówił mi, że pamięta jeszcze czasy, gdy obwody elektroniczne składało się z oddzielnych tranzystorów.

— I długo żył?

— Kilka lat. Był już, gdy tu przyszłam. Nawet go lubiłam. Taki spokojny, małomówny człowiek,

którego prawie nie ma. Siedział w swojej pracowni i nawet nie zawsze widywałam go na obiadach. Wtedy też nie przyszedł, a potem Josph znalazł go w bunkrze. Bertold wiedział, że wejście do środka to dla niego śmierć.

— Tak samo jak odejście zbyt daleko od instytutu? — Molnar zadał to pytanie specjalnie, mimo że odpowiedź już przewidywał.

— Niezupełnie, w bunkrze pole urywa się nagle. Jest tam dobre ekranowanie... i efekt taki, jakby serce nagle stanęło. Tak mówił Egberg, gdy kiedyś nas o tym uprzedzał. A odejście poza zasięg pola, to powolna agonía. Natężenie zmniejsza się nieznacznie z każdym metrem.

— I on wpadł do bunkra?

— Widocznie zsunął się po pochylni. Tam jest taka pochylnia — dodała. — Zasłabł, zanim zdążył wyjść, tak twierdzi Egberg.

— A pani?

— Co ja?

— Co pani o tym sądzi? — zobaczył, jak odruchowo spojrziała w ekran.

— Ja? Cóż, zasłabł. To był stary człowiek. Chyba tak — dodała ciszej. — Chce się pan napić? — zapytała.

— Nie, dziękuję — przymknął oczy. Myślał o starym człowieku, który umarł w bunkrze, bo jego sztuczne serce, nie otrzymało energii z pola wytwarzanego w instytucie. Sztuczne serce stanęło, tak jak prawdziwe. Przypomniwał sobie, wtedy przed bramą, upadek, którego już nie czuł, i wierzchołki sosen, tracące kontrast, rozplywające się na tle nieba. Potem zasnął.

\*

Po kilku dniach już chodził po pokoju od łóżka do fotela. Egberg przychodził dwa razy dziennie razem z Dornem, swoim milczącym asystentem, którego Molnar widział wtedy po kolacji na ekranie. Zachowywał się jak lekarz, zwykły lekarz, i mówili o temperaturze ciała Molnara, jego ciśnieniu i oddechu. Zastanawiał się chwilami, kiedy Egberg mu wreszcie powie, że jest nowym nabytkiem jego farmy, ale tamten oglądał szwy i odchodził. Molnar zaś czekał. Był jeszcze słaby, zbyt słaby.

Niekiedy przychodził sam Dorn, ale Mag nigdy. Molnar nie pytał o nią. Przemyślał wszelkie możliwości i nie pytał. Jeśli jej nieobecność była wynikiem decyzji Egberga, który słyszał ich rozmowę i uznał, że powiedziała zbyt wiele, pytanie o nią nie miało sensu. Jeśli zaś jej nieobecność była przypadkiem, w przyszłości mogła stanowić źródło informacji, jakich nigdy nie uzyska od Egberga czy Dorna, bo Dorn nie mówił prawie wcale. Raz tylko, gdy czerwonym ołówkiem naniósł nowe dane na kartę choroby Molnara, odezwał się doń zupełnie niespodziewanie.

— Uczyłem się kiedyś z pana podręcznika, profesorze.

— Naprawdę?

— Z tego nowego wydania. Ukazało się, gdy byłem jeszcze studentem.

Molnar pamiętał to wydanie. Wydawca odszukał go po kilku miesiącach poszukiwań. Pamiętał tego przedstawiciela firmy wydawniczej w ciemnym ubraniu, z czarną teczką, z której wyjął przygotowaną umowę, siedzącego przy małym stoliku przykrytym przepalonym gdzieniegdzie obrusem z tworzywa sztucznego. Pot ściekał mu strużkami po twarzy. Wycierał twarz raz po raz wielką białą chustką i do końca nie był pewny, czy siedzi naprzeciw właściwego człowieka, profesora neuroniki, którego podręcznik chce wydać jego firma. Później Molnar otrzymał czek, który w jego warunkach był już bogactwem, i kupił łódź z silnikiem. Łowił potem ryby z własnej łodzi i mężczyźni, z którymi pracował, zazdrościli mu.



— Pamiętam tę książkę — powiedział Molnar. — Gdy ją wydawali, uważałem, że mogliby znaleźć coś lepszego, a na pewno nowszego.

— To był dobry podręcznik — powiedział Dorn. — Dzisiaj jest już inaczej, ale wtedy to było zupełnie dobre. Pan też tak uważa?

— Nie wiem, nie potrafię tego ocenić. Nie potrafiłbym już napisać nawet takiego podręcznika. A co dopiero zrobić coś naprawdę.

— Myślę, że tego się nie zapomina, tak jak pływania czy jazdy na rowerze. Oczywiście nie zapominają ci, którzy robią to, bo jest to jedyna rzecz, którą w życiu chcieliby robić.

— Też tak kiedyś myślałem, a od lat robię co innego — powiedział Molnar. — Zresztą oprócz chęci potrzebna jest praktyka, którą się ma tylko wtedy, gdy pracuje się dzień po dniu przez miesiące i lata.

— Nie chciałem pana urazić, profesorze — powiedział Dorn. — Zresztą pan by to potrafił również teraz.

— Już nie. Jestem za stary. A pan jest zbyt młody, by to zrozumieć.

— Mimo wszystko myślę, że mam rację.

— A może po prostu pan nie ma wyboru.

— Nie rozumiem?

— Cóż pan może innego robić będąc obiektem na farmie Egberga.

— Ja... ja nie jestem obiektem. Pracuję tu tylko.

— Ale mieszka pan tutaj i zawsze pan jest.

— Uważam, profesorze, że każdy młody lekarz, który chce coś potem przez całe życie umieć, powinien kilka lat pracować tak jak ja, być zawsze na miejscu, wszystko robić.

— Pan jest lekarzem?! Niech pan nie kpi, młody człowieku. Jest pan eksperymentatorem, najgorszym rodzajem eksperymentatora, jaki istniał kiedykolwiek. Eksperymentuje pan na własnym gatunku, na ludziach, którzy mogliby być pana przyjaciółmi, rodzicami, dziećmi. Przeszczepy mózgow, zmiany osobowości. Człowiek z dnia na dzień przestaje być sobą, drapie się za uchem albo ma pragnienie wtedy, gdy przycisnie pan klawisz. Odwraca się ze wstrętem od kochanej osoby lub zdolny jest do podejrzenia jej gardła, gdy pan wykona odpowiedni ruch palcem.

— Pan przesadza, profesorze!

— Nie, ja mówię tylko prawdę, i to całą prawdę. Wszystko, co myślę o tych eksperymentach i ludziach takich jak pan. Nie fałszuję tej prawdy, jak wy to robicie.

Dorn nie odpowiedział. Włożył do kieszeni swego białego fartucha ołówek, który obracał w palcach, i wyszedł.

Będzie się teraz zastanawiał nad tym wszystkim, co mu, powiedziałem — pomyślał Molnar — oczywiście jeśli tacy ludzie jak on w ogóle zastanawiają się nad tym, co robią.

Późnym popołudniem wychodził do ogrodu i póki było jeszcze gorąco, spacerował wąskimi alejkami wśród gęstych krzewów, które posadzono tu wtedy, gdy zbudowano instytut. Gdy upał mijał, kładł się na trawie albo na kamiennym obmurowaniu basenu i patrzył w nie-bo. Godziny mijały i gdy nadchodził zmrok, wracał do swego pokoju, dokąd Josph przynosił mu kolację. Miał dużo czasu. Niekiedy Josph wyjeżdżał niewielką, krytą brezentem półcieża-rówką i wtedy kolację przynosiła mu Mag. Stawiała tacę na stoliku, czasem pytała, jak się czuje, ale już w drzwiach, wtedy gdy wychodziła. Nie patrzyła w ekran ani w wylupiate soczewki przekaźników wizyjnych, ale i tak Molnar wiedział, że one patrzą na nich oczyma Egberga, a może Dorna. Jedynie Josph zdawał się ich nie dostrzegać, ale on nie był obiektem, tylko człowiekiem, dla którego świat nie kończył się na

ogrodzeniu instytutu. Był sprawny, silny i palił te same papierosy, które kiedyś palił Molnar. Ich dym zostawał w pokoju, gdy Josph wychodził, i Molnar czuł ich zapach jeszcze w nocy, kiedy zasypiał. Kiedyś wziął jednego z paczki, którą Josph położył na tacy. Szukał zapalek, ale ich nie miał. Josph zapalił swą wielką benzynową zapalniczkę i po chwili Molnar czuł w ustach smak dymu.

— Doktor nie pozwala, co? — zagadnął Josph.

— Sam przestałem palić.

— Mnie na to nie stać. Kiedyś próbowałem. A te są niezłe. Kupuję w miasteczku hurtem, z przemytu.

— Do tego trzeba jeszcze jeździć tam.

— Nie ma pan co żałować. Podła dziura.

— Może pan jeździć dalej. Samochodem nigdzie nie jest daleko.

— Nie mogę, doktor nie zezwala. Wszyscy tu musimy być ciągle na miejscu.

— A on sam jeździ?

— Kiedyś jeździł do rodziny, niedaleko stąd, pięćdziesiąt kilometrów. Teraz i on nie jeździ.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Mówią, że rozwiódł się z żoną.

— A naprawdę?

— On mi się nie zwierza — Josph wziął tacę.

— A panu jeszcze się nie znudziło?

— Może trochę. Ale praca dobra. Gdzieś trzeba pracować.

— Ma pan tu sporo pracy.

— Wszystko robię. Sam pan widzi.

— Ma pan wszechstronne kwalifikacje. Instytut to prawie fabryka, przynajmniej pod względem pobieranej mocy.

— Bez przesady. Raczej zdalne sterowanie i przesyłanie informacji. Moce nie są tu takie duże.

Poza tym do aparatury specjalnej przyjeżdżają z zewnątrz.

— Chciałbym kiedyś zobaczyć tę waszą aparaturę.

— Niestety, to niemożliwe. W tych sprawach mamy ściśle instrukcje. Jakaś awaria i większość eksperymentów trzeba by powtarzać. Nie mówiąc już o materiale biologicznym, który tutaj jest dość kosztowny. Oczywiście mamy zabezpieczenia.

— Własne zasilanie awaryjne?

— Tak.

— Jasne. Przy niezbyt wielkich mocach to najprostsze wyjście.

Josph popatrzył na Molnara uważnie.

— Mówiono mi, że pan jest neuronikiem.

— Różne rzeczy mówią, ale moja specjalność jest dużo bardziej zbliżona do pana specjalności, niż się to panu wydaje — powiedział nie zastanawiając się nad tym, co mówi. Myślał już o czym innym: o niewielkiej mocy pobieranej przez instytut, i zrozumiał, że jeden z nich, Egberg lub Josph, nie mówi prawdy. — Wyjaśnię to — pomyślał i wiedział już, jak to robi. Nie zauważył nawet, kiedy Josph wyszedł.

Mag spotkał następnego dnia w ogrodzie. Zobaczył, jak szła alejką ku domowi.

— Mag... Ma pani chwilę czasu?! — zawołał.

Zatrzymała się niezdecydowana.

— Jedną chwilę... — podszedł do niej.

— Powinnam być w sekretariacie — powiedziała niepewnie.

— A może jest pani niezręcznie rozmawiać ze mną tutaj?

— Nie, dlaczego?

— Wydawało mi się, że rzadko się teraz spotykamy.

— Mam tu dużo zajęć.

— Nie zabiorę pani dużo czasu. Chcę wiedzieć jedno. Czy odczuwała pani, pani osobiście, skutki zaniku pola?

— Ja nie, ale Bertold...

— Nie mówmy teraz o Bertoldzie. Czy pani sama nic nigdy nie czuła? Zawrotów głowy w częściowo ekranowanych pomieszczeniach, czegoś takiego?

— Nie. Dlaczego pan pyta?

Molnar chwilę nie odpowiadał.

— Powiem pani — zdecydował się wreszcie. — Podejrzewam, że tego pola w ogóle nie ma.

— Jak to?

— Po prostu nie ma. A właściwie istnieje ono tylko w wyobraźni pani i jeszcze kilku obiektów farmy, jak wy to mówicie. Jest to doskonały w swej prostocie pomysł Egberga.

— Nie bardzo rozumiem...

— To proste! Czy pani, mimo wszystkich swych zobowiązań podpisanych wtedy, przed operacją, zostałaaby tutaj na stałe, gdyby nie pole?

— Nie, oczywiście nie. Ach... rozumiem! Uważa pan, że on mógłby to zrobić? Zasugerować nam istnienie pola, którego nie ma?

— Mógłby na pewno. Pani nie docenia swego szefa. Ja znam go dłużej.

— I jest pan pewny, że tak właśnie postąpił?

— Nie... Szczerze mówiąc nie. I dlatego chciałbym zaproponować pani eksperyment, eksperyment z udziałem pani.

— A cóż ja mogę panu pomóc?

— Wejdzie pani do bunkra, Mag, na krótko: na dwie, trzy minuty. Jeśli się pani nic nie stanie, będzie pani wolna.

Patrzyła na niego uważnie. Pomyślał, że jest dużo bardziej opanowana, niż początkowo przypuszczał.

— Myślę, że wejście tam to śmierć. A ja nie chcę umierać.

— Chce pani zostać tu do końca życia? Kilka dni temu...

— Wtedy miałam zły dzień. To mi się czasem zdarza. Ale chcę żyć, nawet tu, jeśli nie mogę inaczej.

— Słuchaj, Mag. O śmierci nie ma mowy. Będę cię asekurował z zewnątrz. Wyciągnę cię stamtąd po prostu, gdybyś straciła przytomność. W sekundę się nie umiera. Przewiążę cię liną i wyciągnę.

— Inaczej tego sprawdzić nie można?

— Nie można. Więc jak?

Nie odpowiedziała. Stali na środku alejki i Molnar wiedział, że prędzej czy później nadejdzie ktoś, kto przerwie tę rozmowę, którą musiał dokończyć.

— To także dla ciebie szansa. Nikt poza mną nie odważy się spróbować. Wy wszyscy tutaj boicie się Egberga. Nie zaprzeczaj. To widać. A do tego eksperymentu jedna osoba nie wystarcza. Pomyśl o Bertoldzie. Gdyby ktoś go wtedy wyciągnął stamtąd, żyłby do dzisiaj. Ale on próbował sam.

— On próbował?

— Tak sędzę. Musiał zauważyć to samo co ja.

— Boję się, profesorze — ale spróbuję. Jeśli się nie uda, będziesz miał mnie na sumie-niu.

Myślał, że się uśmiechnie, ale ona patrzyła na niego uważnie, tak samo jak poprzednio.

— Kiedy chcesz próbować, profesorze? — zapytała jeszcze.

— Zaraz. Możesz? Linę przygotowałem.

— Dobrze. Tylko zmienię sukienkę.

— Po co?

— Gdyby się nie udało. Ta nie jest najlepsza...

— Ależ Mag, bądź rozsądna. Chodźmy!

Teraz uśmiechnęła się do niego.

— Zgoda. Nie obawiaj się, profesorze. Ja się nie wykręcę. Wejdę tam, to już postanowione.

Do instytutu wrócili osobno i spotkali się przy schodach prowadzących do podziemi. Było tu chłodno i Molnar czuł stęchły zapach wilgotnej piwnicy. Schody były szerokie, a obok nich prowadziła w dół betonowa pochylnia. Pochylnia ta kończyła się u wejścia do bunkra półkolistym otworem, w który wjeżdżały wózki z preparatami do naświetlań. Był tam poprzednio, i obok, w stercie opakowań, ukrył linę. Była związana solidnym marynarskim węzłem z dwu krótszych, które służyły do zasuwania zasłon w jego pokoju. Zdjął je o świcie, kiedy było jeszcze szaro, i przypuszczał, że ci, którzy mogliby go obserwować, śpią. Mag nie sprawdziła nawet węzła. Przewiązał ją w pasie silnie, tak że ledwo mogła oddychać, a potem szarpnął kilkakrotnie liną sprawdzając, czy wytrzyma jej ciężar. Chciał ją podnieść w górę na linie, tak jak poprzednio planował, ale był zbyt słaby.

— Gotowe — powiedział.

Nie zawahała się. Weszła do bunkra głęboko, aż lina się naprężyła. Teraz czekał kilkanaście sekund.

— Co czujesz? — zapytał.

— Chyba nic. Jest mi tylko gorąco.

— To z wrażenia...

Patrzył na zegarek. Minęła minuta.

— A teraz?

— Nic. Naprawdę nic.

Gdy po pięciu minutach wyszła z bunkra, wiedział, że miał rację.

— Wygraliśmy, Mag — powiedział odwiązując linę. W półmroku widział zarys jej twarzy.

— Więc jestem wolna?... — mówiła powoli, z trudnością.

— Tak.

— To... wspaniale, profesorze. — Odwróciła się gwałtownie i pobiegła pochylnią w górę, ku jasnemu prostokątowi wyjścia. Molnar zwinął linę, ukrył ją wśród opakowań i poszedł za Mag schodami. W połowie pochylni spostrzegł sandał.

Więc pola nie było. Mógł teraz po prostu przejść na drugą stronę ogrodzenia i zejść w dół do miasteczka. Jakiś statek zabrałby go na pewno i za pięć, sześć dni byłby już u siebie, jeśli jego pokój nie został w tym czasie wynajęty. Ale Bertold zmarł i to go niepokoiło. Nie był już młody i nigdy nie działał pośpiesznie. Postanowił powtórzyć eksperyment. Wejdę do środka, a Mag będzie mnie asekurować — myślał. — Tylko czy jest ona dostatecznie silna, by mnie stamtąd wydobyć, jeśli stracę przytomność. Uznał, że zastanowi się nad tym dokładniej po kolacji. Ale po kolacji przyszedł Egberg.

— Myślę, profesorze, że powinniśmy porozmawiać — powiedział i usiadł w fotelu usuwając stamtąd jakieś rzeczy Molnara.

— Od dawna na to czekam.

— Wcześniej nie mogłem, bo nie znałem jeszcze wyników analiz i testów. Teraz mam już pełny obraz stanu pana organizmu.

— Pełny?

— Tak. Sprawdziliśmy to nadzwyczaj dokładnie. Okazało się, że moja decyzja była słuszna. Stan pana organizmu nie uzasadnia wszczepienia autonomicznego układu serca.

— Jak mam to rozumieć?

— W tej chwili pana serce napędzane jest energią z zewnątrz, wytwarzaną w generatorze pola siłowego, tu w instytucie. Dlatego nie może pan opuścić instytutu.

— I nie ma pan zamiaru wszczepić mi autonomicznego serca?

— Nie.

— Lubię jasne odpowiedzi. Ale to jest bezprawie. Nie zgadzałem się na taki zabieg.

— Ratowałem panu życie. Wybrałem ten układ sztucznego serca, który miałem. Wie pan równie dobrze jak ja, że z tego powodu żaden sędzia nie skaże mnie nawet na grzywnę.

— Ale mam prawo wymienić to serce.

— Oczywiście. Jeśli zakupi pan układ autonomiczny oraz niezbędne usługi związane z jego wszczepieniem.

— To nierealne. Wie pan o tym, Egberg.

— Wiem.

— Więc jak długo chce mnie pan tu trzymać w instytucie?

— Odłączyć panu serca nie mogę, bo to zagrażałoby pana życiu, profesorze, i jest karalne. Mógłbym oczywiście przekazać pana do instytutów państwowych, ale to ze względu na naszą długotrwałą znajomość nie wchodzi w rachubę.

— Więc do śmierci?

— Mówmy otwarcie, nie ma pan długich perspektyw, profesorze.

— Po co ta szczerść? Zdaję sobie z tego sprawę.

— Nie mówię tego bez powodu. Pozostała część układu krążenia i nerki w złym stanie. Poza tym podejrzewam nowotwór wątroby. W sumie dwa, trzy lata.

— Na więcej nie liczyłem.

Molnar wstał i chciał zapalić światło. W pokoju był już mrok i nie widział twarzy Egberga, a wiedział, że rozmowa jeszcze nie skończona.

— Niech pan usiądzie, profesorze. Jeszcze chwila. Nie zabiorę panu dużo czasu.

Molnar zawahał się i usiadł na poprzednim miejscu.

— Chcę panu coś zaproponować, profesorze — Egberg mówił cicho. — Przeszczep pana mózgu do młodszego i zdrowego ciała, absolutnie zdrowego. Zabieg eksperymentalny. O ile wiem, na świecie dokonano tylko kilku... tego rodzaju przeszczepów. Oczywiście wynik trudno gwarantować...

— Doktorze Egberg — Molnar przerwał mu — pan kpi sobie ze mnie. Wie pan nie od dziś, co o tym myślę...

— Teoretycznie, ale tu chodzi o pana życie!

— A cóż pan sobie wyobraża, że z powodu kilku czy nawet kilkunastu lat życia zgodzę się na to? To, co pan proponuje, to jest zwykła, pospolita zbrodnia.

— Nic podobnego! Jeden człowiek umiera, bo w jego ciele funkcjonuje wszystko, tylko mózg ginie. A drugi ma zniszczone ciało i sprawny mózg. Z tych ludzi, dwu martwych prawie ludzi, tworzę

jednego — zdrowego. Tworzę człowieka! Człowieka, którego nie było.

— Pan jest pozbawiony wyobraźni, doktorze. To także kalectwo... A jeśli ten mózg, wszczepiony do nowego ciała, nie zechce wraz z tym ciałem umrzeć i będzie szukał nowego, następnego nosiciela, a potem jeszcze następnego? Mieć zawsze dwadzieścia kilka lat, aż do śmierci mózgu, nigdy pan o tym nie marzył. Zmieniając pięciu, sześciu nosicieli, można to osiągnąć. Nigdy fizycznej starości. Młodość, wieczna młodość w kolejnych ciałach.

— Pan przesadza, profesorze. Zostaną ustalone przepisy...

— Tak zawsze można powiedzieć, ale to nic nie zmienia. Pasożytowanie na własnym gatunku, temu naprawdę służą pana eksperymenty.

— Słyszałem to już kilkanaście lat temu.

— Jak pan widzi, nie zmieniłem zdania. A teraz proszę wyjść.

Potem długo nie mógł zasnąć. Myślał o człowieku, w którego ciało Egberg chciał wszczepić jego mózg. Był to zapewne mężczyzna, młody mężczyzna, i Egberg w zapisie aktywności elektrycznej jego mózgu dostrzegł te zmiany, które poprzedzają śmierć. Pewnie miał kolegów, rodzinę, czytywał kronikę sportową i kiedy chciał być sam, wypływał w morze daleko od brzegu.

Molnar przewrócił się na drugi bok, potem wstał, przeszedł do łazienki i odkręcił kran z zimną wodą. Wsadził pod nią głowę i czuł, jak zalewa mu nos i uszy.

Zasypiał już naprawdę, gdy zbudził go Egberg pytając z ekranu, kiedy ostatni raz widział Mag. I wtedy wiedział już, że samotnie wejdzie do bunkra.

Wszedł tam bez wahania następnego dnia, rankiem. Nie mógł dłużej czekać. Wiedział, że Egberg nie rezygnuje ze swych planów. Zrobił dwa kroki w głąb. Stał. Czuł, że szybciej oddycha. To strach — pomyślał. Ale potem poczuł zawrót głowy, ucisk i wiedział, że nie wyjdzie już z bunkra.

Zbudził się i leżał w ciemności. Zmuszał się do myślenia i czuł, że wymaga to wysiłku. Pamiętał wejście do bunkra i wiedział, że od tej chwili minęło wiele dni. Stan, w którym się znajdował, nie był więc anabiozą, bowiem jego mózg notował upływ czasu. Poza tym były jeszcze jakieś fragmenty obserwacji, ale nierealne, które rozplýwały się, gdy koncentrował się na nich. Oddychał normalnie, nie czuł bólu. Po chwili zdał sobie sprawę, że ktoś dotyka jego głowy, a do żył rąk wtlaczany jest jakiś płyn. Nagle zaczął widzieć — zdjęto mu opaskę z oczu. Zobaczył Dorna.

— Widzi mnie pan? — zapytał Dorn.

— Widzę — odpowiedział, ale mówił z wysiłkiem, sylabizując.

— Słyszysz mnie pan dobrze?

— Tak.

Dorn wyjął igły z jego żył.

— Proszę spróbować wstać.

Molnar wstał. Całe ciało miał sztywne i ruchy nie skoordynowane. Zrobił dwa kroki i zatoczył się.

— Jest pan osłabiony? — zapytał Dorn.

— Nie. Zesztywniałem.

— To brak koordynacji. Zdobędzie ją pan w ciągu kilku dni. Teraz przejdziemy do gabinetu.

Dorn otworzył drzwi i przeszli do gabinetu Egberga. Egberga tam nie było.

— Uratowaliście mnie? — zapytał Molnar.

— Tak.

— A Egberg?

— Zostawił panu list. Proszę, niech pan siądzie. — Dorn sięgnął do wewnętrznej kieszeni

marynarki i podał Molnarowi zapieczętowaną kopertę. — Jeśli czuje się pan dobrze, przejdę do sąsiedniego laboratorium. Gdybym był panu potrzebny - proszę zawołać.

Molnar rozerwał kopertę. List był pisany ręcznie.

*Szanowny Profesorze.*

*List ten jest kontynuacją naszej rozmowy, której wtedy nie dokończyliśmy. Otóż osobą, której ciało chciałem panu wtedy zaproponować, byłem ja sam. W tej chwili, jeśli pan list ten czyta, przeszczep udał się i jest pan mózgiem mojego ciała...*

— Dorn! — krzyknął Molnar.

Dorn uchylił drzwi.

— Lustro!

— Mam przygotowane. — Dorn podał mu niewielkie lusterko i wtedy Molnar zobaczył odbicie twarzy Egberga. Była jakaś inna. Po chwili Molnar zrozumiał, że oczy są jego własne. Odłożył lusterko.

*...W moim przekonaniu — czytał dalej — postąpiłem słusznie. Stan pana organizmu przedstawiłem podczas naszej rozmowy w sposób obiektywny. U mnie natomiast stwierdzono guz mózgu, powiększający się dość szybko, tak że musiałem się spieszyć z przeszczepem, jeśli sam miałem zaplanować i przygotować operację. Przyczyny mojej decyzji są dwójakie: po pierwsze osobiste, których nie zrozumie pan zapewne. W każdym razie, jeśli zaakceptuje pan ten przeszczep, czeka pana, przypuszczam, około dwudziestu lat życia, możliwość pracy naukowej w instytucie, który jest pana własnością. Wyrównuje to w moim przekonaniu pewne zobowiązania, które miałem względem pana. Moimi osobistymi sprawami pana nie obarczam. Z rodziną jestem rozwiedziony, rozłączony i materialnie jest ona zabezpieczona. Moja żona zna faktyczny stan rzeczy i z jej strony nie przewiduję żadnych kłopotów. Drugą przesłanką mojej decyzji jest fakt, że pana zawodowe przygotowanie umożliwi dalsze prowadzenie instytutu, a przede wszystkim dokonanie obserwacji subiektywnych odczuć przeszczepu. Sugerowałbym panu sporządzenie raportu o tej sprawie. Oczywiście decyzja należy do pana. Co do przebiegu operacji dokonał jej Dorn z asystą zewnętrzną. Moją zgodę znajdzie pan wśród innych dokumentów, a pan został potraktowany jako „ciało z wypadku”. Prawnie jest to w porządku, aczkolwiek ustawodawca nie przewidywał przeszczepień mózgu w tej konfiguracji. Ponadto uważam, że wszelkie inne zastrzeżenia, jakie mógłby pan mieć w stosunku do mojej decyzji, są o tyle nieuzasadnione, że w każdej chwili, w razie braku akceptacji z pana strony, może pan zlikwidować przeszczep i umrzeć. Ze spraw mniej istotnych pozostaje mi jeszcze jedno wyjaśnienie. Wejście do bunkra dowodzi, że nie wierzył pan w istnienie pola siłowego, generowanego w instytucie, dostarczającego energii pana sercu. Przypuszczenia pana są słuszne. Takiego pola nie ma. Serce pana zasilane było z baterii, zawierającej pierwiastki promieniotwórcze, wszczepionej wraz z sercem. Natomiast rytm pracy serca regulowany był zewnętrznie, przez impulsy przekazywane bezprzewodowo z generatora instytutu. Gdy wszedł pan do bunkra, synchronizacja znikła. Efekty tego odczuł pan osobiście. Muszę się przyznać: przypuszczałem, że wejdzie pan do bunkra, i czekaliśmy tam na pana. Właściwie od momentu wyjazdu Mag wszystko stało się dla mnie jasne. Liny znalezione przy bunkrze stanowiły tylko potwierdzenie moich przypuszczeń. Nie mógł pan jednak wiedzieć, że Mag, która miała przeszczepiony rdzeń przedłużony, jest całkowicie niezależna od naszej synchronizacji, pan natomiast nie. Cóż, działał pan w pewnym sensie na swoją niekorzyść i*

*odejście Mag jest dla pana stratą bardzo dobrej sekretarki. Ale tego pan nie mógł przewidzieć.*

*Jak już wspomniałem wcześniej, pozostawiam do pana decyzji sprawę ogłoszenia komunikatu dotyczącego przeszczepu. Innymi słowy może pan dalej żyć jako Egberg lub też pod własnym nazwiskiem. Wszystkie dokumenty, niezbędne w obu przypadkach, są przygotowane.*

*Egberg*

Odłożył list i siedział nieruchomo nie myśląc o niczym. Po kilku minutach do gabinetu zajrzał Dorn.

— Jak pana samopoczucie? — zapytał.

— Doskonale.

— Jestem dumny z tej operacji — powiedział Dorn. — Czy będziemy ogłaszać komunikat?

Molnar nie odpowiedział.

— Co z moim ciałem? — zapytał po chwili.

— Spalone i pogrzebane. Już trzy miesiące temu. Taki przeszczep to zabieg wielofazowy. Największe kłopoty...

— A jego mózg? — przerwał mu Molnar.

— Separowany.

— Żyje?

— Tak. Niech pan spojrzy.

Podszedł do pulpitu i wcisnął odpowiednie klawisze. W ekranie, w wielkim naczyniu, w bezbarwnej niemal cieczy pływał mózg. Widział połączone z nim oczy, z których jedno patrzyło na nich wprost z ekranu. W głośniku słyszał cichy szum pomp tłoczących odżywczy płyn, a potem zobaczył zapis przebiegów elektrycznych w mózgu Egberga. Był to zapis aktywności czuwającego mózgu. Ten mózg widział, myślał... i wiedział. Szklane ściany słoja, z którego nie ma wyjścia, to był jego cały świat.

— On tak zdecydował? — zapytał Dorna.

— Nie. Nic na ten temat nie mówił. Ale mózg był nam właśnie potrzebny do doświadczeń z zakresu sterowania ruchem raket towarowych do planet zewnętrznych. Opracowujemy tu taki temat.

— Ale jego mózg?

— Ten guz nie daje chwilowo większych efektów. Uwarunkujemy go?

— Więc nie godził się na to?

— Nie, ale fragmenty pooperacyjne zawsze wykorzystujemy.

— Dorn, jest pan zwykłym łajdakiem — powiedział Molnar. — Która to sala?

— Siódma.

— Proszę klucze. Klucze Egberga.

— Ma je Josph.

— Niech pan je przyniesie.

— Ale...

— Powiedziałem. Ja tu decyduję.

Po chwili Dorn wrócił z kluczami. Molnar wziął je.

— Pan tu zostanie — powiedział.

Przeszedł korytarzem i otworzył drzwi sali siódmej. Wszedł i spostrzegł, że oczy mózgu go nie widzą. Uważając, by nie wejść w pole widzenia oczu, podszedł do pompy włączającej do klosza płyn i odłączył ją. — To będzie najlepsze wyjście — pomyślał. — Umrze z niedo-tlenienia nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Przecież mózg nie ma układów kontrolujących zawartość tlenu. Po prostu zaśnie i nie obudzi się już. Gdybym usunął płyn z klosza, umarłby wcześniej, ale wiedziałby,



że umiera. Patrzył jeszcze przez chwilę na zapis aktywności mózgu w ekranie oscyloskopu, a potem wyszedł.

Zamknął drzwi i wtedy spostrzegł Dorna.

— Niech pan mi odda swoje klucze — powiedział.

— Nie... nie mam.

— Trudno. Zostawi je pan u portiera. Od dzisiaj nie pracuje pan już w instytucie.

— Dlaczego? Przecież ja...

Nie słuchał dalej. Schodami zszedł do podziemi. Zataczał się lekko i niekiedy wspierał się o ścianę. Brak koordynacji; jak to określił Dorn — pomyślał — ale muszę być teraz skoordynowany przynajmniej na kilka minut. Doszedł do drzwi komory zasilania. Zamek był skomplikowany, a palce miał niezbyt zręczne. W końcu wszedł jednak do środka. Światła zapaliły się automatycznie. Zobaczył grube miedziane przewody, bezpieczniki i tablice ze skrzyżowanymi piszczelami. To była instalacja główna. Poszukał awaryjnej. Najpierw wyłączył akumulatory i zerwał przewody tej instalacji.

— Co pan robi?

To był Dorn.

— Proszę stąd wyjść! — powiedział Molnar.

— Ależ tak nie można, wszystkie doświadczenia... wszystko stanie. Preparaty zginą...

Molnar sięgnął do głównych bezpieczników.

— Nie! — krzyknął Dorn i rzucił się na niego.

Odepchnął go z całej siły. Ręka Egberga była silna. Tamten uderzył głową w płytę rozdzielczą i upadł. Leżał nieruchomy na kamiennej posadzce. Teraz Molnar wyrwał bezpieczniki. Światło zgasło. Bezpečniki cisnął za skrzynię akumulatorów i wyszedł na schody. Gdzieś w górze buczała syrena alarmowa.

— Preparaty zginą — pomyślał. Potem myślał jeszcze o trzymiesięcznym czuwaniu mózgu Egberga, nieustannym czuwaniu, szklanych ścianach kłosa i oczach, które nie mają mięśni, by zmienić swoje położenie, o czekaniu ze świadomością, że nic poza czekaniem zdarzyć się nie może.

Doszedł do bramy.

— Pan wychodzi, doktorze? — zapytał odzwierny.

— Tak.

— Czy mam pójść z panem?

Molnar spojrzał na niego uważnie:

— Dlaczego: „pójść ze mną”?

— Pan mi uratował życie, doktorze. I wychodzi pan, gdy jest alarm i słyszę syrenę. Pan wychodzi na dłużej?

— Tak, ale zostań... Sancho.

— Nazywam się Tomb.

— Ja też naprawdę nazywam się Molnar.

Skinął mu głową, minął bramę i zaczął ścieżką schodzić w dół.

# WŁÓKNO CLAPERIUSA

— Czas już na mnie — powiedziała Anna.

Siedzieli przy niskim stoliku w pokoju Karola. Był półmrok, bo Karol nie zapalił górne-go światła i tylko mała lampka na bibliotece oświetlała książki i stół kreślarski zajmujący róg pokoju. Nie zaciągnął również zasłon i zanim Anna to powiedziała, patrzył na księżyc świecą-cy pełnią poprzez anteny telewizyjne na dachu sąsiedniego domu.

— Posiedź jeszcze — powiedział i pomyślał, że jest zbyt wcześnie, by zostać samemu w ten sobotni, majowy wieczór.

— Jutro też jest dzień — Anna wstała.

— Nawet niedziela. Powiedz lepiej, dokąd jedziemy?

— W niedzielę?

— W niedzielę. Dlaczego się dziwisz?

— Nie, nie dziwię się. Oczywiście, że pojedziemy. Gdzieś nad wodę. Tam gdzie nie ma ludzi — zebrała filiżanki po kawie i zniosła je do kuchni.

— Znasz jeszcze takie miejsce w dzisiejszych czasach, Anno?

— Nie narzekaj. To są piękne czasy. Na przykład wasze miasto. Ulice z szerokimi chodnikami, jezdnie pełne samochodów i te tramwaje. Suną tak wolno, jak... jak...

— „Wasze miasto” — to coś nowego. Znowu zaczynasz dziwaczyć, Anno. Czasami mówisz takie dziwne rzeczy.

— Wydaje ci się. Po prostu taka już jestem. Tramwaje... A konne tramwaje pamiętasz?

— Śmieszna jesteś. Skąd mogę pamiętać konne tramwaje. Ty ich przecież też nie pamiętasz. — Karol wstał, włączył górne światło i starannie zasunął zasłony.

— Oczywiście, że nie pamiętam, widziałam tylko na rysunkach... Miały takie śmieszne dzwonki ze sznurkiem.

Słyszał, jak myje filiżanki pod kranem.

— Nie wiem, jakie dzwonki miały konne tramwaje, i szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to obchodzi. — Był zły, bo wiedział, że za chwilę zostanie sam, teraz gdy w kinach kończyły się ostatnie seanse, a przed nadejściem godzin nocnej taryfy taksówkarze zajeżdżali na kawę do kawiarenki naprzeciwko.

— Nie gniewaj się, Karolu. Nie będę dziwaczyć. Koniec! Ale iść już muszę... — Anna wyjęła z torebki grzebień i przeczesała włosy.

— Znowu zostawiasz mnie samego na cały wieczór? — powiedział to zupełnie spokojnie, ale Anna spojrzała na niego uważnie.

— Tak czasem bywa — powiedziała. — No, do zobaczenia.

Nie odpowiedział. Nie patrzył na nią. Stała chwilę bez ruchu, a potem trzasnęły drzwi. Wysła!

Poderwał się z fotela, chwilę mocował się z zamkiem, który się znowu zaciął, kiedy otworzył drzwi, nie zobaczył już Anny.

— Anno — krzyknął — o której cię zobaczę jutro? Słyszysz?

Nasłuchiwał jeszcze chwilę, a potem pobiegł schodami w dół, przeskakując po dwa stopnie naraz, tak jak kiedyś się tego nauczył, gdy był jeszcze chłopcem. W bramie stał dozorca domu i palił krótką, małą fajeczkę.

— Nogi pan kiedyś połamię... — zauważył.

— W którą stronę poszła? Słyszysz pan?

— Kto? — dozorca przyjrzał mu się uważnie.

— Kobieta. Wychodziła przed chwilą.

— Nikt, panie Topolak, stąd nie wychodził. Stoję w bramie, już będzie dobre pięć minut.

— Ależ przed chwilą... Nie widział pan?

— Nie to, żebym miał nie widzieć. Tędy nikt nie wychodził.

Karol minął go i pobiegł w stronę przystanku tramwajowego. Na ulicy był tłok. Sobotnie pary wolno spacerowały. Karol przepychał się między nimi, tuż koło krawężnika, bo tam było luźniej. Nagle uderzył w kogoś. Usłyszał brzęk rozsypujących się drobiazgów. To była dziewczyna.

— Przepraszam bardzo. Zaraz pomogę pani to zebrać.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem schyliła się i bez pośpiechu zaczęła wkładać do torebki rozsypane drobiazgi.

— Jest mi naprawdę bardzo przykro — pomagał jej i starał się to robić jak najszybciej. Nagle tuż za sobą usłyszał samochód. Odwrócił się. Obok przy krawężniku zatrzymała się niewielka furgonetka. Dziewczyna podeszła do tylnych drzwi samochodu i otworzyła je. Wchodziła już do środka, gdy Karol spostrzegł, że trzyma w ręce jej chusteczkę.

— Halo, pani chusteczka! — zawołał i wskoczył za dziewczyną. Słyszał, że drzwi trzasnęły za nim, mimo iż nie zamykał ich.

— Wskoczyłem za panią, żeby to oddać.

Nie odpowiedziała. Stała nieruchomo. I wtedy Karol usłyszał buczenie, początkowo niskie, potem coraz wyższe, urywające się gdzieś w ultradźwiękach. To nie był silnik samochodu. Rozejrzał się wokół. Okien nie było. Zamiast nich zobaczył ekrany i jakieś nie znane mu urządzenie oświetlone nikłą, zieloną poświatą.

— Dziwny ten mikrobus. To telewizja?

Nagle obok siebie zobaczył mężczyznę.

— Nie odpowie ci. Przecież się wyłączył — powiedział tamten. — Te nowe automaty są nic niewarte. Stare wytrzymałyby przetrwały do tysiąca lat. Te wykańczają się już na pół-wiecznych odcinkach. A ten ma jeszcze jakąś awarię. Zaraz wezmę narzędzia. Pewnie znów przebicie na transkontaktorze. Uważam, że powinni je wycofać. Uszkodzenia i uszkodzenia. Całe szczęście, że nie doszło jeszcze do wypadku. — Przerwał na chwilę i zapalił mały, jasny reflektor, który skierował na plecy dziewczyny. — I teraz muszę wymienić mu ten transkontaktor. Nie mam zapasu, a w odległości dwudziestu lat muszę to znowu wysłać. A ty z UDV? Czy z ponadczasowych? — dalej nie patrzył na Karola.

— Z jakich czasowych i w ogóle co to wszystko znaczy?!

— Nie przejmuj się. Mówię ci przecież, że transkontaktor nawalił. Wymienię i będzie gotów.

— Ale co się stało z tą dziewczyną?

— Dziewczyną? Co ty, przecież to automat — teraz dopiero spojrzał na Karola.

— Panie! Gdzie ja jestem? Co to się w ogóle dzieje? Co z nią? — W tej chwili Karol spostrzegł, że krzyczy.

— Człowiek! Prawdziwy człowiek — teraz patrzył na Karola uważnie. — Jakżeś się tu dostał?! Pewnie transkontaktor! Nawalony transkontaktor! To musiało się kiedyś stać. Ale dlaczego akurat mnie?!

— Przestań się pan wygłupiać — Karol mówił już spokojnie. — Nie ze mną takie numery. Wypuść mnie pan stąd i nic mnie nie obchodzi ten transkontaktor. No, puszczaj pan. Wypuść mnie pan! Słyszysz!

— Uspokój się, nigdzie cię nie wypuszczę. Czekać, zastanowię się chwilę.

— Możesz się pan zastanawiać. Zabieram dziewczynę i idę. Rozumiesz!

— Uspokój się... Dziewczyna i dziewczyna... To android. Skorodowany, zepsuty auto-mat. Przez niego tu właśnie jesteś.

— Jestem... Ale gdzie u diabła jestem?

— Jesteś dalej w swoim mieście. Tylko już po stu latach. I posuwamy się dalej w czasie.

— Posuwamy się? W czasie?... — Karol patrzył na mężczyznę uważnie, z lekkim niepokojem.

— No tak, w czasie, i to dosyć szybko. Zresztą, co ja tobie będę tłumaczył. Tobie, człowiekowi XX wieku. To jest pojazd czasowy.

— A ona? — Karol wskazał na dziewczynę.

— Mówiłem ci. Automat. Zwykły android. Po prostu nawalił. Miał zabrać z twoich czasów czasosondę, a zabrał ciebie. Nie przeszkadzaj chwilę! Muszę to naprawić.

Mężczyzna nacisnął niewielką, wystającą z podłogi dźwignię i w kabinie rozpoczął się ruch. Ze ścian wysunęły się uchwyty, które chwyciły android i przesunęły go pod reflektor, uniesiony w górę, świecący wąskim stożkiem światła.

Gdzieś ze ściany wyszedł mały, metrowej może wysokości stożkowaty automat o kilku ruchliwych końcówkach chwytnych. Zdjęcie pokryw czołowych androidu trwało chwilę. We-wnątrz Karol zobaczył matowo połyskujące w świetle reflektora szare kryształy, w których czasem na moment rozjarzał się błysk.

— Wynalezienie silnika parowego przez Einsteina w 1987 roku... — powiedział andro-id głosem dziewczyny.

— Widzisz, jest zupełnie rozkojarzony! Musi mieć jeszcze zwarcie na innym obwodzie — grzebał w metalowych wnętrznościach androidu i Karol mu nie przeszkadzał.

— Rozumiem, że to automat. Ale skąd ja tutaj? — zapytał wreszcie.

— Wszystko trzeba ci tłumaczyć, zupełnie jak dziecku... To proste. Nasi historycy prowadzą badania. Wysyłają automaty podobne do ludzi. Właśnie androidy. Kiedy android zbierze odpowiednią ilość informacji, wysyłamy inny android, który zabiera go z powrotem. Ten automat miał właśnie zabrać taką czasosondę, a zabrał ciebie. To wszystko. Proste. Nie?! Tylko gdzie on ciebie znalazł?

— Potrąciłem ją. Taka dziewczyna... i automat.

— Ładna, co? Już nasi plastycy starają się o to — mężczyzna powiedział to z pewną dumą. — No, ale teraz dopiero będą kłopoty — dodał. Spojrzał na Karola z uwagą.

— Jakie kłopoty?

— Widzisz. Konwencja Sześciu Planet zabrania przenoszenia ludzi w inne epoki, szczególnie w przyszłość. Moje zadanie to zbierać czasosondy. A tej, którą miałem zabrać, nie ma. Kręci się teraz po twoich czasach przepelniona informacją. Nic dobrego z tego nie będzie.

— Jeśli to pomyłka, to ja mogę wyjść.

— Niestety. Nic z tego. Zaraz lądujemy w twoim mieście po trzystu latach. Już oni się do mnie dobiorą za tę twoją wizytę.

Karol usłyszał wysoki, świergotliwy sygnał, przechodzący w buczenie, a potem drzwi się rozsunęły. Wskoczył na chodnik i... był w swoim mieście.

W jaskrawym słońcu przedpołudnia zobaczył znajome domy. Ich białe ściany świeciły jasno na tle błękitnego nieba. Coś jednak było obcego w tych murach i Karol po chwili dopiero zdał sobie z tego sprawę. Miasto było puste, bardziej puste niż światem, o czwartej rano, gdy w jego czasach wyjeżdżały na jezdnię polewaczki, a nocne tramwaje wracały do zajezdni.

— Tu nikt nie mieszka? — zapytał.

— Muzeum jeszcze zamknięte dla wycieczek.

— Tu jest mój dom. Czy mogę wejść do środka?

— Jeżeli cię to bawi...

Wszedł do bramy własnego domu i spostrzegł, że między płytami chodnika i pod ścianami rośnie trawa. Schody się nie zmieniły przez trzysta lat i nawet stopnie nie były bardziej wytarte. Drzwi do jego mieszkania skrzypiały i były uchylone. W pokoju ze swoich dawnych rzeczy zobaczył tylko fotel, wielki, już w jego czasach staroświecki fotel. W fotelu tym ktoś siedział. Karol podszedł blisko, a wtedy siedzący w fotelu wstał.

— Proszę nie dotykać eksponatów — powiedział.

— Kto, kto jesteś?

— Automat-kustosz ACX 10058 melduje się i czeka na polecenia.

— Co tu robisz ?

— To automat-opowiadacz, dla wycieczek. Ze też bawią cię takie rupiecie — mężczyzna z pojazdu wszedł za nim.

— To jest muzeum — ciągnął automat. — Co chciałbyś obejrzeć? Posiadamy archiwa prasowe, radiofoniczne, telewizyjne. Wnętrza można obejrzeć z taśmy wizyjnej.

— A co to jest, ten ekran w ścianie?

— Ekran odczytu. — Coś, jakby ślad zdziwienia spostrzegł w głosie automatu. — Można w nim czytać stare dokumenty — dodał automat już normalnym głosem.

— Rozumiem. Jednym słowem, moje czasy to dla was historia.

Karol milczał chwilę, a potem zapytał:

— Czy mógłbym się dowiedzieć na przykład, co się stało tu, w tym mieście, powiedz-my trzysta lat temu?

— Oczywiście — automat odpowiedział natychmiast. — Tylko muszę się skomunikować z Centralą Losów Indywidualnych.

— Nie. Daj spokój — wtrącił się mężczyzna. — Lepiej, żeby, nikt na razie o tobie nie wiedział. Mam pewien plan...

— Archiwum dysponuje również prasą — ciągnął automat.

— A prasę mogę?

Mężczyzna skinął głową.

— Wyświetlę ci gazetę na ekranie — powiedział automat. — Patrz!

— Nowa metoda wytwarzania płyt..., remont wieżowców... — Karol półgłosem czytał tytuły: — kina... drobne ogłoszenia... Stop! Zatrzymaj! Natychmiast! — krzyknął.

— Co się stało? — zapytał mężczyzna.

— To jest nekrolog, czyli podane do publicznej wiadomości zawiadomienie o zgonie — powiedział automat.

— Spójrz! Tu! Zginął tragicznie nasz ukochany syn, inżynier Karol Topolak. Wyprowadzenie zwłok odbędzie się...

Zginął tragicznie...nie... Słyszysz! To ja! To mój nekrolog!

— Fakt. — Mężczyzna nie zdziwił się specjalnie. — Ale właściwie, co to ciebie obchodzi? Jesteś tam czy tu?

— Dobrze, ale... ale to przecież mój nekrolog.

— Niby tak. Ale ten nekrolog jest sprzed trzystu lat, jakby na to nie patrzeć.

— Ale mój!

— Fakt... Czekaj, jakiś komunikat.

Nad ekranem zabłysło czerwone światło i patrzył stamtąd na nich mężczyzna w dziwnym

skafandrze.

— Uwaga, tu Centrala Koordynacji Epok — rzekł. — Do wszystkich stacji czasowych i personelu temporycznego! Człowiek starożytny przekroczył barierę czasu. Powtarzam: człowiek starożytny przekroczył barierę czasu w kierunku dodatnim. Różnica — trzysta lat. Którzykolwiek automat albo człowiek wiedziałby o miejscu jego pobytu, obowiązany jest natychmiast zawiadomić Centralę Koordynacji Epok. Powtarzam...

Nagle Karol za sobą usłyszał głos:

— Automat-kustosz ACX - jeden - zero - zero...

Mężczyzna uderzył automat w miejsce, gdzie człowiek ma żołądek, i automat zamilkł.

— Wyłączyłem go — powiedział do Karola — w ostatniej chwili zatrzymałem meldunek. Ale to i tak już nic nie pomoże. Liczyłem, że uda mi się podrzucić cię niepostrzeżenie w twoje czasy. Ale po tym komunikacie... Musiały nas zarejestrować automaty kontrolne na przełomie dwudziestego pierwszego i dwudziestego drugiego wieku. Co robić?

— Porozum się z nimi. Przecież to nie moja wina, że tu jestem. Zresztą nie widzę w końcu w tym nic złego.

— Dziecko jesteś! Nie rozumiesz konsekwencji? Biegnie teraz od ciebie w czwartym wymiarze tak zwane włókno Claperiusa, które sięga w przeszłość. Wszystko, co leży na tym włóknie i jego odnogach, ulega zmianie. Zmienia się cała historia ostatnich trzystu lat.

— Więc co teraz zrobisz?

— Nie wiem. Wracajmy w każdym razie do czasolotu. Zmienię kurs i...

Chcieli wyjść, lecz w drzwiach spotkali mężczyznę w takim samym, dziwnym skafandrze jak ten, który Karol widział na ekranie.

— Oldes jestem — przedstawił się. — Naruszyliście czwarty paragraf Kodeksu Czasowego. Sprawdzam w Persotempografii. Mam wykres. Wokół niego dość gęsty węzeł włókien czasowych. Przykro mi, pilocie...

— Ja jestem niewinny — mężczyzna nazwany pilotem zbladł. — Automat miał przebiły transkontaktory i...

— Wiem o tym. Jednak to wcale nie usprawiedliwia twego postępowania. Odpowiadasz za wszystko, jak zwykle — stwierdził Oldes, a potem zwrócił się do Karola: — Nie bój się. Pozbądź się tych odruchów swojej epoki.

— Ani się nie boję, ani mnie nie obchodzą wasze paragrafy.

— Co z nim zrobicie? — zapytał pilot.

— Nie wiem jeszcze. Może dezintegrator pamięci... To jeszcze nie zostało postanowione... Ale to człowiek, trochę inny, ale człowiek. I pomyśleć, że dzieli nas od nich trzysta lat. No nic, postaramy się go nieskażonego naszą epoką przerzucić do jego czasów.

Budynek, do którego dolecieli dziwnym, przezroczystym pojazdem w kształcie meduzy, unoszącym się bezgłośnie w powietrzu, leżał wśród wzgórz. Musiała być wczesna jesień, bo liście żółkły już gdzieś i Karol czuł ich zapach, znany mu z jego czasów. Lot trwał krótko, kilka — może kilkanaście minut. Gdy wchodzili do budynku, matowa kurtyna zamykająca wejście rozwinęła się. Przeszli długimi korytarzami i weszli do wielkiej, pustej sali, na której środku, oświetlony reflektorami i obudowany pulpitemi sterującymi, stał dziwnej konstrukcji stół — „stół operacyjny” — pomyślał Karol. Gdy weszli, od pulpitu podniósł się mężczyzna i podszedł ku nim.

— Wszystko gotowe, Utet? — zapytał Oldes.

— Tak, lugry już pod napięciem. Czekamy na ciebie — zwrócił się do Karola.

— Co chcecie ze mną zrobić?

— Wymażemy ci pamięć, wszystko, coś doznał w naszych czasach, i powrócisz w swoją epokę.

— Nie, nie chcę... Puśćcie mnie...

Utet uśmiechnął się. W tej samej chwili Karol poczuł na szyi dotknięcie metalu. To było bezbolesne. Poczł absolutny bezwład.

— Nie obawiaj się — powiedział Utet. — W tej chwili twoje ciało jest izolowane funkcjonalnie od twego mózgu. Potem to minie...

Karol chciał się poruszyć, lecz nie mógł. Został uniesiony przez dwa automaty i ułożony na stole.

— Lugry: siedem stopni, dziesięć stopni, piętnaście stopni — słyszał, jak Utet podaje namiary. Usłyszał gwizd.

— Skojarzenie wtórne — powiedział automat.

— Dziesięć stopni, siedem stopni, trzy stopnie, zero.

— Powtarzać? — zapytał automat.

— Nie. Koniec, to nie ma sensu — widział, jak Oldes odszedł od pulpitu.

— Jeszcze chwila — powiedział Utet. — Sprawdzę tylko jego zapis pamięci. Zresztą nic szczególnego — dodał po chwili — znalazłem to!

— Co to jest?!

— Jakieś silne przeżycie. Niewymazywalne powierzchniowo. Trzeba by naruszyć górną warstwę podświadomości, a tego robić nie wolno... Teraz już możemy przerwać.

— Może jednak spróbować — zaproponował Oldes.

— Nie, to jest odcinek pamięci odpowiadający pobytowi w muzeum. Musiał tam mieć jakieś przeżycie, które zostawiło trwałą ślad w jego pamięci. Chciałem wymazać mu wszystko, co tu zapamiętał. Mógłby wtedy spokojnie powrócić w swoje czasy i żyć dalej. A tak... Czy jest tu pilot, który go przywiózł?

Karol zobaczył teraz twarz pilota.

— Przypomnij sobie, co on tam, w muzeum, przeżył takiego.

— Pojęcia nie mam.

— A co tam robił ?

— Kazał sobie przedstawić archiwum prasowe... Wiem! Zapomniałem po prostu. Za dużo mam ostatnio zmartwień.

— No, co takiego? — Utet patrzył teraz na pilota.

— Przeczytał... no, nie pamiętam, jak to się nazywa... takie ogłoszenie o czyjejs śmierci w starożytnej gazecie.

— O czyjej śmierci?

— O jego własnej. Śmierć miała nastąpić zaraz po porwaniu go przez automat.

— Źle! — stwierdził Utet. — Kustosz nie powinien mu pokazywać archiwum. No, kończę... — trzasnął jakiś przełącznik i wtedy Karol poczuł, że może zejść ze stołu.

— Powiedzcie mi, gdzie jestem? — zapytał. Stał jeszcze nieco niepewnie.

— Jesteśmy Radą Temporyczną, która zadecyduje o twoim losie — powiedział Utet. — Jesteś w przyszłości i musisz ją opuścić.

— Przez chwilę bałem się, że mnie mimo wszystko wyślecie w przeszłość. Siłą!

— Siłą? To pojęcie z twojej epoki. Dzisiaj ono już nic nie oznacza. Bez twojej zgody nie możemy tego uczynić.

— Mojej zgody. Nigdy jej nie uzyskacie!

— Musisz pewne rzeczy zrozumieć...

— Nie mam najmniejszego zamiaru niczego rozumieć. Niczego! Nic mnie nie obchodzą wasze...

— Dlaczego właściwie nie chcesz? — Utet patrzył na Karola uważnie.

— Pytasz się dlaczego? Pilot też się pytał. Pytacie się wy, którzy wszystko wiecie! Wiecie przecież, że mam zginąć zaraz, jak tylko wrócę. A ja nie mam zamiaru...

— Przecież i tak kiedyś umrzesz...

— Tak, ale trzydzieści lat w tę czy w tamtą stronę to jest różnica. Zrozumcie mnie — dodał już spokojnie. — Nie mogę przecież wrócić do czasów, w których czeka mnie natychmiastowa śmierć.

— To jest stanowisko słuszne tylko z twego osobistego punktu widzenia. Przecież ludzie umierają we wszystkich epokach. To normalne. A my nie możemy dopuścić do tego, byś pozostał w przyszłości. To wykluczone. Umrzeć musisz czy tak, czy owak. Przeszłości nie możemy zmieniać.

— Nie wy, to ja sam ją zmienię! Jeśli mnie zmusicie, wrócę. Przypuszczam, że teraz potrafię już unikać śmierci.

— Bzdura! Zrozum, twoja śmierć jest faktem, faktem, który już się zdarzył. Nic i nikt nie może tego zmienić!

— Ale ja przecież ż y j ę!

— To prawda - Utet milczał chwilę. — Możliwe byłoby jeszcze jedno wyjście, ale...

— Jakie?

— Stypendium historyczne.

— Co to takiego ?

— Widzisz, nasi historycy robią czasem rekonesanse w daleką przeszłość. Niektóre z tych wypraw wiążą się z pewnym, jak wy to nazywacie, ryzykiem. Mógłbyś i ty...

— Dla odmiany mam zginąć w starożytności ?

— Jest pewne prawdopodobieństwo, że możesz zginąć stwierdził Utet. — Jeśli natomiast powrócisz do swoich czasów, twoja śmierć jest pewna.

— Ryzykujesz mało, zyskać możesz wiele. Parę lat pobytu w starożytności, a potem powrót w twoje czasy. Zyskujesz kilka lat życia. — Oldes patrzył na Karola uważnie.

— Więc potraficie mnie umieścić na przykład... w starożytnym Egipcie?

— Egipt raczej nie wchodzi w rachubę. Został doszczętnie wyeksploatowany. Było już tam wielu historyków. Musisz się zgodzić na coś innego albo czeka cię natychmiastowy powrót do twoich czasów. Wybieraj więc.

Karol spojrzął na stół i pomyślał o chłodnym dotknięciu automatu na swojej szyi.

— Zgoda, jadę... — powiedział. — Tylko dokąd? Zastrzegam sobie łagodny klimat i absolutnie żadnych ludożerców.

— Zobaczymy, dokąd można teraz jechać — powiedział Utet i zwrócił się do automatu.

— Tu Koordynator Utet z Centrali Epok. Do historycznej komisji stypendialnej. W sprawie stypendium czasowego. Proszę o podanie miejsc i czasów.

W głośniku przez chwilę słychać było szum, a potem odezwał się głos:

— Późny paleolit — badania zoologiczne. Cesarstwo Rzymskie — widowiska cyrkowe, wyprawy krzyżowe — dziesięć miejsc. Plemiona Inków — obrzędy ofiarne, Karol Młot — między Tours i Poitiers. Stypendia pierwszego stopnia. Koniec.

— No i co? Odpowiada ci coś z tego? — zapytał Utet.

— Sam nie wiem. Może do Inków. Chociaż to trochę daleko...

— A może na stypendium drugiego stopnia? — zaproponował Oldes.



— A jaka jest różnica?

— Są one związane z pewną misją i... z niebezpieczeństwem. Muszę cię ostrzec, że kilku wysłanych na nie historyków nie powróciło... Do dziś nie wiadomo zresztą, z jakich powodów.

— Co na tym zyskuję?

— Te stypendia są dłuższe.

— Może bym się zdecydował...

— Proszę o podanie wolnych miejsc na stypendia drugiego stopnia — powiedział Utet.

Tym razem odpowiedź przysłała natychmiast.

— Proces Joanny d'Arc, Asyria — eliksir życia... to wszystko.

— Eliksir życia? Co to takiego?

— Tak. Ale to bardzo ryzykowne. Już trzech stamtąd nie wróciło — powiedział Utet.

— Co to za eliksir? Musicie mi chyba powiedzieć.

— Badania wykazały, że starożytni Asyryjczycy mieli jakiś eliksir. Płyn o działaniu regenerującym organizm — Utet mówił wolno, jakby z trudem znajdując właściwe słowa. — Człowiek posiadający ten płyn mógł co pewien czas się odmładzać i w ten sposób uzyskać coś w rodzaju, nieśmiertelności.

— Już za moich czasów czytałem o takim eliksirze. Ale przecież to bzdury. Podobno Cagliostro też dysponował takim płynem, a umarł. I wy w to wierzycie ?

— Cagliostro był szarlatanem. Tu sprawa nie przedstawia się tak prosto. Widzisz, ów środek przechowywany był w świątyniach i dostępny tylko nielicznej grupie kapłanów. Bada-nia dokładnie wykazały zadziwiającą długowieczność kapłanów, w których rękach był ów eliksir.

— Może tak było, ale ja w to nie wierzę.

— Nie musisz wierzyć. Chodzi o zbadanie całej sprawy na miejscu. I o zdobycie tego eliksiru, jeżeli rzeczywiście istniał.

— Zdobycie eliksiru? Jak mam tego dokonać, przyjmując oczywiście, że kapłani go mieli ?

— W tym właśnie cała trudność — Utet odpowiedział po chwili. — Dostaniesz na pewno ogólne instrukcje, zaznajomią cię dokładnie z epoką, ale reszta to już twoja rzecz. Przypominam ci, że już trzech stamtąd nie powróciło. Wszyscy, których wysłano. No więc?

— Zgadzam się! Jadę! — powiedział.

— A więc jesteśmy w starożytności — powiedział pilot. Ich czasolot w kształcie odwróconego spodka sunął bezgłośnie na wysokości tysiąca metrów.

— I co dalej ? — zapytał Karol.

— Za chwilę wylądujemy. Reszta należy do ciebie.

— Spójrz, tam jakieś budowle — Karol patrzył na szare, regularne bryły, leżące w dole w lekkiej, przyziemnej, fioletowej mgle.

— Coś tam rzeczywiście widać. Obejrzyj to sobie z bliska — powiedział pilot. Potem przełożył dźwignię sterów i pojazd ruchem opadającego liścia zmniejszył wysokość. Dotknię-cia ziemi Karol nie odczuł.

— Jesteśmy na miejscu. Będę tu czekał na ciebie drugiego dnia po pełni każdego mie-siaca.

— Dokładniej nie mógłbyś tego określić?

— Mógłbym, ale już wkrótce stracisz rachubę czasu. Tu nie obowiązuje nasz kalendarz.

Karol chwycił swój bagaż i zeskoczył na trawę. Nogi płątały mu się nieco w długich szatach, ale pomyślał, że do tego też się przyzwyczai. Pilot skinął mu ręką i pojazd bezszele-stnie uniósł się zostawiając w trawie trzy głębokie, kuliste wgniecenia. Karol patrzył za nim, jak oddalał się,

błyszcząc w promieniach zachodzącego słońca. Potem rozejrzał się. Wysoka trawa wokół niego falowała w lekkim, przedwieczornym wietrze. Dalej przy kępie drzew zobaczył smugę dymu. Pomyślał, że do chwili jego urodzenia miną jeszcze tysiące lat, i ruszył w kierunku dymu.

Ilekoć wchodził do świątyni, odczuwał niepokój, irracjonalny, nieumiejscowiony, pierwotny niepokój swych praprzodków. A znał tutaj każdy kamień. Dzisiaj był drugi dzień po pełni księżyca i Karol wiedział, że wchodzi tu po raz ostatni.

Idi czekała na niego jak zwykle w przedsionku świątyni.

— Jednak przyszedłeś! — powiedziała, gdy stanął przed nią. — Przyszedłeś tu, do świątyni, gdzie bogini w ustach swych zamyka czas. Przyszedłeś, choć wiesz, czym to grozi. Kusi cię jednak tajemnica śmierci.

— To nie jest tajemnica śmierci, Idi.

— Nie jesteś pierwszy, który tak mówi. Tamci wszyscy zginęli. Bogini nie zdradzi nikomu tajemnicy wieczności. Nawet ja nie śmiem myśleć o tym.

— Jaka tam bogini... Ten głaz to zwykły kamień.

— Milcz!

— Co się stało?

— Ona nas słyszy! Jak śmiesz w tym miejscu! Ona patrzy na ciebie.

— Bzdura!

— Przestraszyłeś się jednak.

— Boję się... Ale nie bogini... Boję się ludzi, kapłanów.

Milczeli przez chwilę i Karol słyszał tylko krople spadające gdzieś monotonicznie na kamienną posadzkę.

— Wiem, że przybywasz z innego świata — rzekła wreszcie Idi. — Opowiadałeś rzeczy, których mój umysł pojąć nie może. Błagam cię, uwierz mi! Ja wiem, co jest prawdą, a co sztuczką kapłanów. To jest prawda. Nikomu się jeszcze nie udało...

— Idi, przestań. Zrozum, wkrótce muszę wracać. Muszę zabrać z sobą tajemnicę bogini i ciebie, Idi.

— Tyle opowiadałeś mi o tamtym świecie. Jeżeli jest on tak piękny, jak ta muzyka, którą przywiozłeś ze sobą...

— Przed powrotem muszę poznać tajemnicę bogini. Wiesz o tym.

— Jesteś zdecydowany? — powiedziała to cicho.

— Na wszystko!

— Czy masz ze sobą tę czarodziejską skrzynkę, która tworzy dźwięki?

— Tak. Utrwalam twój głos, Idi, żeby słyszeć go zawsze.

— Chcę słyszeć muzykę.

Włączył magnetofon i słuchał dźwięku muzyki, która nie była muzyką jego czasów. Słuchał dźwięków z czasów Oldesa, z czasów mówiących automatów i bezszelestnych pojazdów czasowych.

— Dostyc — powiedziała Idi. — Dobrze więc! Zdobędę dla ciebie tajemnicę. Jest ukryta tu, w posągu. Patrz! Staję na tej płycie i sięgam do ust bogini.

I wtedy Karol zrozumiał. Płyta, metalowy wspornik i wiecznie suchy wiatr pędzący tumany pyłu ku wejściu świątyni.

— Stój! Już wiem! — krzyknął.

— Pani, zwróć na mnie oczy swoje i obdarz mnie uśmiechem! — Idi mówiła monotonicznie, cicho.

— Stój! Nie dotykaj! Ładunek elektryczny! Nie dotykaj !

— Oto eliksir życia... — Idi sięgnęła do ust posągu.

Trzask wyładowania nie był głośny. A Idi upadła na płytę. Wtedy Karol usłyszał za sobą śmiech, śmiech dudniący pod sklepieniem świątyni. To był Kaloos, pierwszy kapłan świątyni.

— Zdobyłeś eliksir. Podejdz zatem, weź go! Byłeś bardzo mądry, ale w tym punkcie wszyscy jesteście głupcami! Wierzycie w eliksir życia! Lęk przed śmiercią jest zawsze jedna-kowy. Otóż wiedz, że tajemnica eliksiru polega na tym, że eliksiru nie ma! Kto jednak posiadał tę wiedzę, płaci życiem. Tak jak Idi. Ciebie to też czeka!

— Zabiliście ją!

— Ty także zginiesz.

— Ja się nie boję!

— Twoja śmierć będzie inna.

I Karol wiedział, że to prawda. Ale na spotkanie z Kaloosem był przygotowany.

— Śmieszny jesteś, Kaloosie. Myślisz, że mnie zabijesz. Myślisz, że Idi umarła. Posłuchaj... — powiedział i nacisnął klawisz odtwarzania swego magnetofonu.

— ...eliksir — mówiła Idi — jest ukryty tu, w posągu. Staję na tej płycie i sięgam do ust bogini.

— To jej głos!

— Pani, zwróć na mnie oczy swoje i obdarz mnie uśmiechem! Oto eliksir życia.

Słyszał trzask wyładowania i pogłos sandałów uderzających o kamienną posadzkę. Kaloos uciekł.

Wyłączył magnetofon i ruszył korytarzem ku wyjściu. Minał kamienny dziedziniec, stanął w bramie i spojrzał na pustynię, z której wiatr niósł tumany pyłu opadające z cichym szelestem z murów świątyni. Pomyślał o wszystkich dniach, które tutaj przeżył, i ruszył trak-tem na wschód.

Leżał w tej samej sali, na tym samym stole i reflektory świeciły mu w twarz tak samo, jak przed laty. Dla nich, którzy stali wokół niego, jego nieobecność trwała kilka godzin. Słyszał, jak mówią, ale nie mógł się poruszyć.

— Telewizja nie dała wyniku — powiedział Oldes.

— A jednak powrócił po pięciu latach. Dotychczas nikomu z naszych się to nie udało. Oni są lepiej przystosowani od nas do życia w starożytności. Ale eliksiru nie przywiózł. Zauważ jednak, że niewiele się postarzał. To daje do myślenia.

Utet przyglądał mu się uważnie.

— Sądzisz, że dostał go tam i zażywał? Za chwilę dowiemy się wszystkiego. Ukryć eliksiru przecież nigdzie nie mógł!

Utet przycisnął klawisz.

— Witajcie, potomkowie - powiedział Karol. — Dla was te pięć lat było chwilą.

— Jesteś opalony — stwierdził Utet.

— To gorące słońce Babilonu. Błede są tylko kobiety, nigdy wojownicy.

— A co z eliksirem! Przeszukaliśmy twoje ciało podczas snu aklimatyzacyjnego. Nic nie znaleźliśmy.

— Eleksiru nie ma. To zwykła bajka.

— Dziwne. Nasi historycy są niemal pewni, że eliksir istniał. Inaczej nie wysłaliby cię przecież.

— Eleksiru nie ma. Mówię chyba wyraźnie.

— Skoro to stwierdziłeś i wróciłeś, dlaczego nie powrócili tamci trzej?

- Po prostu, kto się o tym dowiedział, musiał zginąć. Wasi wysłannicy zginęli właśnie dlatego, że dowiedzieli się. Istnienie eliksiru jest legendą.
- Ty jednak jesteś żywy — stwierdził Utet.
- Jak widzicie. I przestańcie mnie już wreszcie nudzić.
- W jaki sposób udało ci się wrócić? — zapytał Oldes. — Przez przypadek?
- W pewnym sensie tak. To nie było proste. Chytrność ich kapłanów jest wielka. Mówię wam, ludzie z przeszłości nie ustępują wam wcale.
- I chcesz, abyśmy wierzyli w ten przypadek.
- Nie zależy mi specjalnie na tym.
- Słuchaj — powiedział Oldes. — My i tak wszystko wiemy. Wiemy, że masz tajemnicę eliksiru. Nie możemy cię z nią wysłać w twoje czasy.
- W porządku, mogę zostać u was.
- Wiesz doskonale, że nie możesz. Wrócisz dokładnie w ten sam punkt czasoprzestrzeni, który opuściłeś. Taka była umowa.
- Zgoda, mogę wracać.
- Oldes milczał chwilę, a potem powiedział:
- Gdybyś przekazał nam eliksir, być może Rada pozwoliłaby ci zostać u nas. A tam.. pamiętasz, czytałeś swój nekrolog.
- Wiesz co, Oldes, zawsze mi się wydawało, że jeśli zna się przyszłość, można uniknąć większości niespodzianek.
- Myślisz, że eliksir ci w tym pomoże?
- Kto wie.
- Przyznajesz więc, że go masz.
- Nie, mówię tylko, że może mi pomóc.
- Nie rozumiem.
- Nie szkodzi. W tym właśnie różnicie się od nas. Jesteście inni. Po prostu dziecinnieliście przez te trzysta lat, które nas dzielą. W naszych czasach nikt by się nie nabrał na ten eliksir. A wy wierzycie. Wierzycie w bajki.
- Nasza technika, zdobycze naszej nauki upoważniają nas do wiary w zjawiska z pozoru nieprawdopodobne.
- Ale jesteście przy tym bardzo naiwni. Nadmiar udogodnień technicznych nie sprzyja myśleniu.
- I ty to mówisz, ty, człowiek z zamierzchłej epoki wczesnoatomowej ?
- Nie była ona tak prymitywna, jak myślicie. Z przyjemnością wrócę do niej. Miała ona swoje dobre strony. Zapewniam was.
- Oldes ruszył ramionami.
- Doskonale, wobec tego zorganizujemy przerzut w twoje czasy.

Gdy wszedł, starszy o pięć lat, do swojego pokoju, zobaczył Annę.

— No, wreszcie w domu — powiedział. — Jesteś, Anno, wróciłaś. Jak weszłaś?

— Normalnie, drzwiami. Były otwarte.

— Wydawało mi się, że je zamknąłem.. Dość dawno temu, ale zamknąłem.

— Może nie powinnam przychodzić. Ale pomyślałam sobie, że nie mogę cię zostawić na cały wieczór. Wróciłam więc.

— Dobrze, że przyszłaś... To był chyba maj, sobota...

— Żle się czujesz, Karolu? Zmieniłeś się jakoś.

— Postarzałem się. Przybyło mi parę lat.

— O czym ty mówisz? Rozstaliśmy się przecież przed chwilą.

— Tak, ale tymczasem zostałem przeniesiony w przeszłość. Właściwie nie wiem, jak ci to mam powiedzieć. To było coś niesamowitego...

— Uspokój się. Usiądź i powiedz wreszcie.

Siadł w swoim fotelu, na którym, wiedział, że za trzysta lat siadywać będzie automat.

— Byłem w Asyrii — powiedział.

— Gdzie?

— Nie przerywaj mi. W starożytnej Asyrii. Przeniesiono mnie w inną epokę. Zdaję so-bie sprawę, że to wszystko, co mówię, wygląda na szaleństwo. Ja wiem, że to jest nieprawdo-podobne, ale ja byłem! Rzeczywiście byłem. Byłem także w przyszłości... Wierzysz mi?

— Tak, oczywiście, że ci wierzę — odpowiedziała Anna po chwili.

— Wtedy kiedy wyszłaś, pobiegłem za tobą. Wsiadłem do samochodu i znalazłem się w czasolocie. To taki pojazd, który porusza się w czasie. Byłem tutaj, w tym samym mieście, ale po trzystu latach... To było potworne... Wiedziałem, że ciebie już nie ma...

— Musisz odpocząć... Zrobię ci kawę... — Anna wstała.

— Ty mi nie wierzysz? Myślisz, że oszalałem?

— Ależ nie! Wiem, że mówisz prawdę — Anna mówiła to bardzo spokojnie. — Po prostu zrobię ci kawę. Poczekaj.

— Gdybym mógł mieć jakiś dowód i przekonać cię.

Anna podeszła do drzwi balkonu i odsunęła zasłonę.

— Duszno tu. Otworzę drzwi od balkonu.

— Duszno? Przecież jest chłodno!

— Może masz dreszcze? — podeszła do niego i dotknęła jego czoła.

— Anno! Tu jest przecież zimno! Dlaczego mi wmawiasz, że jest duszno!

— Uspokój się. Zaraz zamknę drzwi.

— Nie, nie! Proszę cię. Otwórz!

— Przyjdzie tu lekarz...

— Co takiego?

— Lekarz. Przed chwilą dzwoniłam do lekarza... Nie zrozum mnie źle...

— Rozumiem. Uważasz, że oszalałem!

— Nie. Naprawdę nie. Wierzę we wszystko. Jestem pewna, że tak było naprawdę. Ale dobrze będzie, gdy poradzimy się lekarza. Może masz temperaturę.

Dzwonek u drzwi wejściowych zadzwonił. Otworzyła Anna. Siedział nieporuszony w fotelu.

— Dobry wieczór! - usłyszał głos. Nie mylił się. Odwrócił się gwałtownie. To był Oldes.

— To ty? Po co przyszedłeś?

— Nie rozumiem — Oldes spojrzał na Annę.

— Wspominałam panu, doktorze, że...

— Tak, tak, oczywiście.

— „Doktorze”? Anno, to oszustwo. To nie jest żaden lekarz! To właśnie on! Człowiek z przyszłości! Nazywa się Oldes.

— Karolu, wiem, że mówisz prawdę, ale posłuchaj doktora.

— To nic groźnego — stwierdził Oldes. — Po prostu pan jest wyczerpany nerwowo.

— Po co przyszedłeś! Po eliksir? — Teraz Karol krzyczał.

— Co to takiego? — Oldes zwrócił się do Anny.

— Nie wiem. Mówi, że był w Asyrii.

— Rozumiem... Proszę usiąść...

— Nie zbliżaj się do mnie! Żadne sztuczki ci nie wyjdą! Jesteś w terażniejszości!

Oldes zatrzymał się niezdecydowany.

— Nie wiem, czy sam dam radę — zwrócił się do Anny. — To wygląda na ciężki przy-padek.

— Anno, nie wierz ani jednemu jego słowu! To oszust. Chcą mnie zabić! Wrócili po to, żeby nie zmieniła się ich przyszłość! Włókno Claperiusa! Tak się to u nich nazywa!

— Włókno Claperiusa... O czym ty mówisz?

— Tak, właśnie tak!

— Obsesja śmierci. Dostyc typowy objaw. — Oldes mówił do Anny szeptem.

— Wynoś się stąd! Słyszysz? Wynoś się natychmiast! Nie uda ci się!

— Gdyby była pani tak uprzejma... Tam na dole w karetce jest pielęgniarz. Sam nie dam rady.

— Nigdzie nie pójdziesz! Nie wychodź, Anno. Nie zostawiaj mnie z nim. Oni chcą mnie zabić.

— Zaraz wrócę, Karolu - powiedziała Anna i wyszła.

Karol milczał chwilę.

— Zostaw mnie - powiedział w końcu. — Jeżeli mnie zostawisz, dam ci eliksir. Zdoby-łem..

— Teraz za późno. Muszę cię zabrać do szpitala. Powiesz przynajmniej, gdzie przecho-wałeś ten płyn? Przeszukaliśmy cię dokładnie.

— Dałeś się nabrać. Jadąc czasolotem wysiadłem dzień wcześniej i umieściłem go tu, w swoim domu.

— Pilot zgodził się na ten postój? — Oldes nie był całkiem przekonany.

— Powiem ci, ale musisz mi przyrzec...

— Szybko, mów !

— Dałem mu pół butelki.

— Więc to tak? — Oldes podniósł głowę.

— Widzisz. Dam ci drugą połowę, ale pod warunkiem, że pójdziesz stąd i zostawisz mnie w spokoju.

— A co powiem w Centrali?

— To już twoja sprawa. Zresztą jeśli nie chcesz... Ale radzę ci się zastanowić. Wy w przyszłości macie wszystko, ale jesteście śmiertelni. Ty jeden możesz zyskać nieśmiertelność, świeżość umysłu. Podczas gdy twoi przyjaciele będą zgrzybiałymi starcami, ty zachowasz umysł i wygląd trzydziestolatka! To wielka rzecz, Oldes. Spróbuj, mam to tutaj... — Karol wstał i nalał do szklanki nieco białego, przezroczystego płynu.

— Może to trucizna?! W waszych czasach robiło się takie rzeczy...

— Głupcze! Spójrz na mnie! — Karol odwrócił się i spojrzał na Oldesa. — Czy posta-rzałem się choć trochę przez te pięć lat? Zresztą, proszę bardzo! Sam też wypiję. No? Jeszcze się wahasz? — nalał płynu do drugiej szklanki i wypił. Oldes wahał się jeszcze przez chwilę i wreszcie wypił także.

— Uuu! Dziwne! Piecze w ustach. — Oldes z trudem łapał powietrze.

— Chciałbyś, by eliksir miał smak wody? Musi w tym być moc, która przywraca mło-dość!

— To dobre! Mógłbyś jeszcze trochę? Tak na początek?

— Ależ proszę cię uprzejmie — nalał mu pół szklanki. Mam tego kilka butelek.

— Kilka butelek?

— Fakt.

— Wiesz, czuję przyjemne ciepło rozlewające się po całym ciele.

— Pierwszy objaw, że twój organizm się odmładza.

— Jak myślisz, o ile się odmłodziłem?

— No, co najmniej o kilka lat.

— A gdybym wypił na raz całą butelkę?

— Trochę niebezpieczne. Wróciłbyś do dzieciństwa, zacząłbyś bełkotać i chodzić na czworakach.

— Cudowne! Czuję jasność umysłu!

— I wszystko wydaje się łatwe i proste?

— Właśnie!

— Osiągasz mądrość kapłanów asyryjskich.

Oldes wstał, zatoczył się i oparł o bibliotekę.

— Czemu tracę równowagę? — zapytał.

— Młodość oszalała!

— Dasz mi całą butelkę ?

— Proszę — odpowiedział Karol i wręczył Oldesowi butelkę białego płynu.

— Wspaniale! — Oldes schował butelkę i usiadł w fotelu. Milczeli chwilę, a potem weszła

Anna z pilotem.

— Panie doktorze, pan... — zaczął pilot, lecz Oldes mu przerwał.

— Wysiadło się dzień wcześniej po eliksirek, co?

— Co takiego ?

— No, już dobrze... — Oldes machnął ręką.

— Co się tu dzieje? — Anna patrzyła na Karola.

— Pan doktor poprosił a coś do picia — wyjaśnił Karol.

— Prze... Przepraszam bardzo... Pani wybaczy... — Oldes wstał i chwycił za ramię pilota.

Wracamy, kochasiu. Wracamy...

— Ależ, panie doktorze.

— Idziemy... Przepraszamy... — Oldes, ciągnąc pilota, ruszył ku drzwiom.

— Doktorze, wezwano pana w określonym celu. — Anna chciała go zatrzymać.

— W określonym celu, ale... Przepraszamy, wychodzimy...

Wejściowe drzwi trzasnęły.

— Trochę eliksiru... — Karol usiadł w fotelu. — Ale mi się udało. Ty jeszcze nic nie wiesz,

Anno. Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego. Widzisz, dziś o godzinie dwudziestej drugiej zero pięć miałem umrzeć. Właśnie teraz, ale nie dałem się... Oni już nie wrócą... Rozumiesz? Czas mojej śmierci minął i będę żył dalej... żył dalej, Anno.

— No tak, rzeczywiście. Widzisz, wiem, że to, co mówisz, to prawda. Trudno mi jednak znaleźć rozwiązanie. Lubiłam cię, Karolu...

— Lubiłaś ?

— Nie, nie... Widzisz, włókno Claperiusa...

— Tak, to oni tak mówią. Ja miałem umrzeć... Nie potrafię ci tego wszystkiego wytłumaczyć, ale przecież fakt, że byli tu, dowodzi, że to nie mój wymysł... Słuchasz mnie?

— Tak. Oczywiście.

— Myślałem o tobie... Cały czas myślałem o tobie. Chciałem tu wrócić... — Karol urwał, bo usłyszał szum, który słyszał już kiedyś. — Słyszysz coś, Anno? — zapytał.

— Co takiego ?

— Nie wiem. Jakby szum. Wydaje mi się pewnie. Czuję się naprawdę zmęczony... Co ty tam robisz? — zapytał, bo Anna podeszła do okna i wtedy usłyszał słowa:

— MGX-122, operacja awaryjna, powtarzam: operacja awaryjna. — To był głos Anny.

— Anno? Co ty mówisz? — zawołał. Teraz szum słyszał już wyraźnie.

— MGX-122 wzywa czasolot awaryjny! — Monotonnie powtarzała Anna.

— Spójrz na mnie, Anno!

Widział, jak podchodzi do niego, bierze go za ramiona i bez wysiłku podnosi w górę.

— Nie żartuj. Uważaj. Przerzucisz mnie przez balustradę...

Lecąc krzyczał jeszcze. Pisku opon i gwaru ludzi już nie słyszał. Nie wiedział także, że Anna obciągnęła sukienkę i płuczac szklanki pod kranem, mówiła monotonnym głosem w kierunku zlewozmywaka:

— MGX-122 melduje usunięcie awarii. Człowiek, który przekroczył barierę czasu, nie żyje. Przewidziane wypadki zaszły z trzyminutowym opóźnieniem, bez naruszenia włókna Claperiusa.



# JEGO PIERWSZA TWARZ

Automaty zawiodły. Gdy przestał trwać przebudzony ze snu, który trwał dziesiątki lat, kosmolot spadał już w polu grawitacyjnym gwiazdy Regulus i nic nie mogło powstrzymać tego upadku. Tor kosmolotu, stanowiący wycinek paraboli, trafiał w gwiazdę.

Katapultował się w małej raketce, która zazwyczaj służyła eksploracji nieznanych planet, ale tym razem miała to być eksploracja ostateczna, z której się nie powraca.

Schodził do lądowania na nieznaną planetę, nie oznaczoną na żadnych mapach Kosmosu. Patrzył, jak rosła i pęczniała w czołowym ekranie rakiety, aż wypełniła go brudno-brązową, jednostajną płaszczyzną, z ostro zarysowaną linią terminatora, oddzielającą dzienną półkulę od nocnej. Podchodził ku planecie od strony cienia i potężna biała kula Regulusa z wytryskami protuberancji z wolna znikła poza globem przeświecając czerwono przez jego atmosferę. Potem czerwona poświata zbladła i wszedł w stożek cienia.

Wiedział, że wylądował, dokona rutynowych pomiarów ciśnienia, składu atmosfery, promieniotwórczości skorupy; tych wszystkich danych, które, jeśli kiedykolwiek go odnajdą, wejdą do katalogów gwiazdnych anonimowo, jako jedne z wielu. Dane te przekaże do nieścieralnych pamięci mnemotronów, włączy na stałe sygnał wywoławczy, który co dziesięć sekund będzie emitowany z anten jego rakiety przez wieki całe, wieczność prawie, aż rozsypią się automaty nadawcze, bo energii stosu nie zabraknie. Potem umrze. Myślał o tym jak o jednej z wielu konsekwencji tego lotu, konsekwencji tego, że był kosmonautą.

I wtedy właśnie, wśród trzasków, zakłóceń usłyszał głosy, głosy ludzi. Pomyślał, że to złudzenie, halucynacja, która w sytuacji takiej jak ta jest prawidłowością, ale głosy nie umilkły.

— Uwaga, Epsi. Rakieta weszła w stożek cienia. Widzisz ją?

— Oczywiście. Trzymam ją na trzecim ultradecie.

— Namierzaj ją dokładnie. Nie wiem, czy oni pilotowali w tych warunkach.

— Wszystko w porządku, Tod. Wchodzi na tor eliptyczny.

Uwierzył i wiedział, że będzie żył. Milczał. Nie wiedział, co powiedzieć w sytuacji, której kosmonauta, prawdziwy kosmonauta, nigdy nie bierze pod uwagę. Bo szczęśliwe zbiegi okoliczności zdarzają się czasem na Ziemi; w Kosmosie nigdy.

— Jak twoje samopoczucie? Czy możemy ci w czymś pomóc?

Teraz zwrócili się wprost do niego i nagle zrozumiał, że ta cała ich rozmowa nie ma nic wspólnego z regulaminowymi rozmowami pilotów i kosmodromem. Odpowiedział jednak tak jak zawsze. Nie umiał już inaczej.

— Tu Larks. Wszystko w porządku. Włączam silniki hamujące i schodzę spiralą. Odbiór.

— Oczywiście, odbieramy cię doskonale. Nie masz powodu do obaw.

Horyzont pojaśniał. Rakieta wychodziła ze stożka cienia. Czekał na sygnał do włączenia silników, lecz oni milczeli.

— Wychodzę z cienia — powiedział wreszcie. — Dajcie sygnał do hamowania. Odbiór.

— Nie rozumiem. Dlaczego on nie hamuje? — zapytał jeden z nich.

— Domaga się jakiegoś sygnału.

— A może on nas nie słyszy?

Larks pomyślał, że kpią z niego, kpią z kosmogatora, który zaprzepścił swój kosmolot, parujący zapewne w tej chwili w atomowym żarze Regulusa, i szukał ratunku na ich brudno-czerwonej planecie.

Odezwał się dopiero po chwili, gdy wiedział, że jego głos będzie już monotonnym głosem

pilota wywołującego stację namiarową.

— Tu Larks. Słyszę was dobrze. Dajcie sygnał. Odbiór.

— Jaki sygnał?

— Powtarzam: dajcie sygnał hamowania. Odbiór.

— Nie rozumiem. Po prostu włącz silniki hamujące.

— Teraz, za chwilę, już?

— Kiedy chcesz.

Nic nie rozumiał. Milczał chwilę, a potem tonem, który nie miał nic wspólnego z regulaminem, powiedział, co o nich myśli.

— ...Nie wyląduję przecież na ślepo na tej waszej planecie. Bez waszych namiarów nie znajdę nigdy kosmodromu — zakończył.

— Przecież uchwycimy twoją raketkę bumetonem, więc o co ci idzie? — zdziwił się Tod.

— Czym?...

— Bumetonem. Nie wiesz, co to jest bumeton? Jak mu to wytłumaczyć, Epsi?

— To taki ruchomy kosmodrom do odbierania rakietek z niższych warstw atmosfery — powiedział Epsi.

— Dobrze, ale jak mnie znajdzie ten... bumeton?

— O to się nie martw. Gwarantujemy ci, że cię znajdzie. Zasada odszukiwania raketki jest dość złożona w stosunku do poziomu wiedzy z twoich czasów...

— Moich czasów?...

— No tak. Nie sądzisz chyba, że ludzkość zatrzymała się w rozwoju po twoim odlocie.

— Zapewne technika poszła naprzód.

— Wejdz więc w atmosferę i o resztę się nie martw.

Larks nacisnął stery. Poczul siłę wgniatającą go w fotel, który automatycznie dopasował się do kształtu jego ciała. Horyzont planety, widoczny teraz jako białawy, wyraźnie zagięty łuk, w którym ginęły gwiazdy, przesunął się, zniknął z ekranu czołowego i pojawił się w ekranie umieszczonym ponad głową Larksa. Raketka mierzyła w tarczę planety. Potem usłyszał gwizd, wysoki wibrujący gwizd, i spostrzegł błękitny, subtelny płomień, pełzający od dziobu wzdłuż pancerza raketki. Obraz planety w ekranach zadrżał, zmatowiał i rozplynał się w jednostajną szarzyznę. Raketka weszła w górne warstwy atmosfery.

Słyszał wyraźne tykanie altimetru odmierzającego kilometry dzielące go od powierzchni planety. Patrzył na jego wskazówkę spadającą z wolna ku zeru. A jeśli nie zdąży? — pomyślał.

— Tu Larks, zostało jeszcze pięćdziesiąt kilometrów do powierzchni planety — powiedział w końcu.

— Tak, wiemy. — Odpowiedź przyszła natychmiast.

— Tego waszego... kosmodromu nie widzę...

— Jesteś już w nim.

— Nie żartuj, jeszcze tylko trzydzieści kilometrów...

— Epsi, słyszysz? On nam nie wierzy.

— Nie wymagaj od niego za dużo, Tod.

— Nie żartujcie, proszę was... przecież jeszcze chwila i uderzę tam w skały...

— Jesteś nad oceanem.

— Wszystko jedno... więc w ocean...

— On jest niecierpliwy, Epsi.

— To charakterystyczne dla ludzi tego okresu. Znalazłem to właśnie w mnemotronie... No

dobrze, zwiń już pole, Tod.

I nagle tykanie altimetru ustało. Wskazówka zawahała się przez moment, a potem spa-dła na zero. Larks nie poczuł nic, żadnego przyspieszenia towarzyszącego zazwyczaj hamo-waniu rakiety.

— Co się stało? — zapytał po chwili. — Altimetr wskazuje zero.

— W porządku. Wylądowałeś.

— Ale przecież nie było hamowania, przyspieszeń...

— Lądowałeś na bumetonie — odpowiedział Epsi, jakby to tłumaczyło już wszystko.

Kpią ze mnie — pomyślał i wiedział, że jest zły jak ktoś, komu usunięto krzesło przy siadaniu w przestrzeni grawitacyjnej.

— Więc co, u podświetlonego protona, mam teraz robić? — zapytał.

— Otworzyć właz i wyjść.

— Do oceanu?

— Jesteś w bumetonie.

— Słuchajcie, ludzie, zrozumcie. Ten wasz bumeton czy inne urządzenie. Nie znam tego. Tak, jestem niedorozwinięty, zapóźniony w rozwoju kosmonauta, który lata siedział w metalowym pudle, podczas gdy wy zdobywaliście tę planetę. Zrozumcie to.

I wtedy Larks usłyszał zmieszany gwar głosów. Słyszał wyraźnie kogoś nawołującego go po imieniu i jakiś bas dyskutujący o jego kosmolocie. Wtórowały mu głosy piskliwe, bełkoczące... Nagle wszystko ucichło.

— Otwieraj właz — usłyszał. To był głos Toda.

— Co... co to było? — zapytał.

— Nic ważnego. Chcieli cię usłyszeć i na siłę wpakowali się w kanał.

— Kto?

— No, cała reszta... Nieważne. Otwórz wreszcie ten właz. Nie rozumiem, na co cze-kasz.

— Żal mu opuszczać rakiety. Chęć posiadania, to było dla nich charakterystyczne... jest to w mnemotronach...

— Nie u nich, to było wcześniej, Tod.

Larks docisnął hełm skafandra i oparł dłonie o dźwignię śluzy. Wahał się, ale trwało to moment. W końcu niczym nie ryzykuję — pomyślał i nacisnął dźwignię. Śluzy rozsunęły się bezszelestnie. Nie usłyszał nawet świstu powietrza powodowanego wyrównywaniem ciśnienia. Wyjrzał przez otwartą śluzę, ale na zewnątrz ciemność była zupełna, czerń większa niż znana mu wieczna czerń Kosmosu.

— Słuchajcie, gdzie jestem? Słyszycie mnie? Gdzie jestem? — krzyczał coraz głośniej.

— W bume... — zaczął Tod, ale Epsi przerwał mu w pół słowa.

— Jesteś na kosmodromie.

— Tu jest ciemno. Nic nie ma.

— Przygotowałeś oświetlenie, Tod?

— Zapomniałem.

— Trudno, naświetlimy ściany. Pochwała ci się za to nie należy.

— Uczyłem się instrukcji obsługi, ale tam nic o oświetleniu nie było.

— Kiedyś to się rozumiało samo przez się — powiedział Epsi.

Larks nie rozumiał. Pomyślał, że anabioza, w której trwał na pokładzie kosmolotu, po-zostawiła w tkankach jego mózgu jakieś ślady. Chciał im to powiedzieć, ale nagle spostrzegł, że na zewnątrz wstaje fioletowy świt, że wszystko, co jest poza śluzami, staje się światłem. Rakieta stała się czymś, co świeciło, i otoczona była ze wszech stron fioletową poświatą.

— Jest już jasno, Larks, prawda?

Zwlekał chwilę z odpowiedzią, ale Epsi czekał na nią.

— Tak, jest już jasno — powiedział.

— Czy ten kolor światła ci odpowiada?

— Jeśli wam odpowiada...

— Hm... to niezupełnie tak, ale w końcu nieważne. Wyjdź z rakiety.

Wyszedł na zewnątrz, osunął się po klamrach włazu i stanął na elastycznej, uginającej się powierzchni. Przypomina to podmokłą łąkę — pomyślał i nagle uświadomił sobie, że po raz pierwszy na tej planecie pomyślał o Ziemi.

— Wyszedłem — powiedział zdecydowanie — to, na czym stoję, ugina się. Czy utrzyma mój ciężar?

— Nie ma obawy. Stoisz na polu siłowym.

— Na czym?

— Na polu siłowym. Jest elastyczne, ale wytrzymalsze od każdego materiału, który znalazłeś na Ziemi.

— Kiedy wyjdziecie po mnie?

— Zabieramy cię, ale nikt po ciebie nie wyjdzie.

— Nie rozumiem... dlaczego?

— Powiedzmy, że takie są u nas obyczaje.

— Dziwne. Wiele zmieniło się od mego odlotu z Ziemi.

— Za wcześnie jeszcze, byś mógł o tym sądzić.

— Może...

— Na razie możesz zdjąć hełm. Przygotowaliśmy dla ciebie ziemską atmosferę.

— Jak to dla mnie?

— Po prostu zsyntetyzowaliśmy ją według najlepszych ziemskich wzorów. Specjalnie dla ciebie.

— A wy?

— Nam nie jest to potrzebne — powiedział Epsi i umilkł.

— Niepotrzebne?

— On tego nie rozumie, Epsi — wmieszał się Tod.

— Nie może rozumieć.

Larks nie zastanawiał się dłużej nad tym, co powiedział Epsi. To wszystko wydaje się nierealne — pomyślał. — Jest w każdym razie zbyt skomplikowane, bym pojął to od razu. W ich zachowaniu jest coś obcego.

— Zdejmuję hełm - powiedział głośno. Zsunął hełm i poczuł zapach lasu. Było w tym zapachu coś jeszcze. Przez chwilę nie mógł sobie uświadomić, skąd zna ten zapach, aż wreszcie pojął, że jest to powietrze znad górskiego strumienia rozbryzgującego się o głązy porośnięte mchem.

Zrobił kilka głębokich wdechów. Tod usłyszał to widocznie.

— Dobra robota, co?

— Wolę powietrze bezwonne — powiedział Larks. — Takie jak to tutaj zostawiliśmy na Ziemi. To nie jest powietrze dla kosmonautów. Jeżeli wrócę na Ziemię, będę nim oddychał, jeżeli nie... wolę bezwonne.

— Nieważne — powiedział Epsi. — Przenosimy cię do twojej kabiny. — I wtedy Larks spostrzegł, że rakieta zasnuwa się fioletową mgłą, kontury jej zacierają się i giną. Chwilę ogarniała go fioletowa poświata, a gdy znikła, spostrzegł, że jest w kabinie kosmolotu.

— To... to przecież kabina mego kosmolotu.

— Masz rację.

— Dokładnie, dokładnie moja kabina. Nawet w autolektorze widzę wiadomości o Regulusie, które przesłuchiwałem... wtedy... przed opuszczeniem kosmolotu.

— Wszystko jest na swoim miejscu — powiedział Epsi.

— Więc jestem w moim kosmolocie?

— W jego kopii, dokładnej kopii ograniczającej się do kilkunastu pomieszczeń...

— Ale przecież kosmolot spłonął, spłonął w atomowym ogniu Regulusa. Nie mogłem zmienić toru jego lotu i opuściłem go... Słyszysz, Epsi, on spłonął... Jak mogę znajdować się we wnętrzu kosmolotu, którego nie ma...

— Powiedziałem już, to tylko kopia. W pewnym sensie byliśmy w jego wnętrzu, zanim spłonął, i zdobyliśmy informację potrzebną do jego odtworzenia. Gdzieś musisz przecież przebywać... tu, na tej planecie. To było najprostsze i najwygodniejsze rozwiązanie. Mogli-śmy oczywiście sami coś wymyślić, ale obawiam się, że popełnilibyśmy przy tym wiele błędów. Nie jesteśmy znawcami twoich czasów...

— Więc to nie jest kosmolot?

— Nie. Spójrz w ekrany. Są szare, gwiazd w nich nie widać.

— Rzeczywiście, gwiazd w nich nie ma.

— Moglibyśmy oczywiście odtworzyć twój kosmolot ze wszystkimi szczegółami, zasymulować pracę silników i ruch gwiazd w ekranach, ale nie o to przecież idzie. Twój lot się zakończył. Twój kosmolot nie istnieje. Jesteś na planecie krążącej wokół Regulusa, a to jest sztuczne środowisko, twoje środowisko, z którego najłatwiej będzie ci się dostosować do warunków nowej cywilizacji ludzkiej, prawdziwej cywilizacji.

— Myślisz, że on coś z tego zrozumiał, Epsi? — zapytał Tod.

Epsi nie odpowiadał. Larks rzeczywiście nie rozumiał, ale w tej chwili nie przyznałby się do tego za żadną cenę. Patrzył na znajome sprzęty, na łóżko pamiętające kształt jego ciała, na niewielki wideogram, na którym wychodził z włazu rakiety, zrobiony wtedy, gdy wrócił ze swego pierwszego lotu wokół Księżyca. Wszystko było tu jak tam, w kosmolocie.

Chwilę stał nieruchomo, a potem wyszedł do dyspozytorni. Pulpit sterowania, odtworzony we wszystkich szczegółach, był ciemny i martwy. Nie płonęło nawet światło kontrolne stosu, które płonie zawsze od chwili uruchomienia kosmolotu, w czasie wszystkich jego podróży, aż do chwili, gdy jego wrak, skierowany w tarczę Słońca, wyparuje w jego płonących gazach. Spojrzał w ekrany. Były matowoszare, wszystkie. Przeszedł wzdłuż nich, podszedł do drzwi prowadzących do głównego szybu, chciał je otworzyć, lecz nie ustąpiły.

— Tam nie ma już nic — powiedział Epsi. — Nie odtwarzaliśmy dalszych segmentów kosmolotu.

— To... to wszystko odtworzyliście bezbłędnie..., idealnie. Ileż informacji musieliście przekazać z kosmolotu, by było to możliwe.

Larks stanął przed drzwiami i patrzył w ich połyskliwą szarą powierzchnię.

— Zapewniam cię, że mieści się to swobodnie w granicach naszych możliwości.

Larks stał jeszcze chwilę, a potem wolno, nie odwracając się i nie zmieniając tonu głosu, zapytał:

— Powiedz, Epsi, kim wy naprawdę jesteście?

— Ludźmi.

— Ludźmi? Ale przecież to niemożliwe, by przez te lata, nie tak wiele znowu lat, gdy trwałem w anabiozie, postęp był tak ogromny.

— To nieważne, Larks.

— Nie wierzę. Nie wierzę. Słyszysz?! Nie jesteście ludźmi. Oszukujecie mnie...

— Więc kim według ciebie jesteśmy?

— Mieszkańcami tej przeklętej brunatnej planety. Przejrzałem was, słyszysz?! Przejrzałem! — krzyczał i słyszał podźwięk własnego głosu pod kopułą dyspozytorni.

— Mogliśmy to przewidzieć, Epsi — powiedział Tod.

Epsi milczał chwilę.

— Nie masz racji, Larks — powiedział w końcu. — Spróbuję cię przekonać.

— Tu słowa nie wystarczą.

— Jesteś zarozumiała, Larks, typowy przedstawiciel swojej rasy. Czy sądzisz, że obca cywilizacja starałaby się przekonywać ciebie o czymkolwiek?

— Nie wiem. Zależałoby to zapewne od tego, do czego byłbym im potrzebny.

— Logiczne — powiedział Tod.

— Być może — zgodził się Epsi. — Spróbuję przekonać cię inaczej.

— Poczekaj, sam się przekonaj. Teraz jest pod działaniem silnej emocji i trudniej percy-puje.

— Mimo to spróbuję. Dlaczego uważasz, że spotkanie z obcą cywilizacją na tym globie jest bardziej prawdopodobne niż spotkanie z ludźmi?

— Wasza technika nie jest techniką ludzi...

— Odpowiedz na pytanie.

— Zgoda. Uważam, że spotkanie ludzi jest bardziej prawdopodobne, ale to byliby ludzie, nie... głosy.

— Jak mam to rozumieć?

— Zwyczajnie. Gdybyście byli ludźmi, powitałby mnie normalny kosmonauta w skafandrze i przewiózł zwyczajną małą raketką do bazy, prawdziwej bazy, białej kopuły wpraso-wanej między skały.

— Bumeton upraszcza to wszystko — powiedział Tod.

— Ale to nie jest lądowanie. To nie jest nic... Kosmonauta traktowany jest przez was jak białkowa przesyłka.

— Przesadzasz.

— Ani trochę.

— A baza... Po co ci baza? — wtrącił się Epsi. - Przecież to, co przygotowaliśmy dla ciebie, jest wygodniejsze. Znasz tu każdy kąt.

— Ale to jest klatka... klatka, rozumiecie?

— A czymże był twój kosmolot w próżni?

— Nigdy klatką. Mogłem nim sterować... mogłem wreszcie wyjść na zewnątrz i wystrzelić się w Kosmos...

— Jeśli ci o to idzie, dorobimy tu wyjście. Będziesz mógł w skafandrze spacerować po planecie... będziesz miał raketkę do lotów zwiadowczych... Chcesz?

Larks nie odpowiedział. Patrzył w matowe ekrany dyspozytorni, a właściwie jej kopii, a potem zapytał:

— Powiedzcie, co naprawdę chcecie ze mną zrobić?

— Zrobisz, co zechcesz, oczywiście w pewnych rozsądnych granicach.

— Do czego jestem wam potrzebny?

— Nie rozumiem...

— No wam, obcym istotom o odmiennej strukturze...

— Niestety, on nie wierzy, że jesteśmy ludźmi, Tod — powiedział Epsi. — I nie wiem, czy zdołasz go przekonać. To będzie niewykonalne.

— Ależ to nic prostszego. Przyjdźcie do mnie. Słyszycie?

— Zobacysz nas na ekranie — Epsi odezwał się pierwszy. — To jestem ja, Epsi.

Wielki ekran czołowy zapłonął i Larks zobaczył w nim wysokiego mężczyznę w dziwnym, mieniącym się stroju, spacerującego wolno wzdłuż szpaleru palm. W dali, za żółtą plażą pieniało się morze.

— Ależ... ależ to jest Ziemia.

— Tak, to jest Ziemia...

— Rozumiem, widziałem cię tam, na Ziemi, a teraz przyjdiesz tu, do dyspozytorni, zobaczę twoją twarz i będę już wiedział, że jesteś człowiekiem, bo byłeś na Ziemi... Czy tak?

— Niezupełnie.

— Nie rozumiem:

— Nie przyjdę do ciebie do dyspozytorni ani teraz, ani jutro, nigdy. Nikt do ciebie nie przyjdzie.

— Dlaczego?

— Przypuszczam, że mi nie uwierzysz. Nie istnieje nic takiego, co mogłoby do ciebie przyjść.

— Nie... nie rozumiem... nic nie rozumiem... Ja... ja chyba już nie myślę sprawnie jak człowiek... Ta anabioza... Nic nie rozumiem.

— Uspokój się. Spróbuję ci wytłumaczyć...

— Chwileczkę — przerwał Tod. — Miałeś jeszcze mnie zobaczyć w ekranie.

— To w tej chwili nieważne — Epsi nie pozwolił mu dokończyć.

— Dla mnie ważne, Epsi. On jest człowiekiem. Chciałbym, żeby ktoś powiedział, że mnie widział.

— Możesz się oglądać przy pomocy transformatorów.

— To nie to samo, Epsi.

— Prześlij się do psychoanalizatorów. One przekonają cię, że istniejesz naprawdę...

— Ja nie wątpię, tylko...

— Nie przerywaj. Zajmujemy się teraz Larksem.

— Dlaczego on chce, żebym zobaczył ten telewizyjogram właśnie z nim? — zapytał Larks.

— Nieważne. Chciałeś wiedzieć...

— Tak. Chcę wiedzieć.

Larks przeszedł do pulpitu sterującego i siadł w fotelu kosmogatora. Patrzył w ekran. Palmy się skończyły i morze było coraz bliżej. Mężczyzna szedł wprost ku falom. U jego stóp biegło coś, co Larks początkowo wziął za psa, lecz gdy przypatrzył się temu bliżej, zrozumiał, że jest to automat, automat, jakiego nigdy jeszcze nie widział.

— A więc, Larks, mniej więcej w sto dwadzieścia lat po twoim odlocie, sprawdziliśmy to, ludzkość zrealizowała techniczne przenoszenie się w czasie...

— W czym?

— W czasie, oczywiście w przeszłość. Można się było przenieść do dnia wczorajszego, miesiąc, sto lat, tysiąc w przeszłość.

— Sądzicie, że jest to możliwe?

— W twoich czasach niewiele ludzi w to wierzyło. Ale dwieście lat potem rozpoczęły się podróże w czasie. Natomiast z przestrzenią ludzkość radziła sobie gorzej. Prędkość światła ogranicza możliwość eksploracji człowieka przy pomocy kosmolotów. Ponadto kosmonauta nie może

sto lat trwać w anabiozie. Tak więc sposób podróżowania, który ty stosujesz, nie miał wielkich perspektyw. Jak pamiętasz, były nawet teorie dotyczące liczby gwiazd, które może zbadać człowiek ze względu na maksymalny czas trwania anabiozy...

— Tak, oczywiście...

— To też zostało przezwyciężone. Ludzkość nauczyła się przysyłać potężne ilości informacji z prędkością światła, w postaci wiązki fal elektromagnetycznych...

— I co z tego?

— Możliwości przesyłu informacji stały się wystarczające, by przysyłać w ten sposób całą informację, jaka stanowi osobowość człowieka.

— Co... osobowość?

— Jest to technicznie trudne, ale możliwe. Tam, na Ziemi, ekstrahuje się informacje z mózgu człowieka i wysyła się je w postaci wiązki fal elektromagnetycznych w Kosmos.

— I wtedy człowiek przestaje istnieć? — zapytał Larks.

Epsi nie odpowiedział. Larks bezmyślnie patrzył w ekran, w którym człowiek doszedł do twardej, zmoczonej pianą fal warstwy piasku, odciskając w niej ślady swych stóp.

— Nie... - Epsi mówił jakby z wysiłkiem — nie przestaje istnieć. Wędruje w Kosmosie jako niezmienna wiązka fal. To trwanie, w którym czas dla niego nie istnieje.

— Nie istnieje, aż fala dojdzie do transformatorii... — dodał Tod.

— Do czego?

— Stacji przetwarzającej. Jesteś na jednej z takich stacji.

— Tu zgrupowane są urządzenia, w których informacja może się przetwarzać. Urządzenia te grupują całą informację, zapamiętują ją... i człowiek zaczyna myśleć. Jego osobowość przechowywana jest w transformatorii tak długo, jak długo jest to potrzebne.

— Więc wy... wy jesteście osobowościami...

— Nie, Larks — Epsi powiedział to twardo — my jesteśmy ludźmi, ludźmi — rozumiesz. A czy sekwencje naszych doznań przewodzi białko, czy są to impulsy w sieci krystalicznej — to nie jest istotne.

— Ale przecież was nie ma...

— I co z tego. Widzimy przez receptory automatów, sterujemy automatami, które wykonują każde nasze polecenie, możemy badać planety, odkrywać nowe słońca, dotrzeć do najdalszych mgławic...

— Nie, to zbyt nieprawdopodobne. Nie wierzę wam. Zresztą, jeżeli nawet to jest prawdą — Larks zawahał się przez moment — to co z tego?...

— Potem wracamy na Ziemię. — Odpowiedź Epsi była natychmiastowa. — Wracamy na Ziemię i nasza osobowość jest modyfikowana informacją uzyskaną w Kosmosie, pamiętamy to wszystko, cośmy widzieli... pamiętamy wyniki badań...

— I jeszcze nie powiedziałeś mu tego, co stanowi istotę naszych podróży, Epsi, nie powiedziałeś mu o zgodności czasowej.

— Powiem mu o tym. Widzisz, Larks, taka eksploracja Kosmosu niewiele byłaby warta, gdybyśmy wracali na Ziemię dziesiątki czy setki lat później do innych, niezrozumiałych dla nas czasów, takich, jakimi czasy naszej cywilizacji są dla ciebie.

— A jakież macie inne wyjście?

— Przesunięcie czasowe w przeszłość.

— Nie rozumiem.

— Wysyłamy najpierw transformatorii do wszystkich planet wokół układu słonecznego.



Wysyłamy przy pomocy zwykłych kosmolotów, ale kosmoloty te cofamy w czasie o tysiące lat, tak że stacje te przemierzają Kosmos przed naszym urodzeniem, przez wieki całe, a potem czekają na nas na wybranych planetach. Wtedy dopiero podróżujemy. Jeśli odległość jakiejś gwiazdy od Ziemi wynosi dziesięć lat świetlnych, cofamy się w czasie o dwadzieścia lat, wypromieniowujemy się jako wiązka fal ku tej gwiazdzie, przybywamy tam po dziesięciu latach, prowadzimy tam badania, dziesięć lat na powrót i wracamy dokładnie w nasze czasy...

— W ten sposób można by prowadzić badania najdalszych mgławic. Ale ja wiem, że to nieprawda... Nie oszukacie mnie.

— Oczywiście przesyłanie takie jest możliwe przy wykorzystaniu po drodze transformatorów przesyłowych, bo fala informacji osobniczej ze względu na zakłócenia powinna trafić do transformatora co jakieś dziesięć lat.

— Więc wy...

— My zmierzamy do gwiazd odległych od Słońca o setki lat światła. Ta transformatoria na Regulusie jest dla nas tylko stacją przesiadkową. Spośród nas nikt jeszcze nie wraca na Ziemię. W drodze powrotnej pojawimy się tu za sto i więcej lat.

Larks podniósł głowę i wtedy znowu ujrzał ekran. Na ekranie w zielonym sarkofagu spoczywał człowiek, który przedtem szedł ku morzu. Oczy miał przymknięte, a nad nim pochylały się, lekko falując, przedziwne twory. W tyle za nim płonęła różowa poświata, przybierając chwilami intensywnie czerwony odcień. Larks spostrzegł, że zmiany te są rytmiczne.

— Patrzysz w ekran? — zapytał Epsi.

— Tak, tam to ciało w sarkofagu, a nad nim te automaty...

— To moje ciało w anabiozie. Widzisz przygotowania do emisji osobowości w Kosmos. To nieistotne szczegóły — dodał Epsi i ekran zszarzał.

Larks wstał i rozpoczął spacer tam i z powrotem wzdłuż ekranów. Nagle usłyszał głosy.

— Spójrz, prawdziwy człowiek, tutaj na Regulusie.

— To jeszcze jeden fantom stworzony w transformatorii... Nie wiercie w to. To fantom! Urządzenie okłamuje nas — głos był przenikliwy, ostry.

— Człowiek, prawdziwy człowiek — ciągnął pierwszy głos.

— Rusza się, chodzi. Może poruszać ręką, zamiast sterować automatem.

— Widzicie, w ten sposób też można przemierzać Kosmos.

Nagle głosy umilkły.

— Chcieli cię zobaczyć — powiedział Tod. — Oni widzą albo wideotronię, albo automaty. Ty jesteś dla nich atrakcją.

— A kim... kim oni są?

— Osobowości eksplorujące Kosmos.

I wtedy nagle Larks zatrzymał się.

— Dość... dość już tego — wyszeptał. — Nie oszukujcie mnie. Zaczynam rozumieć to przedstawienie. — Cofnął się dwa kroki, aż plecy jego dotknęły ekranów. — Rozumiem... trzymacie mnie tu w klatce i obserwujecie... obserwujecie człowieka. Macie już wideogramy z Ziemi, a teraz chcecie wiedzieć coś o jej mieszkańcach. Wyobrażacie sobie ich tak, jak tamtego mężczyznę w ekranie... Prawdziwy człowiek i nieprawdziwe szczegóły...

— Ale po co, w jakim celu mielibyśmy to robić? — przerwał mu Epsi.

— Bo podoba wam się Ziemia... jej zieleń, jej niebo, morze... Nie, nic z tego. Niczego nie dowiecie się ode mnie. Nie ułatwię wam zdobycia tej planety..., nigdy...

— O czym on mówi, Epsi? — Głos Toda docierał do Larksa zniekształcony.

— Nie oszukacie mnie... wy, kosmiczne twory.

— On bredzi, Epsi. Powinniśmy działać.

— Te głosy... te bajeczki o wędrówkach w czasie i przestrzeni. Zginę, wiem, że zginę, ale mówię wam, nie dostaniecie tej planety.

— Ależ Larks... — Epsi bezskutecznie starał się mu przerwać.

— Nie dostaniecie. Mimo całej waszej techniki, waszych pól siłowych, waszych bume-tonów. Nie wiecie jeszcze, co to jest człowiek!

— Jesteśmy ludźmi! — Epsi krzyknął to z jakąś desperacją.

— Nie kłam. Pokaż twarz.

Potem ciszej już i niezupełnie pewnie powiedział:

— No to... przyjdź tu.

— Wiesz, że nie możemy.

— Nie możecie? Wy, którzy kopiujecie kosmoloty, możecie skopiować człowieka. Przyjdźcie tu jako kopie. A może właśnie ja mam być tym wzorem, matrycą do powielania, i teraz...

— Cóż wymyśliłeś znowu?

— Po prostu przechodzę teraz testowe badania. A potem będziecie kopiować setki, tysiące takich jak ja... i wysłać na Ziemię.

Larks zamilkł. Epsi odczekał jeszcze chwilę, jakby spodziewając się, że Larks powie coś jeszcze, ale Larks milczał.

— Włącz biotrony, Tod — odezwał się wreszcie Epsi.

Larks usłyszał wysoki, subtelny ton i wydawało mu się, że ton ten wydają ściany kopii kosmolotu. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie zdążył.

— Ten archiwalny kosmonauta jest już wyłączony — powiedział Tod. — Doskonała kopia, jedyna w swoim rodzaju. Trzeba by ją tylko nieco przestroić...

— Nie, Tod. Tego nam robić nie wolno. To jest człowiek, prawdziwy, pełnowartościowy człowiek, odtworzony idealnie według oryginału, który spłonął w atmosferze... Nie wolno nam tego robić, bo my przecież także jesteśmy ludźmi.

Zbudził się i czuł pustkę w głowie. Potem przypomniał sobie wszystko. Wtedy usłyszał głos:

— Przyjdzie do ciebie człowiek. — To mówił Tod.

— Tu, do kosmolotu?

— Nie, otwórz drzwi do szybu.

— Ależ tam nic nie ma.

— Zrób to jednak.

Larks podszedł do drzwi i napał na nie. Poddały się lekko. Owiał go ciepły podmuch, który był fioletową mgłą. Na chwilę wszystko zniknęło, a potem opar zamykający korytarz rozwiął się i Larks wszedł na niewielką prostokątną platformę, zawieszoną wśród spiral dziwacznej konstrukcji. Czuł, jak platforma ugina się lekko pod jego ciężarem, lecz dopiero po chwili zrozumiał, że stoi na polu siłowym. Wokół, w wielkiej sklepionej hali, której sklepienia domyślał się tam, gdzie spirale nikły w mroku, nie spostrzegł niczego, co odbiegałoby od monotonii spiralnych konstrukcji. Błękitnawe światło przesączało się z dołu i gdy wyjrzał poza krawędź platformy, zobaczył podstawy spiral niknące w niebieskawej mgle. Stał chwilę nieruchomo, a potem chciał zawrócić do korytarza, którym przyszedł. Wtedy właśnie jedna z najbliższych spiral zadrgała tworząc połyskujący walec, usłyszał szum, cichy, na granicy słyszalności niemal, spirala rozpękła się i przy jego platformie stała

rakietka. Nie była podobna do raket, jakie znał z Ziemi, ale wiedział, że to jest rakietka, i jej wydłużone kształty świad-czyły, że służy do lotów w atmosferach planet. Właz był otwarty. Chciał przejść śluzy, ale wtedy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

— Ja wejdę pierwszy — powiedział stojący za nim mężczyzna — fotel pilota jest głębiej, a pilotem jestem właśnie ja. Tam w środku jest ciasno i z trudnością można się prze-cisnąć między przrządami — wyjaśnił.

Potem Larks widział już tylko jego plecy, szerokie plecy kosmonauty w błyszczącym skafandrze, znikające w otworze włazu. Wszedł za nim i zajął wolny fotel, cofnięty nieco poza fotel pilota. Tamten siedział już i ponad jego ramieniem Larks patrzył w nieliczne dzi-waczone, obce wskaźniki, jarzące się zielonkawym światłem, rozrzucone na ciemnym prosto-kącie pulpitu sterowania. Ale pilot był człowiekiem, prawdziwym człowiekiem. A może to tylko zręczna kopia — pomyślał Larks.

— Startujemy ku Tarancie — powiedział pilot.

— To druga planeta Układu?

— Zgadza się.

— Długi to będzie lot? Niezbyt tu wygodnie w tej kabinie — dodał Larks chcąc uspra-wiedliwić jakoś swą ciekawość.

— Liczy się tylko lot w atmosferze planety. Przez Kosmos idziemy nadszybkością. Czas prawie się zatrzymuje i nawet nie spostrzeżesz momentu, gdy osiągniemy planetę.

— Relatywistyczne spowolnienie czasu?

— Tak. Z tym, że rozpędzamy i hamujemy rakietkę polem grawitacyjnym. Dlatego też nie odczujesz żadnych przyspieszeń.

— W polu grawitacyjnym wszystkie ciała spadają jednakowo.

— O, właśnie. Prawo to odkryto na Ziemi w epoce, z której pochodzisz.

— Dobrze kilka wieków wcześniej.

— Teraz, gdy potrafimy przenosić się w czasie kilka wieków w tę czy w tamtą stronę, to nie ma znaczenia...

— Myślisz?

— Oczywiście, Larks. Ja urodziłem się kilkaset lat po tobie i co z tego? Podróżujemy razem jedną, niewygodną rakietką. Wierzysz chyba wreszcie, że istniejemy naprawdę.

— Jednak jesteście inni, wy... ludzie z przyszłości. Tak was chyba należy nazywać.

— Nie wiem... może. Nasz świat jest w końcu inny od waszego.

— Pola siłowe, przenoszenie w czasie, transmisje psychiki.

— Nie tylko to...

— A co więcej?

— Nieważne. Wychodzimy z nadszybkości. Taranta przed nami.

Larks spojrział w ekran i zobaczył w nim zielonkawą planetę, której tarcza rosła niemal w oczach. W swych dotychczasowych lotach widział wiele różnych planet, których tarcze rosły z wolna, wypełniając czołowe ekrany gwiazdolotów, ale zauważalnego wzrostu średni-cy kątowej planety nigdy nie obserwował. Zrozumiał nagle, z jak ogromną szybkością poru-sza się ich rakietka.

— Właściwie po co tam lecimy? — zapytał.

— Nie mówili ci?

— Nie. Nie pytali nawet, czy chciałbym lecieć.

— Automaty wykryły tam coś interesującego.

— Co takiego?

— Trudno powiedzieć. Relacje ich były mgliste.

— Mgliste... relacje waszych automatów. Ale przecież one chyba nie są zdolne do mgli-stych relacji.

— Tym bardziej nas to dziwi.

— I stąd ta wyprawa.

— Tak. Pierwsza od lat wyprawa ludzi na planetę.

— Uważacie Tarantę za nieciekawą planetę?

— Wręcz przeciwnie. Starannie ją badają nasze automaty. Po prostu w naszych czasach nie ma zwyczaju wysyłać ludzi na eksplorację znanej planety z lądowaniem, spacerami w skafandrze po jej powierzchni i tym wszystkim, co, jak słyszałem, stanowiło najwyższą atrakcję dla starożytnych kosmonautów... W tej postaci człowiek odkrywa tylko nowe planety.

— Z tą atrakcją to przesada — powiedział Larks i przypomniał sobie, jak kiedyś, jeszcze jako młody pilot, z wolna topił się w bagnie cywilizowanej planety Wenus, jak błoto zalewało szybę jego skafandra i biegały po niej pająkopodobne owady o skomplikowanej łacińskiej nazwie.

— Zazwyczaj steruje się automatami z pojazdu krążącego po ślepej orbicie wokół badanej planety — powiedział pilot.

— A ciebie jednak wysłali.

— Ciebie też. Tym gorzej dla nas.

— Początkowo myślałem, że chcą dla mnie znaleźć jakieś zajęcie... i wymyślili ten lot na Tarantę. Lot z prawdziwym człowiekiem, bo ty jesteś prawdziwym...

— Znaleźliby ci inne zajęcie albo najprościej wprowadziliby cię w anabiozę. Taki lot wymaga od nich sporo uwagi.

— Więc dlaczego mnie wzięli? Nie znam waszych automatów, sposobu prowadzenia badań...

— Od tego jestem ja — powiedział pilot.

— Więc dlaczego...

— Bo musi lecieć dwu ludzi. Tak jest optymalnie.

— Ale to jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego polecałem ja?

— Byłeś po prostu gotowy. Byłeś jedynym gotowym człowiekiem.

— Nie rozumiem — Larks wychylił się z fotela, by zobaczyć twarz pilota, ale była ona bez wyrazu. Pilot patrzył w ekran. — Nie rozumiem — powtórzył.

— Nie szkodzi. Uprzedzili mnie o tym.

— O czym?

— Że nie będziesz rozumiał. To w niczym nie przeszkadza.

— Nie przeszkadza, w czym?

— W eksploracji Taranty. Oni mają rację dodał jako wyjaśnienie — oni zawsze mają rację i to na pewno nie jest ci potrzebne do przeprowadzenia badań.

— Ale ja chcę wiedzieć... po prostu wiedzieć.

— Po co? Jeżeli ci to jest niepotrzebne.

— Jak to? Chcę wiedzieć — to normalne. Nie chcę działać na ślepo, nic nie rozumieć z tego, co robię. Nie jestem automatem.

— Nie bardzo pojmuję, o co ci chodzi... Jesteś człowiekiem, ale co z tego...

Larks pomyślał, że pilot kpi z niego, i umilkł. Wsunął się głębiej w fotel i czekał. Pilot nacisnął klawisz na pulpicie sterowania i wzrost tarczy Taranty w ekranie ustał. Natomiast z wolna zaczęła wirować. Rozumiał, że wytworzone w silniku grawitacyjnym pole, setki tysięcy razy silniejsze od ziemskiego, w ciągu krótkiej chwili wstrzymało ruch rakiety ku plane-cie. Wiedział o tym, lecz nie mógł w to uwierzyć

— Jak daleko jest planeta? — zapytał.

— Wchodzimy w jej atmosferę — powiedział pilot. — Muszę odszukać w przybliżeniu właściwe miejsce. Możemy z tym mieć kłopoty.

— Nie znasz współrzędnych.

— Niezupełnie dokładnie. Automaty, które wróciły, nie były w zupełnym porządku:

— Nie działały?

— Gorzej. Działały źle. Ich pamięć została uszkodzona, częściowo starta...

— Wskutek czego?

— To właśnie mamy zbadać.

— Więc jak znajdziemy to miejsce?

— Mamy przybliżone współrzędne... a poza tym może któryś z automatów będzie się jeszcze odzywał.

— One tam zostały?

— Prawie wszystkie.

— I mamy je zabrać?

— Po co? Ten cybernetyczny szmelc?! Niech tam zostanie. Zbadamy, co tam właściwie się stało.

Zieleń planety zniknęła z ekranu i weszli w atmosferę, przebijając cienkie warstwy białych chmur. Opary rozstępowały się na wieleset metrów przed nimi i Larks wiedział, że to pole siłowe rozrywa te chmury tworząc tunel, w którym opada rakietka. Wreszcie zobaczył powierzchnię planety. Pilot też ją spostrzegł. Przycisnął jakąś dźwignię i rakietka zawisała nieruchomo.

— Atmosfera planety nad nami. Koniec lotu — powiedział.

— Dlaczego nie opadamy?

— Zrównoważyliśmy grawitację planety. Silnik naszej rakiety pracuje. Spójrz na chmury. Opływają nas szerokim łukiem z obu stron i znowu się łączą.

— A ta szara płaszczyzna w dole to równina?

— Ocean.

— I mamy w nim lądować?

— Nie. Musimy znaleźć w nim obiekt.

— To chyba nic trudnego. Jeśli znamy jego współrzędne...

— Obiekt, który się przesuwa.

— Jak to przesuwa?

— Nie jest to jedyna z zaskakujących cech tego obiektu — powiedział pilot. Wykonał obrót wraz z fotelem i wtedy mały, szary dotychczas ekran, umieszczony na wysokości jego głowy, rozjarzył się błękitną poświatą. W jego rogu rozbłyskał i przygasał jasny punkt.

— Widzisz, jakiś automat nas wzywa — powiedział.

Rakietka zachwiała się w siłowym polu swego silnika, a potem zaczęła spadać. Pilot wyrównał jej lot tuż nad oceanem, tak że Larks widział brunatne fale przelewające się kilka-dziesiąt metrów niżej. Potem ustawił rakietkę tak, że rozbłysk zajął centralną pozycję w ekranie. Larks nie odczuł żadnego przyspieszenia, tylko grzbiety fal rozmasały się w brudno-brunatną płaszczyznę.

— Zaraz zobaczysz ten obiekt — powiedział pilot.

— Dlaczego lecimy tak nisko, tuż nad oceanem?

— Żeby dolecieć.

— Nie rozumiem...

— Jedna z raket zwiadowczych leciała wyżej i nie doleciała. Jej szczątki znaleźliśmy później

w oceanie.

— Co się z nią stało?

— Przestała nagle nadawać sygnały. Prawdopodobnie została rozerwana w atmosferze.

— To... to również nam może się zdarzyć?

— Może.

— I lecimy sami, jedną tylko rakieta...

— Czyżbyś się bał?

— Nie. Tylko wydaje mi się, że niepotrzebnie zbyt dużo ryzykujemy. Ryzykujemy w końcu nasze życie.

— Ale to przecież nieważne.

— Tak sądzisz?

— Oczywiście. Ty, Larks, ciągle dziwaczysz. Uprzedzono mnie o tym, ale nie przypuszczałem, że to będzie aż tak wyglądało. Różnicie się od nas zasadniczo, wy, ludzie z tamtych epok.

Larks chciał coś powiedzieć, ale nagle zobaczył wyspę. Wystawała niewiele z oceanu. Jej zarys tworzył owal równomiernie uwypuklony ponad powierzchnią wody i wtedy zrozumiał, że to właśnie jest ich obiekt.

— Jest, widzisz — chwycił pilota za ramię. Wygląda jak wynurzony częściowo wieloryb.

— To twór sztuczny. Wiem o tym z informacji przekazanych przez automaty. Dlatego jest tak geometrycznie prawidłowy.

— Lądujemy na nim?

— Nie, nie powtórzymy błędów automatów. Zawisniemy obok tuż nad wodą i przedostaniemy się tam po polu siłowym,

— Po polu siłowym?

— Tak będzie bezpieczniej.

Pilot poruszył stery i rakieta, przesuając się tuż ponad falami, dotarła w pobliże wyspy. Kilkunastometrowy pas brunatnej wody falował między rakieta a wyspą.

— Włączam pole siłowe — powiedział pilot.

Powierzchnia wody jakby zmatowiała i znieruchomiła w pasie kilkunastometrowej szerokości, łączącym rakieta z wyspą.

— Utworzyłeś pas nieruchomej wody, którego nie zalewają fale.

— Zwykłe pole siłowe. No, możemy wychodzić.

— Tak prosto na wodę?

— Oczywiście.

Zatrzasnęli hełmy skafandrów i włąz odskoczył z chrzęstem. Larks pierwszy przekroczył włąz. Zawahał się przez moment, a potem zeskoczył wprost na wodę. Ugięła się lekko, jak dobrze sprężynujący materac.

— Rzeczywiście stoję na tym.

— Pole siłowe to pole siłowe — stwierdził pilot. — A ty jesteś irracjonalnie ostrożny. Cóż to w końcu za różnica, czy pole zawieszono jest w próżni, w powietrzu, czy w wodzie.

— Zapewne masz rację.

— Na pewno nawet. To wszystko są zwykłe, archaiczne przesady.

— No dobrze, chodźmy już — przerwał Larks.

Przeszli pas wody i stanęli na wyspie. Powierzchnia jej była ciemna, chropowata jak skała. Nie widać na niej było żadnych spawów ani szwów.

— To jakaś dziwna skała.

— Wygląda raczej jak teronik — stwierdził pilot. — Zresztą nie wiem, automaty nie przekazały informacji o pobranych próbkach.

— Teronik? Co to takiego?

— Nie wiesz? To tworzywo wytrzymujące tysiące stopni i wysokie ciśnienie.

— Skąd mam wiedzieć? Nic nie wiem. Nie rozumiem, po co mnie tu wysłali. Jestem przecież względem was z dalekiej przeszłości.

— Spokojnie, Larks. Oni wiedzą, co robią.

— Nie jestem o tym przekonany... .

Pilot nie odpowiedział. Szedł wolno w kierunku centralnej części wyspy. Larks ruszył za nim.

— W centrum obiektu — powiedział pilot i nagle głos jego, przenoszony przez fale radiowe do hełmu Larksa, przeszedł w dudnienie i zgrzyty.

— Co się stało?

Głośnik w hełmie trzeszczał i Larks nie mógł nic zrozumieć z tego, co mówił pilot. Wtedy właśnie zobaczył czerwony indykator promieniowania, żarzący się w hełmie.

— Uważaj, promieniowanie! Odejdź stąd! — krzyknął i odskoczył kilka kroków w bok. Pilot pochylał się nad czymś, co na powierzchni wyspy wyglądało jak ciemniejsza plama. Potem podszedł do Larksa.

— To automat — powiedział pilot. — Jeden z naszych automatów rozbity i wprasowany w powierzchnię tej wyspy. Wprasowany na gładko... — Larksowi wydało się, że za szybą skafandra zobaczył coś jakby uśmiech na twarzy pilota. — A ty nie lubisz promieniowania, Larks?

— Raczej choroby popromiennej. Przeszedłem to kiedyś, jeszcze na Ziemi.

— Tak, w twoich czasach, gdy planowaliście swoje istnienie na dziesiątki lat, to było istotne.

— A teraz?

— Teraz?... Idziemy dalej, Larks. W centrum tego obiektu, jak donosiły automaty, jest szyb, którym można zejść w głąb.

— Szyb? A więc ta wyspa to twór istot rozumnych. To nie żadna hipoteza, tylko fakty.

— Oczywiście. Czy sądzisz, że w przeciwnym wypadku bylibyśmy tutaj?

— Ale nie mówiłeś mi o tym.

— Takie otrzymałem instrukcje. Miałem ci o tym powiedzieć dopiero na wyspie i właśnie to robię.

— Oni mi nie wierzą? Dlaczego?

— Widocznie mieli swoje powody. Widzisz, oni podejrzewają... A zresztą sam wszystko zobaczysz, gdy zejdziemy do wnętrza wyspy. Tu właśnie jest szyb.

— Schodzimy? Sami? Bez żadnego zabezpieczenia, bez automatów?

— Towarzystwo automatów byłoby niecelowe... może wręcz niebezpieczne.

— Waszych automatów?

— Tak. Do takich wniosków doszły zespoły decyzyjne bazy.

— Interesujące — powiedział Larks i zdecydował, że nie będzie więcej pytał.

— Schodzę pierwszy — powiedział pilot.

Z podręcznej torby, którą miał umocowaną na ramieniu, wyciągnął zwój niezbyt grubej liny.

— Chcesz umocować linę i spuścić się po niej w głąb...

— Tak.

— Innych środków wasza technika nie przewiduje?

— Mamy stosować środki najprostsze.

— To także jedno z zaleceń tej waszej... rady decyzyjnej?

— Zespołów decyzyjnych, chciałeś powiedzieć. Te zespoły to automaty.

— I to jest ich decyzja?

— Tak. I ich zaleceń będziemy przestrzegać. Decydują o wiele sprawniej i bardziej optymalnie od zespołów ludzkich, wykorzystywanych w tym celu w twoich czasach. Po prostu wnioskujeją jedynie na podstawie realnych przesłanek.

Mówił to opuszczając się powoli w głąb szybu. Larks nachylił się nad szybem i wtedy zobaczył klamry.

— Spójrz, tu są klamry — powiedział. — Można zejść na dno szybu bez liny.

— My zejdziemy po linie. Taka jest instrukcja.

— Ale...

— Nie dyskutuj, Larks.

Larks wzruszył ramionami, schwycił linę i po chwili stał na dnie szybu obok pilota. Z dna szybu rozchodziły się trzy korytarze dość wysokie, by mogli się nimi poruszać nie schyla-jąc głowy.

— Rewelacji tu nie ma — powiedział Larks, gdy zapalili reflektory.

— Ale jest promieniowanie.

Tak, pilot miał rację, Larks spostrzegł jarzący się ognik indykatora.

— Promieniują ściany?

— Nie, ten złom — powiedział pilot i oświetlił stertę poskręcane go metalu, leżącą kilka metrów od ujścia korytarza. I wtedy Larks zobaczył chwytник, fragment automatu. Musiał zostać oderwany od korpusu automatu potężnym uderzeniem, bo metalowy przegub rozpła-szczył się jak folia.

— To automat, jeden z waszych automatów — wyszeptał Larks.

— Zeszły na dno szybu. Dalej się nie przedarły — powiedział pilot i wtedy Larks usłyszał kroki.

Było to ciężkie człapanie, dochodzące z głębi jednego z korytarzy.

— Tam... tam... widzisz...? — Larks oświetlał ruchomą masę w głębi korytarza. Posu-wała się wolno, dotykając ścian korytarza czymś, co przypominało giętkie, poruszające się czułki.

— Nie mamy nawet dezintegratorów — powiedział pilot — nie pozwolili... dlaczego nie pozwolili? — powtórzył ze złością.

— Wracajmy na górę...

— Nie zdążymy. Automaty są szybsze i nie zdążyły.

Przywarli do ścian szybu i czekali. Najpierw z korytarza wysunęły się czułki i musnęły ich skafandry, potem wysunął się pancierz. Dwa rzędy potężnych chwytników przywierały do pancierza. Drżały one lekko, uderzając o pancierz i wydając chrzęst, który słyszeli.

— To... to automat obronny... — powiedział Larks i jeszcze silniej przywarł do ściany.

— Coś powiedział?

— Że to jest automat obronny.

— Jesteś pewien?

— Mój kosmolot miał podobne automaty... może mniej doskonałe.

— Całe szczęście — powiedział pilot i zdecydowanym ruchem odgarnął dotykające go czułki.

— Co... co robisz?

— Idziemy w głąb korytarza.

— A to...? Ten automat?

— Widzisz, że nic mi nie zrobił. Automaty, nawet obronne, nie dezintegrują ludzi.

— Myślisz, że jest to ziemski automat?



— Nie myślę. Mam na to dowód. Dotknąłem go i nie zaatakował.

Larks milczał przez chwilę, a w końcu zapytał:

— Podejrzewaliście, że to ziemski automat?

— Nie ja. Zespoły decyzyjne.

— I dlatego tu przylecieliśmy. My, ludzie.

— Tak. Sami ludzie, bez automatów. Automaty zostały zaatakowane, a przy okazji, oczywiście przypadkiem, my również moglibyśmy zostać zdeintegrowani.

— Rozumiem — powiedział Larks. — Ale dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Instrukcje. Instrukcje, których muszę przestrzegać.

— Ale po co?

— Rozpoznałeś ten automat.

— Ja?

— Oczywiście. Ja nigdy takich automatów nie widziałem. To modele sprzed kilkuset lat. Ich kształtów nie pamiętają nawet nasze mnemotrony.

— Więc po to potrzebny ci byłem ja, człowiek sprzed wieków?

— Brawo, Larks. Stajesz się coraz bardziej domyślny.

— Ale mogłeś mi powiedzieć...

— Nie mogłem ci nic sugerować.

— No tak... Człowiek sprzed wieków spełnił swoją rolę. Czy teraz odeślicie mnie na złom?

— Nie zawracaj głowy. Zbadamy tę sondę.

— Sondę?

— Tak przypuszczam. W twoich czasach ludzkość wysyłała sondy do wszystkich gwiazd wokół układu słonecznego. Były bezładne, bo szły z nadszybkością. Wtedy agregaty ciągu podświetlnego były jeszcze prymitywne i żaden człowiek nie wytrzymałby takich przy-spieszeń...

Przeszli do końca korytarzem, który skończył się śluzą.

— Widzisz, archaiczna śluza wejściowa powiedział pilot. — Śluza rozwarła się gdy automaty sterujące poczuły ich obecność. — W waszych czasach wystarczyło być człowiekiem i wszystkie śluzy już stały otworem. Nasze automaty nie zdołały tu dotrzeć — powiedział pilot. — Gdybyśmy mieli tylko automaty, musielibyśmy rozłupać na pół ten kosmolot, by dotrzeć do jego wnętrza.

— A teraz?...

— Co teraz?

— Nie wystarcza być człowiekiem?

— Wystarcza. Tylko człowiek ma tyle postaci, że automaty nie zawsze go rozpoznają. W waszych czasach człowiek miał jeden kształt i kształt ten był jedyny w całym Kosmosie.

Larks spojrzął na szafy ze skafandrami próżniowymi, umieszczone wzdłuż ścian, i był już pewien, że jest na ziemskim statku.

— Tu powinna gdzieś być winda łącząca śluzy ze sterownią — powiedział. — O, jest tutaj...

Gdy podszedł, drzwi rozwarły się automatycznie. Weszli do środka i winda z szumem zjechała w głąb.

Sterownia była niewielka, tak jak w automatycznych sondach, w których człowiek prze-bywa tylko tak długo, aż gwiazdolot przekroczy orbitę Plutona i wyjdzie z płaszczyzny układu słonecznego.

— Sądysz, że statek jest uszkodzony? — zapytał pilot.

— Nie wiem. Zaraz sprawdzę. Wywołam program kontroli lotu — powiedział Larks i nacisnął przyciski na pulpicie sterowania.

Światła zamrugały i w środku pulpitu zapłonęło wielkie rubinowe oko, a potem matowy głos

powiedział:

— Rozdarcie pancerza na przestrzeni szesnastej i siedemnastej komory, uszkodzone automatyczne zabezpieczenie...

— Wiesz coś z tego?

— Tyle co i ty. Możemy zejść i sprawdzić, jeżeli nie otrzymałeś innych poleceń od tych automatów decyzyjnych.

— Zespołów — chciałeś powiedzieć. Nie, wewnątrz statku pozostawiono nam wolną rękę. Możemy już wracać, jeśli chcesz. Przylecimy tu zapewne raz jeszcze z odpowiednimi automatami, unieszkodliwimy tego automatycznego cerbera... i podniesiemy sondę w próżnię. W próżni badania kosmolotów są dużo łatwiejsze.

— Przedtem i tak trzeba będzie załatać ten otwór. Jestem kosmonautą starej daty i wolę wiedzieć, co się stało w kosmolocie, skoro już na nim jestem.

— A może...

— Powiedziałeś, że decyzja należy do nas. Chodźmy więc.

— Jak chcesz.

Zjechali windą do szesnastego poziomu i zeszli wąskim, krętym korytarzem do śluz działowych. Winda z cichym sykiem wróciła do sterowni, tak jak to przewidywał program.

— Jesteśmy na miejscu. Przypuszczam, że do siedemnastego poziomu nie ma oddzielnego wejścia — powiedział Larks.

— Przypuszczalnie nie ma — zgodził się pilot. — Dlaczego automaty nie rozwarły jeszcze śluz?

— Zapominasz, że tam jest uszkodzony pancerz. Automaty blokują wtedy śluzy.

— Więc co zrobimy?

— Otworzymy je ręcznie.

— Można tak?

— Tylko od wnętrza statku.

— Dużo wiesz o tych kosmolotach.

— To mój zawód. Jestem kosmonautą.

Larks szarpnął dźwignię ukrytą we wnęcie przy drzwiach. Śluzy rozsunęły się. Uderzył w nich strumień powietrza gwałtownie uciekającego z zamkniętych dotąd komór. Gdzieś w głębi słyszeli szum wdzierającej się wody.

— Rozdarcie musi być szerokie — powiedział pilot. — Zamknijmy śluzy, bo zatopimy cały statek.

Larks nie odpowiedział. Stał nieruchomo, wsłuchując się w trzaski płynące z głośnika jego skafandra.

— Słuchaj — powiedział w końcu — tam... tam ktoś wzywa pomocy... sygnał automatycznego wezwania pomocy... Słyszysz?

— To tylko trzaski...

— Słuchaj uważnie... teraz słyszysz?

— Złudzenie. Zamykamy śluzy, Larks.

— Nie. Słyszę wyraźnie. Któż by to mógł być?

— Pewnie automat.

— To sekwencja zarezerwowana dla człowieka, chyba również w waszych czasach.

— Więc co chcesz zrobić?

— Zejść tam.

— Po co? Przecież ten statek przyleciał z Ziemi. Nikt... nikt nie przeżyłby tego lotu bez

anabiozy.... bez niczego. To musi być automat.

— Ja jednak tam zejść.

— Zostań.

— Nie mogę. To jest wezwanie pomocy.

— Czekaj. Rozumiesz jak człowiek starożytny. Ja ci wytłumaczę...

— Potem. Zostań na zewnątrz i odblokuj śluzy, gdyby automaty zatrzasnęły je automa-tycznie.

— Ależ Larks...

Larks nie słuchał. Minął śluzy i zapaliwszy naramienny reflektor, biegł opadającym w dół korytarzem. Czuł opływający go strumień powietrza i słyszał szum wody wdzierającej się do wnętrza statku. Sygnały w głośniku jego hełmu dudniły coraz głośniej. Potem korytarz się skończył i zobaczył ładownie. Woda była już tylko o kilka metrów niżej. Po jej powierzchni, oświetlonej snopem reflektora, pływały jakieś butle i ochraniacze. I nagle zobaczył skafander, nieruchomy kształt ludzki w skafandrze. Chwytną rękoma zaczepy mocujące ładunek zsunął się do powierzchni wody, zanurzył, odbił od ściany i popłynął do człowieka w skafandrze. Sygnały wezwania pomocy huczały teraz w jego hełmie.

Wyjście z wody, mimo dodatkowego obciążenia, nie przedstawiało trudności, bo tymczasem woda podniosła się do poziomu wylotu korytarza. Potem ciągnął człowieka w skafandrze korytarzem w górę; zostawiając za sobą dwie smugi wody spływające z bezwładnych nóg tamtego. Wreszcie przekroczył śluzy i usłyszał charakterystyczny szcęk ich zwierających się powierzchni. Wtedy spojrzał przez szybę hełmu na twarz tamtego i odczuł lekki zawrót głowy. To była jego własna, martwa twarz.

— Przykro mi, Larks, że tak właśnie się stało. Powinniśmy byli cię o tym uprzedzić, ale nie przypuszczaliśmy, że może to się tak skończyć. — To był głos Toda.

Larks nic nie odpowiedział. Siedział w swoim fotelu, w swojej własnej kabinie i nawet nie był specjalnie ciekaw wyjaśnień Toda. Wiedział już, że oglądanie swojej twarzy po śmierci nie należy do przyjemności.

— Tak, powinniśmy byli cię o tym uprzedzić...

— Też tak sądzę.

— Sprawa w zasadzie jest prosta. Wiesz przecież, że przechowujemy w mnemotronach informacje równoważne osobowości i postaci każdego z nas. Nie syntetyzujemy na podstawie tej informacji ludzi tylko dlatego, że wygodniej jest nam podróżować przez Kosmos jako pęk fal elektromagnetycznych. Ale czasem zdarzają się przypadki szczególne.

— Na przykład ja.

— Ty też. Ciebie przechowujemy w postaci klasycznej jako...

— Jako pewnego rodzaju zabytek!

— Przesadzasz. Zresztą nie o to idzie. Gdy odkryliśmy ten statek-sondę, wysłaliśmy tam automaty i ciebie, poprzedniego ciebie, bo ty w obecnej postaci jesteś zsyntetyzowany według wzorca przechowywanego w naszych mnemotronach.

— I co?...

— I nikt nie wrócił. Wiesz, w jaki sposób zostały rozbite automaty. Przypuszczaliśmy, że twoja rakietka została zniszczona przez miotacz sondy, zanim wylądowała. Teraz wiemy, że zniszczył ją automat i jej rozbite resztki wrzucił do oceanu, wtedy gdy ty, pierwszy ty, byłeś już wewnątrz sondy.

— Przypuszczaliście więc, że zginąłem na zewnątrz statku?

— Tak. potem zsyntetyzowaliśmy ciebie i pilota i posłaliśmy na statek bez automatów wiedząc,

że wasze automaty niszczące nigdy nie dezintegrują ludzi.

— I rzeczywiście. Pod tym względem są niezawodne.

— Dobra starożytna robota.

— I nie przewidywaliście, że na statku znajdę samego siebie.

— Nie, nie rozumiem nawet, jak to się stało.

— Za to ja rozumiem — powiedział Larks. — To bardzo proste. Za każdym razem, gdy moja pierwsza, a potem druga realizacja została przetransportowana na statek, robiłem to samo: badałem przyczynę uszkodzenia pancerza. Tylko za pierwszym razem, gdy otworzyłem śluzy i wszedłem do środka, woda wtargnęła do rozhermetyzowanych otwarciem śluz poziomów, dotarła do urządzeń sygnalizacyjnych i śluzy zawarły się automatycznie. Otworzyć je można tylko z zewnątrz.

— I gdy byłeś z pilotem, także zszedłeś do uszkodzonych poziomów?

— Tak.

— Godna podziwu konsekwencja.

— Odruch normalnego kosmonauty. Zresztą ten statek ma jeszcze przecieki powietrza. Atmosfera wewnątrz nie jest czysta.

— Wiem o tym. Usuniemy je, zanim wyprowadzimy go w próżnię.

— Powiedz mi jeszcze... dlaczego... dlaczego powtórnie wysłaliście mnie dopiero... dopiero osiem dni po wyprawie mojej pierwszej realizacji?...

— Musieliśmy cię po prostu zsyntetyzować... Ciebie i pilota. To skomplikowany proces, Larks. Potrzeba nam na to ośmiu dni, dokładnie ośmiu dni... I powiem ci jeszcze jedno. Twoja pierwsza realizacja nie uwierzyła, że jesteśmy ludźmi. A ty uwierzyłeś.

— Zasługa pilota. Kopia, która tak doskonale imituje człowieka i niczym się od niego nie różni, jest po prostu człowiekiem.

# PORANEK AUTORSKI

Zapukał, zamiast zadzwonić do drzwi wejściowych, a gdy Robert wyszedł, stał już w przedpokoju. Był średniego wzrostu i uśmiechał się.

— Pan do mnie? — Robert przyjrzał się jego ubraniu. Jakaś dziwna kurtka bez guzików i zamka błyskawicznego — pomyślał.

— Tak, do pana.

— Drzwi były otwarte? — zapytał Robert.

— Tak, w pewnym sensie. Ale zamknąłem je starannie.

— Dziękuję. Moja żona jest roztargniona i zawsze spieszy się do pracy...

— Już pan jest żonaty? — nieznajomy przestał się uśmiechać.

— Tak. Ale dlaczego pan pyta?

— Oczywiście drobnostka. Mała nieścisłość. A przepraszam... — nieznajomy zawahał się przez chwilę — ....pierwszy czy drugi raz?

— Nie rozumiem. Jestem po raz pierwszy żonaty. Ale niech mi pan wyjaśni...

— Naprawdę drobnostka. Tak się tylko zapytałem.

— Zgoda. Mój stan cywilny to żadna tajemnica. Ale niech mi pan wyjaśni, czego sobie pan ode mnie życzy.

— Prawda. Zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Don.

— Don, ładne imię... A nazwisko?

— Don całkowicie wystarczy. Są jeszcze pewne dodatki, ale to nieistotne. Jestem czytelnikiem pana książek.

— To miło. Czy mam rozumieć, że to spotkanie to rodzaj przedpołudnia autorskiego? — zrobił dwa kroki w stronę nieznajomego. — A teraz grzecznie go wyproszę — pomyślał.

— Skądże znowu. Z tak błahego powodu nigdy bym pana nie niepokoił. Jestem przedstawicielem Instytutu Historii Literatury, Zakład... ale o tym potem. Muszę panu wstępnie wyjaśnić parę spraw. Co, przejdziemy do pana gabinetu? Świetnie znam go z fotografii. Pana biurko, ten szacowny mebel jest ozdobą...

— Moje biurko stoi na właściwym mu miejscu, o czym może się pan naocznie przekonać. Innego w życiu nie miałem — Robert wskazał nieznajomemu drzwi do gabinetu.

Zabawne — pomyślał — ten facet z trudnością mieści się w granicach normy, ale czytelników człowiek sobie nie wybiera.

Przeszli do gabinetu, w którym, jak zwykle, obok książek, poutykanych na półkach, na podłodze leżały stare pisma ilustrowane, maszynopisy, rachunki i papiery o bliżej nie określonym przeznaczeniu. Obok popielniczki z niedopałkami stała nie dopita filiżanka kawy.

— Gdyby pan zadzwonił wcześniej, zrobiłbym trochę porządku — powiedział Robert.

— Ależ drogi panie, tak pan pracował, tak to właśnie wyglądało... — Spostrzegł wido-cznie zdziwione spojrzenie Roberta, bo zaraz dodał: — „Tylko człowiek nie zespolony ze światem potrzebuje porządku, żeby nie zginąć”. To cytat — zastrzegł się natychmiast.

Wiem, że to jest cytat, i wiem, z czego — pomyślał Robert i był zadowolony, że pamięta takie różne niepotrzebne cytaty z autorów, których kiedyś czytał.

— Ale w naszym świecie, w naszym układzie słonecznym potrzebny jest porządek i pan to doskonale rozumiał. Mam na myśli pana książki — dodał.

— Wie pan, nie spostrzegłem jakoś tego...

— Historycy literatury ery wczesnoatomowej tak to ocenili.

— Ery... jakiej?

— No, pana czasów.

— Nie bardzo rozumiem — powiedział Robert i pomyślał, że dobrze byłoby, gdyby ten człowiek znalazł się po drugiej stronie drzwi.

— Przecież w *Wyznaniach androida* dał pan temu wyraz.

— Pan się myli. Ja nie napisałem tej książki...

— Jeszcze nie?

— Pan kpi ze mnie!

— Gdzieżbym śmiał. Zapewniam pana, napisze ją pan. Niech pan mi wierzy. Mówię szczerą prawdę. Pisałem przecież pracę magisterską na temat: *Postać androida w literaturze ery wczesnoatomowej*.

— Drogi panie — Robert starał się mówić spokojnie — my się teraz pożegnamy. Zaplanowałem jeszcze na dzisiaj sporo pracy.

— Moja wizyta naprawdę nie potrwa długo, a sprawa jest istotna.

— Nie wątpię, ale jednak...

— Niech mi pan pozwoli, drogi autorze, skończyć. Otóż powiem wprost i krótko: jestem kierownikiem Zakładu Historii Literatury Ery Wczesnoatomowej.

— Znałem takiego, co twierdził, że jest admirałem Nelsonem — powiedział Robert.

— Ja niestety nie znam tego admirała. Ci, którzy jeżdżą na czasowe stypendia historyczne, podobno się z nim spotkali. Ale wracając do rzeczy. Do pana niewątpliwie epokowych dzieł wkradły się pewne akcenty, które, powiedzmy, stawiają pod znakiem zapytania jak najszerzej pojętą przydatność... Po prostu nie możemy pana książek polecać jako lektury szkolnej ani włączać ich do podręcznych bibliotek kosmolotów.

— O czym pan mówi? O kosmolotach...

— Mówię oczywiście o kosmolotach pasażerskich, tych regularnej komunikacji z Marsem i Wenus. Załogi kosmolotów eksperymentalnych i dalekiego zwiadu to oczywiście elita intelektualna. Oni czytają wszystko. Ale nam chodzi o szarego ziemianina, u którego mogłyby powstać niewłaściwe skojarzenia.

— Pod wpływem lektury moich książek?

— No oczywiście! — Nieznajomy ucieszył się. — Świetnie, że zaczynamy się wreszcie rozumieć.

— To niech, u diabła, ich nie czytają.

— Nie, to absolutnie niemożliwe. Klasyk literatury. Miliardowe nakłady. Stała pozycja stereowizji. W ogóle nie wchodzi w rachubę.

— Tak, rozumiem. To chyba możemy się zacząć żegnać — powiedział Robert.

— Ależ pan jeszcze nie wysłuchał mojej propozycji.

— Więc mów pan krótko. — Powie i pozbędę się go wreszcie — pomyślał Robert.

— W tej sprawie pan, jak zwykle, wychodzi od faktów.

— W jakiej sprawie?

— Chodzi mi o doświadczenie z kurą.

— Z czym?

— Z kurą. Wywoływanie określonej reakcji kury wskutek stymulowania, po prostu drażnienia odpowiednich ośrodków w jej mózgu.

— Za pomocą implantowanej elektrody. Ale dlaczego koniecznie z kurą?

— Mógł być kogut. Drogi autorze, nie sprzecajmy się o szczegóły. Mamy kurę, umie-szczamy w

odpowiednim ośrodku jej mózgu elektrodę i drażnimy elektrycznie ten ośrodek.

— Zgoda, ale...

— Chwileczkę. Jeśli jest to ośrodek agresji, kura atakuje nie istniejącego przeciwnika; jeśli ośrodek strachu - ucieka, mimo że nic w otoczeniu nie powinno jej do tego skłaniać.

— Człowieku, o tym ja też czytałem.

— O tym pan również pisał. Otóż gdy drażnimy oba te ośrodki równocześnie, zachowanie kury staje się złożone: stroszy pióra, biega w kółko popiskując cicho.

— Dobrze, ale co mnie obchodzi ta kura?

— W warunkach naturalnych opisane przeze mnie zachowanie kury ma miejsce, gdy jej piskłeta atakowane są przez jastrzębia. Kura boi się i równocześnie chce atakować.

Robert ciężko usiadł w fotelu.

— I co dalej? — zapytał.

Nieznajomy uśmiechnął się.

— Jak to miło, że lubi pan systematyczny wykład. Zupełnie jakby żył pan w naszych czasach. Ale do rzeczy. Jest oczywiste, że w ten sposób jak u kury można stany takie wywoływać u człowieka. I człowiek odczuwa to jako własny, spontaniczny poryw.

— Strach bez przyczyny, agresja bez przyczyny... — Wciążam się w to — pomyślał Robert.

— Bez zewnętrznej, poza elektrodą, przyczyny — skorygował nieznajomy.

— Stymulowana tyraliera w natarciu... Każdy żołnierz bohaterem.

— Nas to już nie interesuje. Mamy to już za sobą. Natomiast pan, drogi autorze, w pomysłach swych idzie dalej.

— Ależ ja nic takiego nie napisałem. Jestem zupełnie pewny.

— Ale napisze pan, i to już niedługo. Nie pamiętam wszystkich dat z pana życiorysu, jednak zapewniam pana, że jest to kwestia kilku lat.

— Więc o co panu chodzi?

— Sam pan powiedział: strach bez przyczyny, agresja bez przyczyny, niepokój bez przyczyny.

— Ale co z tego?

— A nigdy pan tego nie odczuwał? Nigdy nie zrobił pan czegoś zupełnie dla siebie i innych nieoczekiwanego, czegoś, czego przyczyny nie potrafił pan później wyjaśnić? Jakiś pomysł, nagła, gwałtowna wewnętrzna potrzeba...

— Ależ ja nie jestem stymulowany — Robert powiedział to ciszej.

— Dlatego, że nie ma pan elektrody w mózgu? A może można robić to bez elektrody.

— Bzdury!

— W pana czasach, autorze — bzdury. Ale niekoniecznie w naszych czasach. W każdym razie chodzi nam o unikanie niepotrzebnych skojarzeń i dlatego prosiłbym pana o unikanie tego rodzaju skojarzeń również w książkach, które pan napisze.

— Nie bardzo rozumiem. Pan chce po prostu, abym pisał to, co piszę, inaczej.

— Właśnie! Chodzi zresztą przecież o drobnostki.

— I po to ta cała komedia. Ależ panie, to niedopuszczalne. Jestem autorem. Piszę to, co mam do powiedzenia. Dokładnie to! Nic mniej, nic więcej.

— Oczywiście. Ma pan, drogi autorze, zupełną rację. Tak właśnie powinno się pisać. Nic mniej. Nic więcej. Ale może trochę inaczej.

— Nie, dość tego! Pan mnie namawia do zniekształcania moich opowiadań! I ta obłędna motywacja... w imię dobra czytelnika z któregoś tam wieku. Żeby sobie za dużo przy czytaniu nie myślał.

— Pan to przedstawia drastycznie, drogi autorze.

Powie raz jeszcze: drogi autorze — i wyrzucę go za drzwi — pomyślał Robert.

— Mówię to, co myślę. A ponadto, wychodząc z pana nieprawdopodobnych założeń, chce pan zmieniać utwory przyszłości, korygować to, co dopiero zostanie napisane.

— W pewnym sensie ma pan rację. Wychodzimy z założenia, że te niezbędne korektury lepiej zrobi autor niż jakiś mniej lub bardziej przypadkowy redaktor w przyszłości.

— Traci pan czas. Ja nic nie zmienię — powiedział Robert.

— Co za czasy? Z Goethem nie mieliśmy tyle kłopotu. Przerabiał Fausta według naszych wskazówek. O ile wiem, Hamlet początkowo też się kończył inaczej. A dla jeszcze starszych historycznie autorów każde nasze przybycie było objawieniem... No cóż, widzę, że nie przekonałem pana. Nic pan nie zmieni?

— Mowy nie ma. Napiszę! Wszystko napiszę!

Nieznajomy pokiwał tylko głową. W tej chwili zadzwonił telefon. Robert machinalnie podniósł słuchawkę.

— Tak. Słucham.

— ...

— Don? Jest u mnie.

— ...

— Zaraz pana Dona zapytam. Mówi, że zaraz przyjdzie do pana, tak jak pan jest do tego przyzwyczajony — Robert powiedział to do nieznajomego przykrywając dłonią słuchawkę.

— Jasne, niech przyjdzie, jeśli nie może inaczej — potwierdził nieznajomy.

— Niech pan przyjdzie. Mój adres pan zna. To do zobaczenia.

Przyjdą zaraz po niego i będę miał spokój — pomyślał Robert. — Zdaje się, że nie po raz pierwszy zdarza mu się wymknąć spod kurateli. Że też zdołał mnie wciągnąć w tę przedziwną dyskusję.

— On zaraz będzie — zwrócił się do nieznajomego. — Kto to jest, lekarz?

— Nie, automat.

— Tak go pan nazywa.

— Nie, to naprawdę jest automat i myślę, że sprawi panu niespodziankę.

— Sądzi pan, że po dzisiejszej naszej rozmowie cokolwiek zdoła mnie zaskoczyć?

— Jeśli pan poważnie traktuje fantastykę naukową, to chyba nie. Ale przejdźmy do konkretów.

Mam dla pana propozycję.

Ja też mam dla ciebie propozycję — pomyślał Robert. — Ale poczekam, aż tamten zabierze cię wreszcie.

— Słucham pana — powiedział spokojnie.

— Chciałbym zaproponować panu Katedrę Literatury Naukowej Ery wczesnoatomowej w Światowym Instytucie Historii Literatury. I co pan na to?

— A gdzie się mieści ten instytut?

— Około siedmiuset kilometrów i trzystu sześćdziesięciu lat stąd.

— Lat?

— No tak. W przyszłość. Ale to niedaleko. Okolica ładna, klimat przez te kilkaset lat się nie zmienił. No jak, decyduje się pan? — nieznajomy czekał na odpowiedź.

— Nie mogę porzucić moich czasów. Przecież rodzina, praca. Nie napisane jeszcze książki.

— Przygotowaliśmy automat zastępczy. Zna całą pana twórczość, życiorys — wszelkie niezbędne szczegóły. Niech się pan nie obawia. W jego pamięci zapisane są wszystkie pana dzieła,



słowo w słowo. On się nie myli. Będzie odtwarzał je dokładnie. Opuści może jedynie pewne fragmenty, o których mówiliśmy. Ale to w niczym nie umniejsza wartości pana dzieł. Więc co, zgoda?

— Zgoda! — wykrzyknął radośnie Robert. — Powinni już po pana przyjechać — dodał.

— Niecierpliwi się pan, widzę. Zaraz jedziemy. Pana zastępca właśnie telefonował.

— Mój zastępca?

— No tak. Nie poznał go pan po głosie? Jest identyczny, jak pana. Inna rzecz, że własnego głosu nigdy nie znamy. On jest w ogóle identyczny. Ani rodzina, ani koledzy, ani nikt inny nie zorientuje się, że pan wyjechał. Otóż i on!

— Tak bez pukania — powiedział Robert i nie dokończył.

— Poprzez czwarty wymiar, do tego można się przyzwyczaić.

— Ależ on... on jest jak ja.

— A widzi pan, nic nie przesadzałem.

— Pan... pan... — wyjąkał Robert.

— Niech pan się do mnie zwraca: panie Robercie — powiedział tamten. — Jeśli przy-szliście tu panowie w sprawie wywiadu, muszę z przykrością odmówić. Mam dzisiaj jeszcze dużo pracy.

— Wspaniały? Prawda? Niech mi pan da rękę, Robercie. Zostawia pan godnego zastęp-cę.

Robert machinalnie podał nieznajomemu rękę i... zniknęli.

Gdy żona Roberta wróciła do domu, spostrzegła, że na jego biurku papiery poukładane są równo, a ołówki starannie zatemperowane. Zdziwiła się nieco, ale nic nie powiedziała. Nie wiedziała po prostu, że automaty z dwudziestego czwartego wieku mają wbudowaną potrzebę porządku.

# Spis treści

<a href="#"><u>STRONA TYTUŁOWA..</u></a>	<a href="#"><u>1</u></a>
<a href="#"><u>KOSMODROM..</u></a>	<a href="#"><u>2</u></a>
<a href="#"><u>STRAŻNIK..</u></a>	<a href="#"><u>10</u></a>
<a href="#"><u>SZANSA ŚMIERCI.</u></a>	<a href="#"><u>17</u></a>
<a href="#"><u>NIEŚMIERTELNY Z WEGI.</u></a>	<a href="#"><u>31</u></a>
<a href="#"><u>ZANIM POLECĄ DO GWIAZD..</u></a>	<a href="#"><u>41</u></a>
<a href="#"><u>ADAM I EWA..</u></a>	<a href="#"><u>48</u></a>
<a href="#"><u>BIOHAZARD..</u></a>	<a href="#"><u>49</u></a>
<a href="#"><u>WŁÓKNO CLAPERIUSA..</u></a>	<a href="#"><u>69</u></a>
<a href="#"><u>JEGO PIERWSZA TWARZ..</u></a>	<a href="#"><u>83</u></a>
<a href="#"><u>PORANEK AUTORSKI.</u></a>	<a href="#"><u>102</u></a>